

AGATHA CHRISTIE

PORA PRZYPLÝWU

*W zabiegach ludzkich jest przyływ i odpływ:
Pora przyływu stosownie schwyta
Wiedzie do szczęścia; kto ona opuszcza,
Ten podrób tycia po mieliznach z biedą
Musi odbywać. Myśmy teraz właśnie
Na tak wezbrane wypłynęli morze:
Trzeba nam z fali przyjaznej korzystać,
Inaczej okręt nasz zatonie.
Szekspir Juliusz Cezar. Akt IV, scena 3
(przekład J. Paszkowskiego).*

PROLOG

I

Każdy klub ma swojego nudziarza. Klub Koronacyjny nie stanowił wyjątku, a fakt, że odbywał się właśnie nalot, nie wywierał wpływu na normalną procedurę.

Major Porter, emerytowany oficer Armii Indyjskiej, zwinął gazetę i odchrząknął znacząco. Wszyscy się starali unikać jego wzroku, ale to wcale nie pomagało.

— No proszę. „Times” zamieścił wzmiankę o śmierci Gordona Cloada, bardzo zwięzłą; „Piątego października, w wyniku działań nieprzyjaciela”. Nawet nie podali adresu. Szczerze mówiąc stało się to bardzo blisko mojej chałupy. Poszedł jeden z tych pięknych domów na szczycie Campden Hill. Bardzo się zdenerwowałem. Wiecie, panowie, że należę do biernej obrony przeciwlotniczej. Cload dopiero co wrócił ze Stanów, dokąd jeździł w sprawie zakupów rządowych. Przy sposobności ożenił się za oceanem z młodą wdową — wystarczająco młodą, aby mogła być jego córką To niejaka pani Underhay. Znałem niegdyś w Nigerii jej pierwszego męża.

Major Porter umilkł. Nikt nie zdradził zainteresowania, nikt nie prosił o dalszy ciąg. Gazety przesłaniały wszystkie twarze, lecz major Porter nie tracił ducha. Zawsze miał w pogotowiu długie opowieści — najczęściej o osobach nie znanych nikomu ze słuchaczy.

— Ciekawa historia — podjął zapatrzony w spiczaste lakiery, które szczególnie mu się nie podobały. — Jak wspominałem przed chwilą, należę do biernej obrony przeciwlotniczej. Podmucha lubi robić niespodzianki. Nigdy nie wiadomo, czego się można spodziewać. W danym przypadku parter był zrujnowany i dach zerwany, a piętro właściwie nie tknięte. W domu znajdowało się sześć osób: Gordon Cload, jego żona, brat żony i troje służby — małżeństwo i pokojówka. Wszyscy zeszli do piwnicy, z wyjątkiem brata pani Cload, byłego komandosa, który wolał własną wygodną sypialnię na piętrze. I co, panowie, powiecie? Ten właśnie facet wyszedł cało, tylko z kilkoma sińcami. Trójka służących zabita, Gordon Cload przysypany. Odkopano go, ale umarł w drodze do szpitala. Jego żonie też się dostało od podmuchu. Zdarło z niej wszystko co miała na sobie, ani strzęp nie został. Ale żyje dotychczas i, jak mówią lekarze, wyżyje. Została bardzo bogatą wdową. Gordon Cload był wart dobrze ponad milion.

Major Porter ponownie zrobił pauzę. Jego spojrzenie oderwało się od lakierek i powędrowało wyżej. Sztuczkowe spodnie, czarna marynarka, jajowata głowa i bujne wąsy. Oczywiście cudzoziemiec! To tłumaczy lakiery z wydłużonymi noskami.

„Słowo daję — pomyślał major Porter — klub na psy schodzi. Nawet tutaj nie można odczepić się od cudzoziemców”.

Takie myśli snuł, niezależnie od opowieści, a fakt, że cudzoziemiec słuchał ze skupioną uwagą, nie łagodził bynajmniej uprzedzeń starego oficera.

— Ona ma najwyżej dwadzieścia pięć lat — ciągnął — i już drugi raz została wdową. A przynajmniej jest o tym przekonana...

Urwał znowu licząc na zaciekawienie, na pytania. Rozczarował się, ale prawił dalej z uporem:

— Otwarcie mówiąc, mam na tę sprawę swój własny pogląd. Podejrzana historia! Jak już panom wiadomo, znałem jej pierwszego męża, Underhaya. Przyjemny facet, w swoim czasie naczelnik obwodu w Nigerii. Istny tytan pracy, powiadam panom, chłop pierwsza klasa. Ożenił się z tą małą w Cape Town. Przyjechała tam z jakąś wędrowną trupą. Bardzo się jej nie wiodło, a ponadto była ładna, niezaradna no i tam dalej. Słuchała bujania starego Underhaya o jego obwodzie i niezmiernych obszarach. Szeptala: „To cudowne, prawda?” i dodawała, że chętnie porzuciłaby wszystko. No i stało się: wyszła za niego i porzuciła wszystko. On, biedaczysko, był zakochany po uszy, ale mariaż nie grał od początku. Dziewczyna nienawidziła buszu, bała się krajowców i umierała z nudów. W jej pojęciu życie polegało na wafesaniu się po kawiarniach i słuchaniu teatralnych ploteczek. Samotność we dwoje w dżungli wcale nie przypadła jej do gustu. Proszę pamiętać, że jak żyję, nie widziałem tej małej. Wszystko co wiem, wiem od Underhaya. Cała historia mocno dała mu po głowie. Postąpił przyzwoicie: odesłał żonę do domu i może nawet dałby jej rozwód. Rozmawialiśmy sporo, bo faceta to nieźle trzępęło i musiał się wygadać. Pod pewnymi względami był to dziwny człowiek o staroświeckich poglądach. Jako katolik wcale nie pochwalał rozwodów. Powiedział mi pewnego razu: „Są inne sposoby, by zwrócić wolność kobiecie”. „Słuchaj, stary — ja na to — tylko nie zrób głupstwa. Nie ma na świecie baby wartej, by dla niej w łeb sobie palnąć”. Odrzekł, że nie zamierza niczego podobnego. „Widzisz — gada dalej — jestem zupełnie samotny. Nie mam rodziny, która by się o mnie zatroszczyła. Jeżeli nadejdzie meldunek o moim zgonie, Rosaleen zostanie wdową, o co jej przecież chodzi”. „A co będzie z tobą?” — zapytałem. „Cóż — odpowiedział — może jakiś Enoch Arden zjawi się o tysiąc mil lub dalej i zacznie życie od nowa”. „Ale twoja żona mogłaby znaleźć się kiedyś w kłopotliwej sytuacji” — ostrzegłem Underhaya. „Och, nie — odrzekł. — Rozegrałbym partię uczciwie. Robert Underhay zszedłby z tego świata nieodwołalnie”.

— Nie przywiązywałem wagi do tej rozmowy, ale w pół roku później dowiedziałem się, że Robert Underhay umarł na febrę gdzieś w dżungli. Jego Murzyni — godna zaufania sfera — wrócili z prawdopodobną opowieścią i kilkoma słowami pożegnania, nagryzmołonymi ręką Underhaya. Napisał, że krajowcy, a zwłaszcza ich przewodnik, zrobili dla niego wszystko, co w ludzkiej mocy, obawia się jednak, że mimo to umiera. Przewodnik i wszyscy inni byli mu szczerze oddani. Jeżeli kazał im coś zeznać pod przysięgą, z pewnością to zeznali. Tak się rzecz przedstawia, proszę panów... Może pogrzebano Underhaya gdzieś we wnętrzu tropikalnej Afryki, ale może go i nie pogrzebano. W takim

przypadku pani Gordonowa Cload może pewnego dnia doznać nie lada wstrząsu. Słusznie się jej to należy. Nie widziałem jej, jak żyje, ale znam takie łowczynie bogatych mężów. Przecież to ona zniszczyła, zmarnowała starego Underhaya. Ciekawa historyjka, prawda?

Major Porter rozejrzał się dokoła, szukając potwierdzenia własnej opinii. Zobaczył dwie znudzone, senne twarze. Młody pan Mellon patrzył na niego spod oka, pan Herkules Poirot grzecznie udawał zainteresowanie.

Po chwili zaszeleściła gazeta i siwowłosy mężczyzna o dziwnie obojętnym wyrazie twarzy wstał spokojnie z fotela i wyszedł. Major Porter zrobił rzadką minę, a młody pan Mellon gwizdnął z cicha.

— Ale pan major narobił, majorze! — rzucił. — Wie pan, kto to?

— Bodaj to licha! — odrzekł nie bez zakłopotania stary oficer. — Naturalnie, że wiem. Nie znam go bliżej, ale zostaliśmy sobie przedstawieni. Jeremiasz Cload, brat Gordona, prawda? A to pech, doprawdy! Gdybym podejrzewał...

— Jeremiasz Cload jest adwokatem — podjął młody pan Mellon. — Trzymam zakład, że wystąpi do sądu ze skargą o zniesławienie, obmowę czy coś w tym rodzaju.

— A to pech! A to pech! — powtarzał nerwowo major Porter.

— Jeszcze dziś wieczorem plotka rozejdzie się po całym Warmsley Heath, gdzie mieszkają wszyscy Cloadowie — ciągnął młody pan Mellon. — Będą siedzieć do późnej nocy i radzić, jakie podjąć kroki.

W tym momencie odwołano alarm lotniczy, więc młody pan Mellon dał spokój złośliwościom i pieczołowicie wyprowadził na ulicę swojego przyjaciela, Poirota.

— Okropna jest atmosfera klubów! To kolekcje śmiertelnie nudnych staruszków! Ale najgorszy jest niewątpliwie Porter. O indyjskiej sztuce z liną opowiada zawsze przez trzy kwadransy. No i zna każdego, kto kiedykolwiek zahaczył o Indie.

Działo się to jesienią 1944 roku, a wiosną 1946 słynny detektyw przyjął niezwykłą klientkę.

II

W pogodny, majowy ranek Herkules Poirot siedział przy swoim schludnym biurku, kiedy jego służący, George, wszedł do gabinetu i szepnął dyskretnie:

— Jakaś dama do pana, czy prosić?

— Jakiego gatunku dama? — zapytał mały Belg, który lubił drobiazgowo rysopisy George'a.

— Moim zdaniem, proszę pana, liczy sobie czterdzieści do pięćdziesięciu lat. Niedbale ubrana i ma wygląd, że się tak wyrażę, artystyczny. Nosi porządne sportowe półbuciki, tweedowy kostium, a do tego koronkową bluzkę, coś ? la egipskie paciorki i niebieską jedwabną apaszkę. Poirot wzdygał się lekko przy każdym wyliczanym szczególe.

— Nie mam ochoty jej przyjąć — odrzekł.

— Powiedzieć jej, że jest pan niedysponowany? — zapytał służący.

Mały Belg spojrział na niego bystro.

— Zapewne już jej powiedziałaś, że mam bardzo ważną sprawę i nie należy mi przeszkadzać.

George kaszlnął dyskretnie.

— Mówi, że specjalnie przyjechała ze wsi i może czekać nawet bardzo długo.

— Trudno uchronić się przed nieuniknionym — westchnął Poirot. — Jeżeli niewiasta w średnim wieku, przystrojona w coś ? la egipskie paciorki, postanowi zobaczyć słynnego Herkulesa Poirota i w tym celu specjalnie przyjedzie ze wsi, nic nie zdoła jej odstręczyć. Będzie siedzieć w hallu, dopóki nie postawi na swoim. Poprosz ją, George.

Służący wyszedł i po chwili zameldował oficjalnym tonem:

— Pani Cload.

Do gabinetu wkroczyła osoba w podniszczonym tweedowym kostiumie i powiewnej apaszcze. Z rozpromienioną twarzą podeszła do małego Belga i wyciągnęła rękę, a jej paciorki zadźwięczały głośno.

— Panie Poirot — zaczęła — przybywam tutaj, bo mi to zleciły duchy.

— Czyżby, łaskawa pani? — słynny detektyw szeroko otworzył oczy. — Zechce pani zająć miejsce i powiedzieć mi...

Nie zdążył wyrzec nic więcej.

— I to na oba sposoby, panie Poirot. Za pośrednictwem ruchomego stolika i ekierki. Seanse prowadziłam z panią Elvary (to wspinała kobieta, panie Poirot): ja trzymałam ekierkę. Nieustannie powtarzały się te same inicjały. H.P. H.P. H.P. Naturalnie nie zorientowałam się od razu, co to znaczy. Objawienie, rozumie pan, wymaga pewnego czasu. W ziemskiej atmosferze niepodobna wyrobić sobie szybko jasnego sadu. Zachodziłam w głowę, żeby przypomnieć sobie kogoś o takich inicjałach. Wiedziałam oczywiście, że ten szczególnie udany seans musi mieć jakiś związek z tą osobą. Trwało to pewien czas. Wreszcie kupiłam numer „Picture Post”... To, panie Poirot, było również przewodnictwem duchów, bo zazwyczaj czytuję „New Statesmana”. I w tym właśnie numerze była pańska fotografia, podpisana nazwiskiem, i sprawozdanie o tym, czego pan dokonał. To cudowna historia, panie Poirot, prawda? Wszystko ma jakiś swój cel i sens. Jasno wynika, że pan, panie Poirot, jest osobą, wskazaną mi przez duchy celem rozwikłania zagadki. Mały Belg przyglądał się bacznie damie. Uwagę jego zwracały przede wszystkim jej dziwnie bystre, jasnyniebieskie oczy, których wyraz tłumaczył poniekąd natarczywą metodę zagajenia.

— Jakiej zagadki, pani... Cload... o ile dobrze zapamiętałem — powiedział Poirot i zmarszczył brwi. — Zdaje się, słyszałem kiedyś to nazwisko.

Z przekonaniem skinęła głową.

— Mój nieszczęśliwy szwagier, Gordon, był człowiekiem niezmiernie bogatym i wzmianki o nim często trafiały do prasy. Zginął w czasie nalotu półtora roku temu. To był okropny cios dla nas wszystkich. Mój mąż, doktor Lionel Cload, jest jego młodszym bratem. Oczywiście — zniżyła głos — nie wie, że zwróciłam się do pana po radę. Nie pochwaliby takiego kroku. Lekarze, widzi pan, mają materialistyczne poglądy. Liczą się, proszę pana, tylko z nauką. Ale cóż to jest nauka? Czego potrafi dokazać?

Herkules Poirot pomyślał, że jedyną odpowiedzią na te pytania byłby rozwlekły, drobiazgowy wywód na temat Pasteura, Listera, Humphreya Davy'ego i jego lampy bezpieczeństwa, przydatności energii elektrycznej w gospodarstwie domowym oraz kilkuset podobnych zagadnień. Ale pani Cload nie pragnęła tego rodzaju odpowiedzi, bo jej pytania nie były właściwie pytaniami. Po prostu miały charakter retoryczny.

Wobec tego słynny detektyw poprzestał na rzeczowym zdaniu:

— Czym właściwie mógłbym łaskawej pani służyć?

— Czy pan wierzy w świat duchów, panie Poirot? — odpowiedziała pytaniem.

— Jestem wierzącym katolikiem — rzekł ostrożnie Poirot.

Pani Cload zbyła kwestię katolicyzmu uśmiechem politowania.

— Kościół, panie Poirot, jest ślepy! Ślepy, zarażony przesadami, szalony. Nie uznaje prawdziwego piękna tego drugiego świata.

— O dwunastej, proszę pani, mam bardzo ważne spotkanie — odrzekł mały Belg.

Słowa te padły w porę. Dama pochylała się do przodu i podjęła już innym tonem.

— A więc przechodzę do sedna sprawy. Czy pan potrafi odnaleźć kogoś zaginionego?

— Sądzę, że potrafiłbym chyba — odparł ostrożnie. — Ale policja, proszę pani, zrobi to nieporównanie lepiej, dysponuje potrzebnym aparatem.

Pani Cload zbyła kwestię policji tak samo, jak uprzednio kwestię katolicyzmu.

— Nie, panie Poirot. Głos nie z tego świata polecił mi zwrócić się do pana. Proszę posłuchać. Kilka tygodni przed śmiercią mój szwagier Gordon poślubił młodą osobę... niejaką panią Underhay. Jej pierwszy mąż (biedna mała! jaki to dla niej cios) umarł podobno w Afryce. Afryka to zagadkowy kraj.

— Zagadkowy kontynent — poprawił Poirot. — Chyba tak... W jakiej części...

— W Afryce Środkowej — przerwała. — To kraina fetyszów i żyjących trupów...

— Żyjące trupy to raczej Indie Zachodnie.

— ...czarnej magii, przeróżnych tajemniczych obrzędów — ciągnęła pani Cload — kraina, gdzie człowiek może przepaść i wszelki słuch o nim zaginie.

— Zapewne... zapewne — bąknął mały Belg. — Ale to samo da się powiedzieć o Piccadilly Circus*.

Dama nie podjęła rozmowy na temat Piccadilly Circus.

— Dwukrotnie, panie Poirot, otrzymałam posłannictwo od ducha, który podaje, że ma na imię Robert. Posłannictwo było obydwoma razy jednakowe. „Nie umarł...” Zdziwiło to nas, bo nie znałyśmy żadnego Roberta. Zapytałyśmy o bliższą informację i odpowiedź brzmiała: „R.U. R.U. R.U...”, a następnie: „Zawiadomić R. ...Zawiadomić R.” „Czy zawiadomić Roberta?” — spytałyśmy. „Nie. Wiadomość od Roberta. R.U.” „Jakie znaczenie ma U?” — zapytałyśmy znowu. Wtedy, panie Poirot, padła najbardziej znamienna odpowiedź: „Błękitny chłopczyk. Błękitny chłopczyk. Cha, cha, cha!”. Rozumie pan?

— Nic nie rozumiem — odrzekł mały Belg. Pani Cload spojrzała nań z politowaniem.

— Dziecinny wierszyk: Błękitny chłopczyk... „Pod stogiem siana słodko drzemie...” Underhay*. Teraz pan rozumie?

Poirot potwierdził skinieniem głowy. Nie zapytał jednak, czemu duch nie mógł podać wyraźnie nazwiska Underhay, skoro postąpił tak z imieniem Robert? Czemu musiał posłużyć się bardzo lichym szpiegowskim szyfrem?

— Bratowa mojego męża ma na imię Rosaleen — kończyła z triumfującą miną pani Cload. — Teraz pan rozumie? Te wszystkie R wprowadziły zamieszanie. Ale obecnie sens posłannictwa jest jasny: „Zawiadomić Rosaleen, że Robert Underhay nie umarł”.

— Aha... Czy powiedziała jej pani o tym?

— Eee... widzi pan... nie. Ludzie, panie Poirot, są na ogół sceptykami. Z pewnością dotyczy to i Rosaleen. A zresztą taka wiadomość mogłaby przerazić biedną małą. Zaczęłaby się głowić, gdzie on dotychczas był i co robił...

— Zwłaszcza że wiadomości o sobie przesyła drogą nadprzyrodzoną — uzupełnił Poirot. — Słusznie. To osobliwa metoda informowania o tym, że się żyje.

— Ach, panie Poirot, pan nie należy do wtajemniczonych. A zresztą, nie wiemy przecież, jakie istnieją okoliczności. Biedny kapitan Underhay, czy też major Underhay, może jęczy w więzach gdzieś w mrocznym wnętrzu Afryki. Ach! Gdyby go można odnaleźć i wrócić młodej żonie, tej nieszczęśliwej Rosaleen. Niech pan wyobrazi sobie jej radość! Ach, panie Poirot! Zostałam skierowana do pana i na pewno, na pewno nie zlekceważy pan posłannictwa ze świata duchów.

Mały Belg spojrział na damę z zastanowieniem.

— Moje honoraria — powiedział — są wysokie, ośmielę się powiedzieć, odstręczająco wysokie. A zadanie nie zapowiada się łatwo.

— To niedobrze... bardzo niedobrze... Jesteśmy z mężem w kiepskiej, nawet opłakanej sytuacji materialnej. Moje położenie jest nawet gorsze, niż wydaje się mężowi. Za poradą duchów kupiłam pewne akcje. Jak dotąd kurs ich i jest niepokojący lub, prawdę mówiąc, katastrofalny. Wciąż spada i moje akcje są, zdaje się, nie do zbycia.

Spojrzała smutno na małego Belga.

— Nie śmiałam wyznać tego mężowi — podjęła — a panu mówię tylko dlatego, żeby zilustrować moją sytuację. Ale, drogi panie Poirot, połączenie młodej pary małżonków to taka szlachetna misja...

— Szlachetnością, ch?re madame, nie opłacimy przejazdów kolejowych, morskich, lotniczych — przerwał słynny detektyw. — Nie pokryjemy również kosztu długich telegramów, rozmów telefonicznych i przesłuchiwanie świadków.

— Ale, panie Poirot, jeżeli on się znajdzie... jeżeli stwierdzimy, że kapitan Underhay żyje i jest zdrowy... Ehem... Wtedy, panie Poirot, nie będzie kłopotu z... z, że się tak wyrażę... honorarium.

— Oo!... Więc ten kapitan Underhay jest bogaty?

— Nie... Chyba nie... Ale mogę pana zapewnić... dać słowo, że wtedy kwestie finansowe nie będą grały roli.

Poirot pokręcił głową.

— Przykro mi, łaskawa pani, ale moja odpowiedź brzmi: nie.

Mały Belg miał niejake trudności, by skłonić damę do przyjęcia tej odpowiedzi. Kiedy na koniec zmusił ją do kapitulacji, stał przez pewien czas pogrążony w myślach i marszczył czoło. Przypominał sobie, dlaczego nazwisko Cload było mu tak dobrze znane. Odświeżył w pamięci rozmowę, która miała miejsce w Klubie Koronacyjnym podczas niemieckiego nalotu. Pamiętał donośny, monotony głos majora Portera, którego nikt nie chciał słuchać. Pamiętał szelest gazety i nagłą konsternację starego oficera. Trudniej było mu rozgryźć damę w średnim wieku, którą dopiero co pożegnał; płynne spirytystyczne bajdurzenie, zakłopotanie, powiewna apaszka, brzęczące paciorki, łańcuszki, amulety, a wreszcie trochę niezgodne z tym wszystkim, nagłe, przebiegłe błyski w jasnoniebieskich oczkach.

— Ciekawe, dlaczego ona przyszła właśnie do mnie — mamrotał pod nosem — i co właściwie dzieje się w... — zerknął na leżący przed nim bilet wizytowy — w Warmsley Yale?

W pięć dni później Herkules Poirot spostrzegł w wieczornej gazecie krótką, wzmiankę o zgonie człowieka nazwiskiem Enoch Arden w Warmsley Yale, staroświeckiej mieścinie odległej o mniej więcej trzy mile od znanych kortów golfowych w Warmsley Heath.

— Hm... Ciekawe, co właściwie dzieje się w Warmsley Yale? — powtórzył pod wąsem słynny detektyw.

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Miejscowość Warmsley Heath tworzą korty golfowe, dwa hotele, kilkanaście luksusowych, nowoczesnych willi okalających korty, parę wytwornych przed wojną sklepów i stacja kolejowa.

Londyńska szosa biegnie w prawo od stacji, a w lewo wiedzie ścieżka przez pola, opatrzona drogowskazem z napisem: „Droga do Warmsley Yale — Tylko dla pieszych”.

Wtulona między zalesione wzgórza osada Warmsley Yale nie przypomina w niczym Warmsley Heath. Jest to miniaturowe staroświeckie miasteczko prowincjonalne, które z biegiem lat spadło do poziomu niemal wioski. Posiada główną ulicę z dwoma rzędami staroświeckich domów, kilka barów, kilka podrzędnych sklepów i ogólnie biorąc wygląda tak, jak gdyby leżało o sto pięćdziesiąt, a nie o dwadzieścia osiem mil od Londynu.

Mieszkańcy Warmsley Yale odnoszą się z wyniosłym lekceważeniem do nagłego rozrostu Warmsley Heath. Na krańcach ich mieściny znajduje się kilkanaście pięknych rezydencji otoczonych pełnymi staroświeckiego wdzięku ogrodami. Do jednej z nich, „Białego Domu”, Lynn Marchmont wróciła wczesną wiosną 1946 roku, kiedy została zdemobilizowana z WREN-u, pomocniczej służby kobiet Marynarki Królewskiej.

Trzeciego dnia podeszła do okna swego pokoju, aby spojrzeć na zaniedbany trawnik i wiązy rosnące dalej na łące. Z lubością odetchnęła wiejskim powietrzem. Ciepły, szary poranek pachniał wilgotną ziemią, a zapachu tego brakowało jej przez ostatnie dwa lata i sześć miesięcy.

Jak dobrze być znowu w domu, w swoim własnym małym pokoju, do którego często tęskniła za morzami! Jak dobrze pozbyć się munduru i wdziać tweedową spódniczkę i sweter, nad którymi pracowały pieczołowicie mole w ciągu lat wojny!

Lynn Marchmont była zadowolona, że została zdemobilizowana, że jest znów wolna, kobietą, chociaż służbę wojskową za granicą lubiła szczerze. Pracę miała stosunkowo interesującą, dużo zabaw, rozrywek, ale męczyła ją wojskowa rutyna i nieuniknione towarzystwo koleżanek, które tak często budziły w niej żywe pragnienie ucieczki. Szczególnie podczas długiego skwarne lata na Wschodzie Lynn tęskniła do Warmsley Yale, ślicznego, chociaż podniszczonego starego domu i kochanej Mateczki.

Lynn kochała Mateczkę, chociaż często irytowała się na nią. Ale na wojnie, z dala od domu, miłość przetrwała, a irytacja poszła w niepamięć, a nawet stanowiła niekiedy dodatkowy czynnik tęsknoty. Ach, najdroższa Mateczka! Do

szau może doprowadzić! Lynn dałaby nie wiedzieć ile, aby słuchać jej bredni wypowiedzianych przyjemnym, ławym głosem. Ach, wrócić do kraju i pozostać tam na zawsze.

I oto była w kraju — zdemobilizowana, wolna — znowu w „Białym Domu”. Wróciła przed trzema dniami, a już zaczynał ją dręczyć jakiś dziwny niepokój i niesmak. Wszystko przedstawiało się tak samo jak niegdyś — albo prawie tak samo — dom, Mateczka, Rowley, farma, rodzina. Inna była i tylko sama Lynn, chociaż nie powinna się przecież zmienić.

— Kochanie! — zabrzmiał z dołu cienki głos pani i Marchmont — Czy mam podać córce śniadanko do łóżka?

— Skąd znowu! — odskrzyknęła szorstko Lynn. — Zaraz zejść!

„Dlaczego ona nazywa mnie córcią — pomyślała. — To takie idiotyczne spieszczenie”.

Zbiegła ze schodów i weszła do jadalni. Śniadanie nie było najlepsze. Lynn zaczynała się już orientować, jak nieproporcjonalnie dużo czasu i starali wymaga zaopatrywanie się w żywność. Ponadto pani Marchmont nie miała służby i przy wątpliwej pomocy kobiety przychodzącej przed południem, cztery razy tygodniowo, sama radziła sobie z gotowaniem i porządkami domowymi. Była słabego zdrowia i liczyła blisko czterdzieści lat, kiedy jej córka przysłała na świat. Lynn zdała sobie również sprawę, że sytuacja materialna jej i Mateczki jest w opłakanym stanie. Podatki zmniejszyły prawie do połowy niewielki roczny dochód, który przed wojną pozwalał na względny dostatek. Ceny wszystkiego idą w górę, a wydatki rosną ustawicznie.

„Nowy, wspaniały świat!” — pomyślała smętnie Lynn przebiegając wzrokiem szpalty porannego dziennika.

„Była WAAF* poszukuje pracy wymagającej inicjatywy i energii”.

„Była WREN szuka zajęcia. Posiada zdolności organizacyjne i kierownicze”.

Inicjatywa, energia, zdolności organizacyjne i kierownicze. Oto oferowany towar! A na co istnieje popyt? Na osoby, które umieją gotować, sprzątać albo dobrze znają stenografię; na wyrobników, rutyniarzy, gorliwych współpracowników.

Lynn to nie dotyczyło. Jej droga była wytknięta: małżeństwo z kuzynem Rowleyem Cloadem. Zaręczyli się siedem lat temu, tuż przed wybuchem wojny. Zawsze, dokąd sięga pamięcią, myślała o wyjściu za Rowleya. Łatwo pogodziła się z obranym przez niego zawodem. Życie na farmie jest przyjemne... Wprawdzie mało urozmaicone i wymaga ciężkiej pracy, ale oni obydwój lubią ruch na świeżym powietrzu i zwierzęta...

Obecnie widoki na przyszłość farmy przedstawiały się gorzej niż niegdyś. Wuj Gordon obiecywał przecież...

W uszach Lynn zadźwięczał płaczliwy głos pani Marchmont.

— To był dla nas wszystkich potworny cios, jak pisałam ci już, kochanie. Gordon spędził w Anglii tylko dwa dni. Nawet nie widzieliśmy go wcale. Ach, gdyby nie zatrzymał się w Londynie. Gdyby przyjechał prosto tutaj...

Tak. Gdyby... gdyby...

Otrzymała za granicą wiadomość o śmierci wuja wstrząsnęła Lynn i przejęła ją bólem. Ale istotne znaczenie tego faktu stawało się jasne dopiero teraz. Dziewczyna uprzytomniła sobie, że Gordon Cload, bezdzietny bogacz, zawsze władał jej życiem i życiem całej rodziny, która podporządkowała sobie bez zastrzeżeń. Ulegał mu nawet Rowley, który ze swoim przyjacielem, Johnem Vavasourem, zaczął prowadzić do spółki farmę. Kapitał ich był skromny; mieli za to wiele energii i nadziei. Zresztą Gordon Cload próbował ten krok, a Lynn powiedział nawet więcej:

— Bez kapitału nie dojdzie do niczego na farmie. Ale przede wszystkim należy się upewnić, że chłopaki mają naprawdę energię i dobre chęci. Gdybym pomógł im zaraz, mógłbym się tego dowiedzieć dopiero po wielu latach. Ale gdy się okaże, że to prawdziwe zuchy, gdy zrobią wszystko, co do nich należy... Cóż, Lynn, możesz się o nic nie martwić. Sfinansuję to przedsięwzięcie w stosownych granicach. Twoje widoki na przyszłość przedstawiają się wcale nieźle. Jesteś, moja droga, taką właśnie dziewczyną, jakiej Rowleyowi trzeba. Ale trzymaj język za zębami i nie powtarzaj tego, co ci powiedziałem.

Lynn nie zdradziła sekretu, lecz Rowley odczuwał j życzliwe zainteresowanie bogatego stryja. Musiał mu tylko dowieść, że w spółkę Rowley i John warto zainwestować kapitał.

Tak. Wszyscy Cloadowie liczyli bardzo na Gordona. Nie znaczy to, że byli gromadą wydrwigroszy i próżniaków. Jeremiasz prowadził kancelarię adwokacką, Lionel praktykował jako lekarz. Jednakże ich dni barwiła nadzieja na grube pieniądze. Nie musieli skąpić sobie ani oszczędzać. Przyszłość mieli zapewnioną dzięki Gordonowi, bezdzietnemu wdowcowi. Sam Gordon utrzymywał w takim przekonaniu całą rodzinę.

Owdowiała siostra bogacza, Adela Marchmont, mieszkała w „Białym Domu”, chociaż mogła się przenieść do skromniejszej, wymagającej mniej pracy siedziby. Lynn została oddana do pierwszorządnej szkoły i, gdyby nie wojna, mogłaby ukończyć choćby najkosztowniejsze studia. Czeka wuja Gordona nadchodziły regularnie i gwarantowały dostatek.

Wszystko wydawało się pewne, ustalone. Później przyszło zupełnie nieoczekiwane małżeństwo milionera.

— Oczywiście, moja droga — ciągnęła Adela Marchmont — wszyscy dostaliśmy obuchem po głowie. Nie podejrzewaliśmy nigdy, że Gordon może ożenić się powtórnie. Miał przecież takie liczne więzy rodzinne.

„Istotnie — pomyślała Lynn — więzy rodzinne miał liczne, może nawet zbyt liczne”.

— Zawsze był taki dobry — mówiła dalej Mateczka — chociaż czasami tyranizował nas trochę. Nie lubił siadać do stołu nakrytego tylko małymi serwetkami. Zawsze domagał się staroświeckiego obrusa. Raz, kiedy był we Włoszech, przysłał mi nawet obrus z przepięknej weneckiej koronki.

— Warto było ulegać kaprysom wuja — burknęła Lynn i dodała z niejakim ożywieniem: — Jak poznał się z tą... tą swoją drugą żoną? Nigdy mi nie pisałaś.

— Czy ja wiem, kochanie? Na jakimś statku czy w samolocie, zdaje się w drodze z Ameryki Południowej do Nowego Jorku. Po tylu latach! I po tych wszystkich sekretarkach, maszynistkach i gospodyniach.

Lynn uśmiechnęła się na wspomnienie, że od niepamiętnych czasów sekretarki, maszynistki i gospodynie wuja Gordona stanowiły przedmiot podejrzliwego zainteresowania rodziny.

— Czy ona jest ładna? — zapytała ciekawie.

— Cóż, kochanie — odrzekła pani Marchmont — moim zdaniem ma zupełnie niemądry wyraz twarzy.

— Ale ty, Mateczko, nie jesteś mężczyzną. — wtrąciła Lynn.

— Oczywiście — ciągnęła Adela — biedulka była w zbombardowanym domu i ucierpiała od podmuchu. Doznała wstrząsu i bardzo ciężko chorowała. Moim zdaniem nie przyszła jeszcze do siebie. To kłębek nerwów, córciu. Chwilami wydaje się, doprawdy, niespełna rozumu. Ale tak czy inaczej nie sadzę, by kiedykolwiek mogła być odpowiednią towarzyszką życia dla biednego Gordona.

Lynn uśmiechnęła się na myśl, że Gordon Cload, biorąc żonę o tyle lat młodszą, nie szukał zapewne towarzyski życia intelektualnego.

— Ale na tym nie koniec, moja droga — pani Marchmont zniżyła głos. — Z całą pewnością ona nie jest damą z towarzystwa.

— Cóż to za określenie, Mateczko? Takie kwestie nie mają znaczenia.

— Na prowincji, córciu, mają — odparła pobłaźliwie Adela. — Chciałam tylko dać ci do zrozumienia, że ona wcale do nas nie pasuje.

— Biedactwo!

— Absolutnie nie pojmuję, Lynn, dlaczego nazywasz ją biedactwem. Wszyscy staramy się usilnie traktować ją jak najserdeczniej, najuprzejmiej, przez wzgląd na biednego Gordona. Życzliwie przyjęliśmy ją do naszego grona.

— A więc ona jest w „Furrowbank”? — ożywiła się dziewczyna.

— Naturalnie. Dokąd miała się udać po wyjściu z lecznicy? Doktorzy orzekli, że nie może zostać w Londynie. Mieszka w „Furrowbank” ze swoim bratem.

— Co to za jeden?

— Okropny młody człowiek — pani Marchmont zrobiła efektowną pauzę i dorzuciła z przekonaniem. — Ordynus.

Lynn pomyślała z pewnym współczuciem, że na miejscu „okropnego młodego człowieka” i ona byłaby zapewne ordynarna.

— Jak się nazywa? — zapytała.

— Hunter. Dawid Hunter. Chyba Irlandczyk. Oczywiście to tacy ludzie, o jakich nikt z nas nie mógł nigdy słyszeć. Ona była wdową Nazywała się Underhay. Nie chciałabym być złośliwa, ale trudno, doprawdy, nie zadać pytania, jakiego to pokroju wdowy mogą podróżować w czasie wojny po Ameryce Południowej? Trudno nie podejrzewać, że polowała na bogatego męża.

— I nie na próżno — dorzuciła Lynn.

Pani Marchmont westchnęła.

— To zdumiewające. Gordon był zawsze taki ostrożny. A przecież różne go łąpały. Na przykład ta przedostatnia sekretarka. Robiła, doprawdy, co mogła. Podobno była pierwszorzędną siłą, a mimo to Gordon ją odprawił.

— Każdy ma swoje Waterloo — bąknęła Lynn.

— Sześćdziesiąt dwa lata — podjęła Mateczka. — Niebezpieczny wiek. No i wojna wytrąca ludzi z równowagi. Niepodobna wyrazić, jakim ciosem był dla nas wszystkich list z Nowego Jorku.

— Co wuj napisał?

— Zwrócił się do Frances, nie mam pojęcia, czemu właśnie do niej? Może myślał, że dzięki swojemu pochodzeniu będzie bardziej niż inni wyrozumiała. Napisał, że zdziwi nas niewątpliwie wiadomość o jego małżeństwie. Wszystko stało się nagle i niespodziewanie, ale jest pewien, że rodzina polubi Rosaleen... Co za teatralne imię, prawda, córciu? Wygląda raczej na pseudonim. Napisał też, że ona miała bardzo ciężkie życie i wiele przeszła, chociaż jest bardzo młoda. To zdumiewające, że potrafiła go omotać w taki sposób!

— Dobrze znana, stara gra — bąknęła Lynn.

— Naturalnie. Naturalnie. Nieraz się o czymś podobnym słyszało. Ale żeby Gordon, człowiek z takim doświadczeniem... Trudno, stało się. Rosaleen ma ogromne oczy, szafirowe w ciemnej oprawie.

— Jest ładna?

— Tak. Nawet bardzo ładna. Chociaż ja nie lubię tego typu urody.

— Ty, Mateczko, nie lubisz żadnego typu urody — uśmiechnęła się Lynn.

— Mylisz się, kochanie... Ach, ci mężczyźni! Nigdy nie można na nich liczyć. Nawet najbardziej zrównoważeni potrafią robić zdumiewające głupstwa. W zakończeniu listu Gordon wspominał, abyśmy nie sądzili, że jego małżeństwo rozluźni bodaj w najmniejszym stopniu dawne więzy. Dodał jeszcze, że czuje się odpowiedzialny za losy całej rodziny.

— Czy po ślubie nie sporządził testamentu? — zapytała Lynn.

Pani Marchmont pokręciła głową.

— Ostatni testament pochodzi z 1940 roku. Nie znam jego treści, ale nieraz słyszałam od Gordona, że gdyby mu się coś zdarzyło, wszyscy będziemy zabezpieczeni. Oczywiście małżeństwo unieważniło tę ostatnią wolę. Z pewnością Gordon zamierzał spisać nową po powrocie do kraju. Niestety, nie zdążył. Zginął prawie nazajutrz po wylądowaniu w Anglii.

— A więc wszystko dostało się tej... Rosaleen.

— Tak. Małżeństwo unieważniło dawny testament.

Lynn milczała. Nie była specjalnie wyrachowana, ale musiałaby być pozbawiona cech ludzkich, gdyby nie odczuła boleśnie nowego stanu rzeczy. Zdawała sobie sprawę, że Gordon Cload nie zamierzał stworzyć podobnej sytuacji. Lwią część majątku zapisałby prawdopodobnie młodej żonie, nie pominąłby jednak krewnych, których przyzwyczaił do liczenia na schedę. Tylekroć powtarzał przecież wszystkim, aby nie oszczędzali, nie troszczyli się o przyszłość. W obecności Lynn powiedział raz do Jeremiasza: „Będziesz bogaty po mojej śmierci”. Mateczke zaś mawiał często: „Nie martw się o nic, Adelo. Przyszłość Lynn to moja sprawa. Dobrze wiesz o tym. Nie chcę, żebyś wyprowadzała się z »Białego Domu«, przecież to twój dom. Nie martw się i przysyłaj mi wszystkie rachunki za remonty”. Gordon zachęcał Rowleya do zajęcia się gospodarstwem rolnym, Antoniego, syna Jeremiasza, skłonił do wstąpienia do Gwardii, i wyznaczył mu sutą pensję, Lionelowi pomagał w takim stopniu, że doktor mógł nie dbać o praktykę i poświęcać się niezbyt dochodowej pracy naukowej.

Pani Marchmont przerwała tok myśli córki, gdyż dramatycznym gestem wyciągnęła ku niej rękę z plikiem rachunków.

— Spójrz na to, córciu — powiedziała drżącymi wargami. — Co ja mam począć? Co, u Boga Ojca, mam począć, Lynn? Dziś dostałam z banku zawiadomienie, że konto wykazuje debet. Nie mam pojęcia, jak do tego doszło. Tak byłam oszczędna! Myślę, że moje akcje nie przynoszą tyle, co dawniej. W banku mówią, że wszystkiemu winne zwiększone podatki i te jakieś żółte kwitki, ubezpieczenie od ryzyka wojennego, które trzeba było płacić, czy kto chciał, czy nie chciał.

Lynn sięgnęła po rachunki i przejrzała je spieszenie.; Nie świadczyły o rozrzutności: reperacja dachu i płotów, wymiana uszkodzonego boileru i pękniętej rury kanalizacyjnej. Całość sięgała pokaźnej sumy.

— Chyba będę musiała się stąd wyprowadzić — westchnęła żałośnie Adela. — Tylko dokąd, Lynn? Nigdzie; w pobliżu nie ma małego domku, po prostu nie ma. Nie; chciałam, córciu, zawracać ci tym wszystkim głowy zaraz po powrocie. Ale nie wiem, co robić... Doprawdy, nie; wiem, Lynn.

Dziewczyna spojrzała na nią, Adela miała przeszło sześćdziesiąt lat, nigdy zaś nie była szczególnie silna. Pod czas wojny przyjmowała rodziny ewakuowane z Londynu. Musiała sprzątać i gotować. Ponadto zgłosiła się do Ochotniczej Służby Społecznej Kobiet: smażyła dzemy, pomagała przy wydawaniu posiłków w szkole. W przeciwieństwie do łatwego, pełnego wygód życia przed wojną, harowała po czternaście godzin dziennie. Obecnie była bliska zupełnego załamania — wyczerpana i przejęta obawą o przyszłość.

Lynn poczuła, że gniew w niej wzbiera.

— Czy ta... ta Rosaleen nie mogłaby pomóc? — zapytała niechętnie.

Pani Marchmont zarumieniła się lekko.

— Przecież nie mamy prawa... nie mamy prawa do niczego.

— Sądzę — odrzekła Lynn po krótkim zastanowieniu — że mamy prawo moralne. Wuj Gordon pomagał nam przecież zawsze.

Mateczka pokręciła głową.

— Przykro prosić o łaskę — powiedziała — zwłaszcza kogoś, kogo się nie bardzo lubi. No, tak czy inaczej ten brat nie pozwoli jej dać ani pensa.

Urwała i zmieniając ton heroiczny na kobieco-zjadliwy dodała po chwili:

— Jeżeli to naprawdę jej brat.

ROZDZIAŁ DRUGI

Frances Cload spojrzała ponad stołem na swojego męża.

Liczyła czterdzieści osiem lat i należała do szczupłych, przypominających charty kobiet, którym do twarzy w tweedowych kostiumach. Nie malowała się, tylko na wargi kładła trochę szminki, a jej twarz nosiła ślady wyzywającej, traktowanej niedbale urody. Jeremiasz Cload był chudym sześćdziesięcioletnim mężczyzną o suchej, pozbawionej wyrazu fizjonomii. Tego wieczora wyglądał jeszcze bardziej tępo niż zwykle, co żona zarejestrowała szybkim, przelotnym spojrzeniem.

Piętnastoletnia służąca dreptała wokół stołu usługując państwu. Pochłaniała Frances wystraszonego wzrokiem. Z rąk jej leciało wszystko, gdy pani marszczyła czoło, a spojrzenie wyrażające uznanie barwiło rumieńcem twarz dziewczyny.

W Warmsley Yale mówiono z zazdrością, że jeżeli nawet nikt inny nie utrzyma służby, będzie ją zawsze miała Frances Cload. Nie zyskiwała ludzi wysoką pensją; była bardzo wymagająca, ale jej gorące uznanie dla pilności i własna niespożyta energia czyniły z zajęć domowych coś twórczego i osobistego. Od dzieciństwa przywykła, że jej

usługiwano, więc nieświadomie traktowała ten stan rzeczy jako przyrodzony, a dobrą kucharkę czy pokojówkę oceniała tak, jak oceniałaby dobrego pianistę.

Frances Cload była jedyną córką lorda Edwarda Trentona, który miał stajnię wyścigową w pobliżu Warsley Heath. Osoby dobrze poinformowane uważały jego bankructwo za szczęśliwy ratunek od czegoś nieporównanie gorszego. Krążyły plotki o jego koniach, które w szczególny sposób zachowywały się na torach, o jakimś dochodzeniu prowadzonym przez zarząd Jockey Klubu... Jednakże lord Edward wyniósł opinię tylko lekko zszarganą, a dzięki ugodzie z wierzycielami mógł żyć dostatnio na południu Francji. Tak pomyślny obrót wydarzeń zawdzięczał w dużym stopniu przebiegłości i troskliwej opiece swojego doradcy prawnego. Jeremiasz Cload robił znacznie więcej, niż zazwyczaj adwokat robi dla klienta, i nie cofał się nawet przed udzielaniem osobistych gwarancji. Nie taił przy tym, że jest gorącym wielbicielem Frances Trenton, która w stosownym czasie, po uregulowaniu spraw majątkowych ojca, została panią Jeremiaszową Cload.

Jak Frances zapatrywała się na taki obrót sprawy, nikt nie wiedział dokładnie. Nie ulegało jednak wątpliwości, że swoją rolę gra bez zarzutu. Była lojalną żoną, dobrą gospodynią, troskliwą matką dla jedynego syna. Pomagając mężowi na wszelkie możliwe sposoby, nie dała nigdy do zrozumienia słowem ani uczynkiem, że małżeństwo mogło nie być z jej strony aktem wolnej i nieprzymuszonej woli. Nikt nie wiedział również, jak Jeremiasz Cload zapatruje się na swoje małżeństwo, ponieważ nikt nie wiedział nigdy, co Jeremiasz Cload myśli i czuje. Nazywano go powszechnie Zaszuszoną Mumią, ale reputację miał doskonałą, jako prawnik i jako człowiek. Firma adwokacka Cload, Brunskill i Cload nie przyjmowała nigdy spraw podejrzanych i uchodziła za spółkę nie najbardziej może rzutką, lecz bezwzględnie solidną. Prosperowała świetnie i Jeremiasz Cload mieszkał opodal Rynku, w okazałym gregoriańskim domu z dużym ogrodem, gdzie za staroświeckim murem wiosną grusze urzekały bielą.

Po obiedzie małżonkowie przeszli do pokoju z widokiem na ogród. Piętnastoletnia Edna przyniosła tam kawę, sapiąc przez nos z przejęciem.

Pani domu nalała do filiżanki trochę gorącej mocnej kawy i powiedziała tonem chłodnego uznania:

— Wyborna, Edno.

Piętnastolatka zaczerwieniła się z uciechy i wyszła, dziwiąc się ludzkim gustom. Jej zdaniem kawa winna być jasnokremowa, bardzo słodka i bardzo mleczna.

W pokoju z widokiem na ogród Cloadowie pili kawę czarną i niesłodzoną. Przy obiedzie prowadzili zdawkową rozmowę o spotkanych tego dnia znajomych, powrocie Lynn i sytuacji, jaką zapowiada dla farmerów najbliższa przyszłość. Obecnie jednak, gdy pozostali sami, milczeli.

Frances siedziała wygodnie w fotelu. Przyglądała się mężowi, który nie zdawał sobie sprawy, że jest przedmiotem obserwacji. Palcami prawej ręki gładził od czasu do czasu górną wargę. Nie wiedział o tym, ale był to gest charakterystyczny, świadczący o wewnętrznym poruszeniu. Frances rzadko to widywała; kiedy ich syn, Antoni, chorował ciężko w dzieciństwie; raz podczas oczekiwania na werdykt ławy przysięgłych; w dniu wybuchu wojny, gdy przy radiu oczekiwano wiadomości; w dniu, kiedy Antoni kończył urlop przed zaokrętowaniem jego oddziału.

Frances zawsze zastanawiała się chwilę nad tym, co chciała powiedzieć. Cloadowie byli szczęśliwym małżeństwem, ale zażyłość ich nie wyrażała się w słowach. Szanowali wzajemnie swoją rezerwę. Nawet po otrzymaniu depeszy z wiadomością, że Antoni poległ na polu chwały, małżonkowie uniknęli załamania.

On otworzył telegram i spojrzął na nią.

— Czy to...? — zapytała.

Pochylił głowę, podszedł do niej i wsunął świstek papieru w wyciągniętą dłoń żony.

Przez moment stali bez słowa. Wreszcie Jeremiasz szepnął:

— Chciałbym pomóc ci, moja droga.

— Tobie równie ciężko, jak mnie — powiedziała pewnym głosem.

Nie płakała. Świadoma była tylko pustki i dziwnego bólu.

— Tak... tak... — przyznał Jeremiasz i pogłaskał ją po ramieniu.

Później ruszył w stronę drzwi krokiem nieco chwiejnym, lecz sztywnym, powtarzając po drodze:

— Nie mam nic do powiedzenia... nic do powiedzenia...

Frances była wdzięczna, niewypowiedzianie wdzięczna mężowi za taki dowód zrozumienia i współczuła mu gorąco, bo w jednej chwili stał się starcem. Po stracie jedynego syna coś zakrzepło w Frances; wyszło w niej to, co nazywamy zazwyczaj dobrocią. Była jeszcze bardziej zaradna i energiczna. Ludzie bali się czasami jej niemiłosiernie zdrowego rozsądku.

Zadumany Jeremiasz Cload gładził bezwiednie górną wargę.

— Czy coś się stało, mój drogi? — zapytała spokojnie jego żona.

Wzdrygnął się. Omal nie upuścił szklanki z kawą. Później postawił ją na tacy i spojrzął na Frances.

— Co takiego, Frances?

— Pytałam, czy coś się stało?

— A cóż miałoby się stać?

— Nie chcę zgadywać. Wolę, byś mi sam powiedział — odrzekła chłodnym, rzeczowym tonem.

— Nic się nie stało... nic — odparł bez przekonania.

Milcząc mierzyła męża pytającym wzrokiem. Jego zaprzeczenia nie przyjęła do wiadomości. On spoglądał na nią niepewnie. Później nieprzenikniona maska spadła na moment z szarej twarzy i odsłoniła wyraz tak bezbrzeżnej męki, że Frances omal nie krzyknęła głośno. Trwało to chwilę, jednakże pani Cload była pewna, że się nie myli.

— Chyba najlepiej zrobisz, jak mi powiesz — rzekła spokojnie i beznamytnie.

— I tak musiałabyś się dowiedzieć wcześniej lub później — westchnął głęboko, smutno i zakończył zdaniem, które mocno ją zdziwiło. — Obawiam się, Frances, że zrobiłaś zły interes.

Pani Cload pominęła to stwierdzenie, którego nie rozumiała, i zaatakowała suche fakty.

— O co chodzi? O pieniądze?

Sama nie wiedziała, czemu zaczęła od tej kwestii. Nie zaobserwowała ostatnio znamion trudności finansowych, nie licząc takich, jakie były nieuniknione w powojennym czasie. Kancelaria odczuwała brak personelu i nie mogła sobie poradzić z nawałem pracy. Ale podobnie działo się wszędzie, a obecnie wróciło nawet kilku dawnych pracowników zwolnionych z wojska. Chodzić mogło równie dobrze o tajoną chorobę, bo Jeremiasz miał bardzo niedobłą cerę i był wyraźnie przepracowany. Instynkt podszeptnął Frances pieniądze i to, jak się okazało, trafnie.

Mąż przytaknął skinieniem głowy.

— Aha... — szepnęła i umilkła na chwilę, pogrążona w myślach.

Dla niej pieniądze znaczyły mało, wiedziała jednak, że mąż nie zdoła tego zrozumieć. Jego zdaniem decydowały o wszystkim — o spokoju, równowadze, określonej pozycji w życiu i świecie.

Frances poczytywała pieniądze za coś, co los daje ludziom do zabawy. Od urodzenia przywykła do tarapatów finansowych. W jej rodzinnym domu działo się świetnie, gdy konie spisywały się jak należy. Było natomiast bardzo źle, jeżeli dostawcy odmawiali kredytu i lord Edward musiał kluczyć przemyślnie, by nie spotkać komorników na swoim progu. Pewnego razu cała rodzina żyła przez tydzień suchym chlebem i musiała obywać się bez służby. Innym razem, kiedy Frances była jeszcze mała, pomocnicy komornika nie opuszczali domu przez trzy tygodnie. Jeden z nich był nawet bardzo miłym towarzyszem zabaw i opowiadał wiele pociesznych historyjek o swojej córeczce.

Frances wiedziała, że w razie braku gotówki trzeba skąpić sobie albo dokądś wyjechać i przez czas pewien żyć na koszt krewnych lub przyjaciół. Później można zaciągnąć pożyczkę... Jednakże spoglądając na męża rozumiała, że w świecie Cloadów nie stosuje się takich chwytów. Nie zebrze się, nie robi długów, nie pasożytuje na bliźnich. I odwrotnie: nie daje się jałmużny, nie udziela pożyczek, nie toleruje pasożytów.

Frances litowała się nad Jeremiaszem i czuła się trochę winna z racji własnej bez troski. Odwołała się więc do swego zmysłu praktycznego.

— Czy będziemy musieli coś sprzedać? — zapytała.

— Może firma bankrutuje?

Jeremiasz zmarszczył brwi, pojęła więc, że przystąpiła do rzeczy zbyt obcesowo.

— Powiedz mi, mój drogi — podjęła łagodnym tonem.

— Nie mogę przecież zgadywać.

— Dwa lata temu przeszliśmy ciężki kryzys — odrzekł sucho. — Pamiętasz, że młody Williams popełnił defraudację. Następnie, po upadku Singapuru, wynikły pewne komplikacje na Dalekim Wschodzie i...

— Mniejsza o przyczyny — przerwała. — To nieważne. Krótko mówiąc, wplataliście się w matnię i nie możecie z niej wybrnąć.

— Liczyłem na Gordona — bąknął. — On potrafiłby wszystko naprawić.

— Oczywiście — powiedziała z westchnieniem. — Nie myślę go potępiać. To naturalne i ludzkie, że biedak stracił głowę dla ładnej kobietki. Czemu, u Boga Ojca, nie miał się powtórnie ożenić, jeżeli chciał? Całe nieszczęście, że zginął, nim zdążył sporządzić testament i uregulować swoje sprawy. Prawdę mówiąc, nikt nigdy nie wierzy, że właśnie jemu może się coś stać, chociażby znajdował się w największym niebezpieczeństwie. Bomba na pewno zawsze spadnie na sąsiadów.

— Pomijam nawet bolesną stratę — rzekł starszy brat milionera — chociaż bardzo kochałem Gordona i zawsze byłem z niego dumny. Ale ta śmierć stała się dla mnie katastrofą. Przyszła w momencie...

— Czy będziemy bankrutami? — zapytała Frances tonem pewnego zaciekawienia.

Jeremiasz spojrział na żonę niemal z rozpaczą. Nie zdawał sobie z tego sprawy, ale chyba łatwiej poradziłby sobie, gdyby była przerażona i zalewała się łzami. Jej chłodne, rzeczowe zainteresowanie pognębiło go do reszty.

— Znacznie gorzej, bo... — zaczął.

Patrzył na żonę, która siedziała cicha, zamyślona.

„Za chwilę — myślał — będę jej musiał powiedzieć. Za chwilę dowie się, kim jestem. I tak musiałoby to wyjść na jaw... Może w pierwszej chwili nie uwierzy?”

Frances westchnęła i wyprostowała się w fotelu.

— Rozumiem — podchwyciła. — Sprzeniewierzenie. Nie wiem, czy to właściwe określenie? Jakaś taka historia jak z młodym Williamsem.

— Tak. Ale tym razem... Czy nie pojmujesz?... Tym razem ja jestem odpowiedzialny. Naruszyłem sumy powiernicze złożone w moje ręce. Jak dotąd zacierałem ślady...

— A teraz wszystko się wyda — uzupełniła.

— Jeżeli nie zdobędę potrzebnej kwoty... i to szybko... Jeremiasz nie był nigdy w życiu tak upokorzony. Jak Frances to przyjmie? Na razie jest spokojna, bardzo opanowana. Ale ona nie znosi przecież scen. Nie robi nigdy wymówek, nie strofuje.

Podniosła rękę do twarzy i zmarszczyła czoło.

— Jak to głupio, że ja nie mam własnego majątku — powiedziała.

— Twój posag zabezpieczyła intercyza, ale... — zaczął adwokat.

— Ale — podchwyciła — i mój posag poszedł, jak sądzę?

Umilkł na moment. Następnie podjął z wysiłkiem swoim suchym, bezbarwnym głosem:

— Przykro mi, Frances, niewymownie przykro. Zrobiłaś zły interes.

— Już raz to powiedziałaś. O co ci chodzi?

— Kiedy zechciałaś oddać mi rękę — powiedział sztywno — miałaś prawo spodziewać się... no... niezależności materialnej i życia wolnego od trosk codziennych.

Ze zdumieniem spojrzała na męża.

— Co ty mówisz, mój drogi? Czy nie rozumiesz, dlaczego wyszłam za ciebie?

Uśmiechnął się nieznacznie.

— Zawsze byłaś, Frances, dobrą i wierną żoną. Ale nie jestem zarozumiałą i sadzę, że nie poślubiłabyś mnie... ehem... w innych okolicznościach.

Spojrzała na męża i nagle wybuchnęła śmiechem.

— Zabawny jesteś! Za tą, surową, prawniczą fasadą kryje się umysł o bujnej fantazji. Czy sądzisz, że otrzymałeś mnie w nagrodę za uratowanie ojca od wilków czy też zarządu Jockey Klubu i tam dalej?

— Bardzo byłaś przywiązana do ojca, Frances.

— Przepadałam za nim! Był uroczy, a życie u jego boku stanowiło świetną zabawę. Ale zawsze zdawałam sobie sprawę, że to niezłe ziółko. Jeżeliś sadził, że sprzedaję się familijnemu adwokatowi dlatego, że uratował staruszkę od czegoś, na co długo i rzetelnie pracował, to, mój drogi, absolutnie mnie nie rozumiałeś. Absolutnie!

Bystro spojrzała na męża.

„To zdumiewające — pomyślała. — Być małżeństwem od przeszło dwudziestu lat i tak nic o sobie nie wiedzieć. Ale czy można w ogóle poznać myśli kogoś zupełnie odmiennego? On ma umysł romantyczny! Doskonale zamaskowany, ale niewątpliwie romantyczny! Świadczą o tym obrazy w jego sypialni. One powinny mi odkryć prawdę. Stary, kochany głuptas!”

— Wyszłam za ciebie — podjęła głośno — ponieważ byłam zakochana.

— Zakochana? We mnie? A czymże cię ująłem?

— Jeżeli tak stawiasz kwestię, Jeremiaszu, to nie wiem doprawdy. Byłeś odmianą, kimś kompletnie innym od całej kompanii ojca. Nigdy nie mówiłeś o koniach. Nie wyobrażasz sobie, jak miałam dosyć gadania o koniach i spodziewanych wypłatach w takiej czy innej gonitwie. Pewnego wieczora byłeś u nas na kolacji i siedziałeś obok mnie. Pamiętasz? Zapytałam wtedy, co to jest bimetalizm, i ty mi wytłumaczyłeś... naprawdę wytłumaczyłeś! Zajęło to całą wystawną kolację z sześciu dań. Byliśmy wtedy przy gotówce i mieliśmy francuskiego kucharza.

— Mój wykład musiał być piekielnie nudny — bąknął Jeremiasz.

— Nie! Był porywający. Nikt poprzednio nie traktował mnie poważnie. A ty zachowałeś się uprzejmie, ale wcale nie patrzyłeś na mnie i, jak mi się zdawało, nie myślałeś, że jestem ładna czy coś w tym sensie. Dało mi to ostrogę. Przysięgałam sobie, że zmuszę cię, byś zwrócił na mnie uwagę.

— A ja zwróciłem na ciebie uwagę — bąknął posępnie stary prawnik. — Poszedłem do domu i całą noc nie zmrzyłem oka. Miałaś jasnoniebieską suknię w deseń z bławatków.

Na chwilę zapadła cisza. Później Jeremiasz Cloud odchrząknął:

— Hm... Dawne dzieje...

Frances pośpieszyła z pomocą, chcąc wyzwolić męża z zakłopotania.

— A teraz jesteśmy starszym małżeństwem. Znaleźliśmy się w tarapatkach i wspólnie szukamy najlepszego wyjścia.

— Po tym, co przed chwilą usłyszałam, Frances, odczuwam tysiąc razy boleśniej tę... tę hańbę...

— Postawmy kwestię jasno — przerwała mężowi. — Wstydzisz się i ubolewasz, ponieważ rozminąłeś się z prawem. Możesz mieć proces i pójść do więzienia.

Adwokat skinął głową.

— Nie chcę, żeby tak się stało — podjęła. — Podejmę walkę i zaradzę złu. Ale nie przypisuj mi oburzenia czy moralnego niesmaku. Pamiętaj, że my nie jesteśmy rodziną zbytnio moralną. Mój ojciec był szachrajem, mimo całego uroku. No, a kuzynek Karol? Sprawę zatuszowano. Nie doszło do śledztwa i chłopak został spieszenie wyprawiony do kolonii. Był też kuzyn Gerald. Ten sfałszował czek w Oxfordzie. Na szczęście poszedł na front i otrzymał pośmiertnie Krzyż Wiktorii za bohaterstwo, poświęcenie się dla podkomendnych i nadludzką wytrwałość. Do czego zmierzam? Ludzie są już tacy: ani bezwzględnie źli, ani bezwzględnie dobrzy. Nie sądzę, abym ja była szczególnie uczciwa. Postępowałam dotychczas przyzwoicie, gdyż nie miałam pokus. Wiem, że jednego mi nie brak: odwagi — uśmiechnęła się do męża. — No i jestem lojalna.

— Kochanie!

Stary prawnik wstał, podszedł do żony, schylił się i ustami dotknął jej włosów.

— A teraz — uśmiechnęła się do niego córka lorda Edwarda Trentona — zastanówmy się, co robić? Skąd wy dostać pieniądze?

Twarz adwokata sposepniała.

— Nie mam pojęcia — szepnął.

— Pożyczka hipoteczna pod dom... Aha... To już zrobione. Jaka ja niemądra. Oczywiście, wykorzystałeś wszelkie łatwe sposoby. Teraz chodzi o chwyt specjalny. Do kogo możemy się zwrócić? Chyba tylko do jednej osoby: do wdowy po Gordonie, ciemnowłosej Rosaleen.

Jeremiasz pokręcił głową z powątpiewaniem.

— W grę wchodzi znaczna kwota. Należałoby podjąć ją z kapitału, a Rosaleen ma tylko dożywocie na majątku Gordona.

— Nie wiedziałam. Myślałam, że spadek otrzymała bez zastrzeżeń. Co będzie w przypadku jej śmierci?

— Wszystko dostanie się najbliższemu krewnym. To znaczy spadek będzie podzielony między mnie, Lionela, Adelę i Rowleya, syna Maurycego.

— A więc majątek nam się dostanie — powiedziała wolno Frances.

Jak gdyby coś przeszło przez pokój: chłodny powiew, jakaś nieuchwytna myśl...

— Nie wspominałeś o tym — rzekła pani Cload. — Sądziłam, że ona odziedziczyła wszystko i z kolei może pozostawić majątek, komu zechce.

— Nie. Zgodnie z ustawą z 1925 roku...

Frances nie słuchała wywodu męża, a gdy jego głos ucichł, podjęła:

— Dla nas to nie ma znaczenia. Od dawna będziemy w grobie, nim ona zostanie kobietą w średnim wieku. Ile ma lat? Dwadzieścia pięć... Dwadzieścia sześć... Pewno dożyje siedemdziesiątki.

— Moglibyśmy — zaczął stary prawnik z powątpiewaniem — zwrócić się do niej o pożyczkę... na zasadzie solidarności rodzinnej. Może to wspaniałomyślna osoba. Tak mało ją znamy.

— Słusznie — podchwyciła Frances. — No i byliśmy dla niej życzliwi w granicach rozsądku. Nie traktowaliśmy jej tak oschle jak Adela. Może zechce się odwdziżyć.

— Tylko nie wolno dać jej do zrozumienia, że mamy nóż na gardle — ostrzegł adwokat.

— Naturalnie! — potwierdziła żywo. — Cała bieda, że nie sama Rosaleen decyduje. Jest kompletnie pod wpływem tego swojego brata.

— Bardzo nieinteresującego młodego człowieka — uzupełnił Jeremiasz Cload.

— O, nie! — podchwyciła Frances z nieoczekiwanym uśmiechem. — On jest interesujący, nawet wyjątkowo interesujący. Nazwałabym go raczej człowiekiem pozbawionym skrupułów. Ale cóż? Ja także uważam się za osobę bez skrupułów.

Znowu uśmiechnęła się zimno i spojrzała na męża.

— Nie pozwolimy się pobić, mój drogi — powiedziała. — Znajdziemy jakieś wyjście, chociażbym nawet musiała ograbić bank.

ROZDZIAŁ TRZECI

— Pieniądze — powiedziała Lynn.

Rowley Cload skinął głową. Był to rosty, barczysty młody człowiek o rumianej cerze, smutnych błękitnych oczach i bardzo jasnych włosach. Był powolny nie z usposobienia, a raczej dlatego, że starał się o to. Posługiwał się ociężałością tak, jak inni energią i szybką orientacją.

— Tak — przyznał. — W naszych czasach wszystko wiedzie ostatecznie do pieniędzy.

— A ja myślałam, że farmerom doskonale się wiodło podczas wojny.

— Słusznie. Ale na stałe nic dobrego nie wyszło z tego. Za rok będzie nie lepiej niż przed wojną. Płace zwyżkują, o robotnika coraz trudniej. Wszyscy są niezadowoleni i nie wiedzą, na jakim świecie żyją. Chyba, że prowadzi się gospodarstwo na prawdziwie wielką skalę. Stary Gordon dobrze to rozumiał i miał zamiar zrobić swoje w porę.

— A teraz...? — zapytała Lynn.

— Teraz — skrzywił się Rowley — pani Gordonowa jedzie do Londynu i wydaje dwa tysiące funtów na futro z norek.

— To... to świństwo!

— Dlaczego? — urwał na moment i podjął z uśmiechem. — Bardzo chętnie zrobiłbym ci taki prezent, Lynn.

— Jaka ona jest? — zapytała, by porównać różne sady.

— Zobaczysz ją dziś wieczór na przyjęciu u stryja Lionela i ciotki Kate.

— Tak, wiem. Ale chcę, żebyś ty mi powiedział. Mateczka twierdzi, że ona jest niespełna rozumu.

— Cóż... — odrzekł Rowley po krótkim namyśle. — Nie powiedziałbym, że intelekt stanowi jej mocną stronę. Ale, moim zdaniem, robi wrażenie pomyłonej tylko dlatego, że jest diabelnie ostrożna.

— Ostrożna? Dlaczego?

— Tak w ogóle. Chodzi przede wszystkim o akcent, bo ona mówi prawie gwarą. A później o poprawne posługiwanie się nożem i widelcem, no i o wszelkie aluzje literackie.

— A więc ona jest... nie ma właściwie wykształcenia?

— Tak. Trudno ją nazwać damą z towarzystwa, jeżeli to masz na myśli. Ma piękne oczy i doskonałą cerę. Myślę, że to właśnie wzięło starego Gordona. No i jej rozbijającą naiwną miną. Myślę, że ta naiwność nie jest podrabiana, chociaż, kto to wie...? Teraz porusza się jak przez sen, jak niemowa, i pozwala Dawidowi kierować sobą.

— Co to za Dawid?

— Jej brat. Spryciarz gotów na wszystko. Nikogo z nas nie kocha.

— Dlaczego miałby nas kochać? — rzuciła Lynn tak żywo, że młody farmer spojrzął na nią ze zdziwieniem. — Wydaje mi się, że ty jego nie cierpisz.

— Masz rację. Tobie też się na pewno nie spodoba. To typ nie dla nas.

— Nie masz pojęcia, Rowley, kto może mi się spodobać, a kto nie. W ciągu ostatnich trzech lat widziałam kawał świata. Sądzę, że rozszerzyły się moje horyzonty.

— Naturalnie. Widziałas znacznie więcej niż ja.

Rowley wymówił ostatnie zdanie naturalnym tonem, lecz Lynn zmierzyła go bystrym wzrokiem. Coś kryło się za tym pozornym spokojem. Odpowiedział jej spojrzeniem bez wyrazu. Twarz miał niezmienną. Dziewczyna przypomniała sobie, że nigdy nie potrafiła zgadnąć, co ten człowiek naprawdę myśli. Dzisiejszy świat staje do góry nogami. Dawniej mężczyzna szedł na wojnę, kobieta zostawała w domu. Teraz dzieje się odwrotnie.

Jeden z dwu młodych rolników — Rowley lub John — musiał koniecznie zostać na farmie. Losowali. W rezultacie John zaciągnął się do wojska i wkrótce poległ w Norwegii. Przez długie wojenne lata Rowley nie oddalał się od domu więcej niż o kilka mil.

Natomiast Lynn widziała Egipt, Afrykę Północną, Sycylię. Wielokrotnie była pod ogniem. Teraz wróciła z wojny do Rowleya, który czekał na nią w kraju. Nagle przyszło jej na myśl, że on może mieć kompleks właśnie z tego powodu.

Roześmiała się urywanie, nerwowo.

— Życie idzie czasami na opak, prawda? — powiedziała.

— Czyja wiem? — młody farmer rozejrzał się dokoła.

— To zależy.

— Rowley... — zaczęła Lynn i urwała. — Czy... jakby tu powiedzieć?... Czy było ci przykro z powodu... Johna? Zmierzył ją chłodnym, obojętnym wzrokiem.

— Zostawmy Johna w spokoju. Wojna skończona. Mnie szczęście dopisało.

— Dopisało ci szczęście? — zawahała się. — Dlatego, że... że nie musiałeś iść?

— To był prawdziwy uśmiech losu, nie sądzisz?

Lynn nie miała pojęcia, jak przyjąć tę wypowiedź. Młody człowiek mówił łagodnie, ale jak gdyby z lekkim naciskiem. Po chwili uśmiechnął się blade.

— Wam, kobietom—żołnierzom trudno będzie osiąść spokojnie w domach.

— Nie bądź głupi, Rowley! — rzuciła gniewnie. Czemu się zirytowała? Może dlatego, że ostatnie zdanie było tak bliskie prawdy.

— Mniejsza o to — odparł. — Chyba należałoby teraz pogadać o naszym ślubie, jeżeli naturalnie nie zmieniłaś zdania.

— Oczywiście, że nie zmieniłam zdania. Dlaczego miałabym zmienić?

— To nigdy nie wiadomo — bąknął mętnie.

— Czy sądzisz, że ja... że jestem teraz inna?

— Niespecjalnie.

— A może ty zmieniłaś zdanie?

— Och, nie... Widzisz, na takiej farmie mało co się zmienia.

— To dobrze — Lynn odczuła, że niebezpieczny kryzys minął. — Możemy się pobrać. Kiedy byś sobie życzył?

— Powiedzmy... w czerwcu.

— Zgoda.

Umilkli. Kwestia została rozstrzygnięta. Lynn odczuła nie wiedzieć czemu bolesne przygnębienie. Cóż, Rowley był jak Rowley: zawsze taki sam. Uczuciowy, niezdolny do objawiania wzruszeń, skryty.

Kochali się od bardzo dawna. Nigdy nie mówili dużo o miłości, czemu więc dzisiaj mieliby zacząć o niej mówić.

Pobiorą się w czerwcu, zamieszkają na farmie „Long Willows” (to bardzo ładna nazwa) i Lynn nigdy już nigdzie nie wyjedzie. Teraz po wojnie słowo „wyjazd” miało dla niej inne niż niegdyś znaczenie. Na jego dźwięk odczuwała podniecenie, jak w chwili gdy trap zostaje ściągnięty na nabrzeże i słychać tupot spieszych kroków załogi; gdy srebrny samolot unosi się w powietrze, a ziemia pozostaje w dole; gdy spogląda się na nieznaną linię brzegu, która przybiera coraz wyraźniejsze kształty. Lynn wydało się, że czuje zapach gorącego kurzu, nafty, czosnku, słyszy beładny obcojęzyczny gwar, widzi egzotyczne, różnobarwne kwiaty... Pakować się, rozpakowywać... Jaki będzie kolejny etap?

Tamto minęło. Wojna dobiegła kresu. Lynn Marchmont powróciła do kraju: marynarz zawinął do portu.

„Ale ja nie jestem tą samą Lynn, która stąd odjeżdżała” — przebiegło przez myśl dziewczyny.

Podniosła wzrok i spostrzegła, że Rowley obserwuje ją bacznie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Przyjęcia u ciotki Kate wyglądały zawsze tak samo. Były bezładne, improwizowane i charakterem żywo przypominały panią domu. Doktor Cload z trudem hamował rozdrażnienie, co rzucało się w oczy. Dla gości był nieodmiennie uprzejmy, lecz uprzejmość kosztowała go wiele starań.

Lionel Cload był podobny do brata Jeremiasza, równie chudy i siwy. Nie miał jednak sztywnego chłodu adwokata. Szorstką popędliwością zrażał często pacjentów i kazał im zapominać o swojej gruntownej wiedzy i nie udawanej życzliwości dla ludzi. Naprawdę interesował się pracą naukową, a konikiem jego było ziołolecznictwo na przestrzeni wieków. Umysł miał ścisły, toteż nie bez przymusu tolerował dziwactwa swojej żony.

Lynn i Rowley mówili zawsze o pani Jeremiaszowej Frances. Natomiast doktorową nazywali nieodmiennie ciotką Kate. Lubili ją, lecz uważali za postać komiczną.

Przyjęcie, wydane ostentacyjnie z racji powrotu Lynn, ograniczyło się do kółka ściśle rodzinnego.

Ciotka Kate powitała serdecznie siostrzenicę męża:

— Ślicznie wyglądasz, moja droga. I taka jesteś opalona. To pozostałość Egiptu, prawda? Czy przeczytałaś książkę, którą ci posłałam? Tę o wróżbach piramid. Interesująca, prawda? Wszystko tak jasno tłumaczy.

Wejście pani Gordonowej Cload oraz jej brata Dawida uchroniło Lynn od odpowiedzi.

— To jest Rosaleen, nasza siostrzenica — Lynn Marchmont.

Dziewczyna spojrzała na wdowę po Gordonie z grzecznie maskowanym zaciekawieniem.

Tak. Osóbka, która wyszła za starego Gordona dla pieniędzy, była istotnie ładna. Rowley miał słuszną twierdząc, że ma naiwny wyraz twarzy. Czarne włosy w lokach do ramion, szafirowe irlandzkie oczy w ciemnej oprawie, lekko rozchylone usta. Cała reszta sprawiała przede wszystkim wrażenie kosztownego luksusu: suknia, biżuteria, starannie wymanicurowane paznokcie, futrzana etola. Postać powabna, ale rzucało się w oczy, że Rosaleen nie umie nosić drogich strojów. Lynn Marchmont wyglądałaby całkiem inaczej, gdyby miała chociaż połowę jej możliwości!

„Ale ty nigdy do tego nie dojdiesz!” — szepnęła jej jakiś głos wewnętrzny.

— Dobry wieczór pani — powiedziała Rosaleen Cload i nieporadnie spojrzała na towarzyszącego jej młodego człowieka. — To... to mój brat, Dawid — szepnęła.

— Dobry wieczór pani — odezwał się Dawid Hunter, szczupły młody mężczyzna o ciemnych włosach i ciemnych oczach; twarz miał pociągłą o wyrazie śmiałym i nieco impertynenckim, ale posepnym.

Lynn zrozumiała teraz, dlaczego nie przypadł do gustu Cloadom. Podczas wojny widywała ludzi zbliżonego pokroju: nieustraszonych, czasami niebezpiecznych. Nie należało im ufać, bo zwykli drwić z całego świata i sami tworzyli dla siebie prawa. Podczas akcji szacowani na wagę złota, poza zasięgiem ognia do rozpacy przywozili dowódców.

— Jak się mieszka w „Furrowbank”? — zwróciła się Lynn do Rosaleen, żeby nawiązać rozmowę.

— Moim zdaniem to cudowny dom — odpowiedziała młoda wdowa.

Dawid Hunter roześmiał się drwiąco.

— Biedny stary Gordon potrafił się urządzać — wtrącił. — Nie dbał o koszty.

Była to słuszną uwagą. Kiedy Gordon Cload postanowił osiedlić się w Warmlesley Yale, albo raczej doszedł do wniosku, iż nieznaczną część ruchliwego życia będzie tam spędzał, zdecydował, że wybuduje dom. Był zbyt wielkim indywidualistą, aby zamieszkać w murach przesiąkniętych historią obcych ludzi. Zaangażował młodego architekta i dał mu wolną rękę. Połowa mieszkańców Warmlesley Yale była zdania, że „Furrowbank” to obrzydliwy dom. Ludziom z prowincji nie podobała się symetryczność, szafy w ścianach, przesuwane drzwi, nowoczesne stoły i krzesła. Natomiast jednomyślny poklask zyskiwały wspaniałe łazienki.

Rosaleen z zachwytem powiedziała: — To cudowny dom — ale na dźwięk śmiechu brata zarumieniła się mocno.

— Niedawno została pani zdemobilizowana, prawda? — zwrócił się Dawid do Lynn.

— Tak.

Oszacował ją wzrokiem i Lynn zarumieniła się również, nie wiadomo dlaczego.

Nagle ciotka Kate stanęła w pobliżu. Miała talent nieoczekiwanego materializowania się w przestrzeni. Zapewne nauczyły ją tego niezliczone seanse spirytystyczne, w których brała udział.

— Kolarcja, proszę państwa — oznajmiła i zaraz podjęła nawiasowo: — Wolę mówić kolarcja niż obiad. Goście nie spodziewają się wtedy zbyt wiele. Bardzo teraz o wszystko trudno. Mary Lewis powiada, że co drugi tydzień wsuwa dziesięć szylingów w łapę sprzedawcy ze sklepu rybnego. Uważam, że to niemoralne.

Opodał rozległ się krótki, nerwowy śmiech Lionela Cloada, który rozmawiał z Frances.

— Daj spokój, Frances! — powiedział doktor. — Nie wyobrażasz sobie chyba, że ja uwierzę w coś takiego. No, chodźmy na kolarcję.

Całe towarzystwo przeszło do niezbyt porządnej, brzydtko umeblowanej jadalni. Jeremiasz i Frances, Lionel i Kate, Adela, Lynn i Rowley. Oto rodzinne zebranie Cloadów z udziałem dwojga obcych. Bo przecież Rosaleen nie weszła do rodziny, jak Frances albo Kate, chociaż zyskała jej nazwisko. Była obca, zdenerwowana i czuła się niepewnie. A Dawid? Dawid był zupełnie poza nawiasem — nie tylko dzięki okolicznościom, lecz również z własnego wyboru. Gdy Lynn zajmowała miejsce przy stole, myśli jej biegly takim mniej więcej torem:

„Atmosferę przesycają, fale jakichś uczuć... jak gdyby silny prąd elektryczny... Czego? Nienawiści? Czy to istotnie może być nienawiść? No, w każdym razie coś destrukcyjnego... coś podobnego występuje wszędzie! — przyszło jej

nagle do głowy. — Zauważyłam to zaraz po powrocie do kraju. Zła wola. Niezyczliwe uczucia. Na każdym kroku: w pociągach, autobusach, pośród robotników, urzędników, a nawet ludzi zatrudnionych na farmach. Pewno podobnie dzieje się w kopalniach i wielkich zakładach przemysłowych. Zła wola. Ale tutaj wyczuwa się coś więcej. To jest umyślne, świadome i zamierzone — wzdrygnęła się.

— Czy my aż tak nienawidzimy tych przybłędów, którzy zagarnęli to, co uważaliśmy już za nasze? Nie. Jak dotąd — nie! To raczej oni nas nienawidzą”.

To odkrycie wydało się Lynn tak przerażające, że siedziała przy stole bez słowa, zapominając o rozmowie z sąsiadem — Dawidem Hunterem.

— Próbuje pani coś wymyślić? — zapytał wreszcie miłym spokojnym głosem o lekko ironicznym tonie.

Lynn stropiła się. Ten człowiek będzie sadyż, że ona specjalnie wobec niego stara się być źle wychowana.

— Przepraszam — powiedziała. — Dumałam o różnych sprawach świata tego.

— Temat wysoce banalny — rzucił chłodno.

— Zapewne. Teraz jesteśmy wszyscy niezwykle szczerzy i to nie wychodzi jakoś nikomu na dobre.

— Znacznie praktyczniej wymyślać coś złego. W ciągu ostatnich lat osiągnęliśmy niezłe rezultaty w tej dziedzinie: chociażby taki popisowy numer jak bomba atomowa.

— Właśnie o tym myślałam... Naturalnie nie o bombie atomowej, tylko o złej woli; o świadomej, rozmyślnej złej woli.

— Zła wola... zapewne — podjął spokojnie Dawid. — Do mnie bardziej przemawiają posunięcia wyraźnie celowe. W wiekach średnich ludzie byli praktyczniejsi pod tym względem.

— Co pan ma na myśli?

— Ogólnie biorąc, czarną magię: wrogie zaklęcia, woskowe figurki, gusta na nowiu. Zabijanie takimi sposobami bydła sąsiadów... no i samych sąsiadów.

— Nie wierzy pan chyba, że naprawdę istniało coś takiego jak czarna magia? — rzuciła Lynn tonem powątpiewania.

— Może i nie istniała. Ale bądź co bądź ludzie usilnie próbowali .czarnoksięskich sztuczek. A dzisiaj... Cóż? — wzruszył ramionami. — Mimo całej złej woli na świecie pani i cała pani rodzina niewiele możecie zdziałać przeciwko Rosaleen i mojej skromnej osobie. Czy nie mam racji?

Lynn spojrzała bystro na sąsiada. Rozmowa zaczynała ją bawić.

— Jest już trochę za późno — powiedziała uprzejmym tonem.

Dawid Hunter wybuchnął śmiechem. Widać było, że i on bawi się nie najgorzej.

— Sądzi pani, że zdążyliśmy już ująć z łupem? Słusznie. Mocno siedzimy w siodle.

— I jesteście bardzo zadowoleni.

— Z tego, że mamy furę pieniędzy? Bez wątpienia.

— Nie o same pieniądze chodzi. Myślę, że cieszy was również nasza sytuacja.

— Że udało się nam was wykiwać? Być może. Byliście pewni siebie, spokojni o forszę starego. Zdawało się wam, że już ją macie w garści.

— Proszę pamiętać — odpowiedziała Lynn — że od lat wuj Gordon — uczył nas tak myśleć. Powtarzał, żeby nie oszczędzać, nie kłopotać się o przyszłość. Zachęcał do realizowania rozmaitych planów i projektów.

„Rowley — pomyślała. — Rowley i jego farma”.

— Nie nauczyli się państwo tylko jednej prawdy — uśmiechnął się Dawid.

— A mianowicie?

— Że na tym świecie nie ma nic pewnego.

— Lynn! — zawołała przez stół ciotka Kate. — Jeden z duchów wywołanych przez panią Lester to kapłan z czasów czwartej dynastii. Mówił nam zdumiewające rzeczy. Musimy kiedyś uciąć długą pogawędkę, tak w cztery oczy, Lynn. Myślę, że Egipt musiał wywrzeć duży wpływ na twoją psychikę.

— Lynn miała tam do roboty coś lepszego niż zawracanie sobie głowy błazeriskimi przesadami — rzucił szorstko doktor Cload.

— Strasznie jesteście przyziemny, Lionelu — skarciła go małżonka.

Lynn uśmiechnęła się do ciotki i przez pewien czas siedziała milcząca. W uszach dźwięczały jej jak refren ostatnie słowa sąsiada: „Nie ma nic pewnego”.

Niektórzy ludzie żyją w dziwnym świecie, gdzie wszystko jest niebezpieczeństwem. Do nich właśnie należy Dawid Hunter... Lynn nie przywykła do takiego świata, ale bezsprzecznie posiadał on dla niej pewien urok...

— Czy jesteśmy nadal w stosunkach pozwalających na prowadzenie rozmowy? — zapytał pogodnie Dawid.

— Naturalnie.

— To dobrze. I nadal ma pani za złe Rosaleen i mnie, że niesłusznie doszliśmy do majątku?

— O tak! — przyznała rezolutnie.

— To doskonale. I co chce pani przedsięwziąć?

— Kupię trochę wosku i zacznę praktykować czarną magię.

Roześmiał się.

— O, nie! Tego pani nie robi. Nie wygląda pani na osobę, która ufa niedzisiejszym, staromodnym sposobom. Pani metody będą nowoczesne i niewątpliwie bardziej skuteczne. Ale i tak nie zwycięży pani.

— Skąd panu przyszło do głowy, że w ogóle będzie jakaś walka? Przecież wszyscy pogodziliśmy się z nieuniknionym.

— Tak. I zachowują się państwo bez zarzutu. To ogromnie zabawne.

— Dlaczego pan nas tak nienawidzi? — zapytała Lynn stłumionym głosem.

Ciemne, niezgłębione oczy Dawida błysnęły dziwnie.

— Sądzę, że nie potrafiłbym tego wytłumaczyć — powiedział.

— A ja sądzę, że pan by potrafił.

Umilkł na moment. Potem spytał z całą swobodą.

— Dlaczego wychodzi pani za Rowleya Cloada? Przecież to tuman.

— Nic pan nie wie o naszych sprawach i... i o nim — rzuciła szorstko. — Daleko panu żeby to wszystko zrozumieć.

— Co pani sędzi o Rosaleen? — zapytał młody człowiek nie zmieniając tonu.

— Jest bardzo ładna.

— I co więcej?

— Nie wygląda na osobę zadowoloną.

— Racja. To głupia dziewczyna. Boi się. Ciągłe się czegoś bała. Zawsze pozwala, żeby prąd niósł ją przed siebie, a później nie wie, co z sobą zrobić. Mam pani opowiedzieć historię Rosaleen?

— Jeżeli pan sobie życzy? — przystała uprzejmie.

— Życzę sobie. Zaczęła od tego, że uroiła sobie scenę i prąd porwał ją w kierunku sceny. Oczywiście nie była dobrą aktorką. Przyłączyła się do trzeciorzędnej wędrowniej trupy, która wyjeżdżała do Południowej Afryki. Spodobało jej się samo brzmienie nazwy: Południowa Afryka. Trupa osiadła na łądzie w Cape Town i prąd doniósł znów Rosaleen aż do małżeństwa z funkcjonariuszem państwowym z Nigerii. Nie lubiła Nigerii i, jak sądę, mąż nie przypadł jej do gustu. Wszystko byłoby w porządku, gdyby ten gość okazał się tegim zuchem, gdyby pił na umór i bijał młodą żonkę. Ale to był intelektualista. Miał w tej dżungli dużą bibliotekę i przepadał za rozmowami o metafizyce. Wobec tego powrotny nurt zaniósł Rosaleen do Cape Town. Mąż zachował się pierwszorzędnie. Przyznał jej niemałą pensję i pewno zgodziłby się na rozwód, gdyby nie był katolikiem. Na szczęście jednak umarł w porę na febrę i Rosaleen otrzymała skromną rentę. Wreszcie wybuchła wojna. I znowu prądy zaniósł Rosaleen statkiem do Ameryki Południowej. Ale i ta część świata nie bardzo jej odpowiadała. Znalazła się jakoś na drugim statku, gdzie poznała Gordona Cloada i opowiedziała mu smutne dzieje swojego życia. W rezultacie pobrali się w Nowym Jorku i żyli szczęśliwie przez dwa tygodnie. Później jego zabiła bomba, a ona otrzymała w spadku ogromny dom, piękną biżuterię i kolosalny roczny dochód.

— Jak to miło, że pańska powiastka tak pomyślnie się kończy — powiedziała Lynn.

— Słusznie — odparł Dawid Hunter. — Rosaleen nigdy nie miała rozumu, lecz na ogół dopisywało jej szczęście, co właściwie na jedno wychodzi. Gordon Cload był krzepkim staruszkiem po sześćdziesiątce. Mógł żyć jeszcze dwadzieścia lat albo dłużej. Dla Rosaleen nie byłoby to zbyt zabawne, prawda? Wychodząc za niego miała dwadzieścia cztery lata. Teraz ma dwadzieścia sześć.

— Wygląda jeszcze młodziej.

Dawid spojrzął przez stół na siostrę. Odruchowo kruszyła chleb i sprawiała wrażenie wylęknionego dziecka.

— Ma pani rację — przyznał. — Zawdzięcza to chyba absolutnemu brakowi myśli.

— Biedactwo — westchnęła Lynn.

Dawid nastroszył się nagle.

— Skąd to współczucie? — rzucił szorstko. — Chyba ja się dobrze nią opiekuję!

— Nie wątpię.

— Jeżeli ktoś zechce ją skrzywdzić — podjął posępnie Hunter — będzie miał ze mną do czynienia! Potrafię walczyć na rozmaite sposoby, nie zawsze uczciwe i przyzwoite.

— Czy nie mógłby mnie pan zapoznać również z własnym życiorysem? — zapytała chłodno Lynn.

— W bardzo skróconym wydaniu — odparł z uśmiechem. — Kiedy wojna wybuchła, sądziłem, co prawda, że nie ma powodu, abym walczył za Anglię, bo jestem Irlandczykiem, ale, jak wszyscy Irlandczycy, lubię walczyć. Pociągali mnie komandosi. Z początku miałem niezłą zabawę, lecz, na nieszczęście, odpadłem prędko z paskudnie poharataną nogą. Dostałem przydział na szkolenie i pojechałem do Kanady. Zaczynało mi się już na dobre przykrzyć, kiedy dostałem od Rosaleen depezę z wiadomością, że wychodzi za mąż w Nowym Jorku. Nie napisała wyraźnie, co przez ten związek zyska, ale ja umiem czytać między wierszami. Bez wahania poleciałem do Nowego Jorku, przyczepiłem się do młodej pary i zjechałem razem z nimi do Londynu. A teraz — uśmiechnął się bezczelnie do sąsiadki — „Dzielny marynarz zawiął do portu”. To pani. „A łowca powrócił z gór”. Co się pani stało?

— Nic — odpowiedziała Lynn.

Wraz z resztą biesiadników wstała od stołu. Po drodze do salonu Rowley szepnęła narzeczonej:

— Wygląda, że dobrze się czujesz w towarzystwie Dawida Huntera. Co było tematem rozmowy?

— Nic szczególnego — odpowiedziała Lynn.

ROZDZIAŁ PIĄTY

— Dawidzie, kiedy wrócimy do Londynu? Kiedy wyjedziemy do Ameryki?

Siedzieli przy śniadaniu. Dawid Hunter zerknął na Rosaleen bystro i z niejakim zdziwieniem.

— Nie ma pośpiechu. Co ci tu nie dogadza?

Z przyjemnością rozejrzał się dokoła. Dom był zbudowany na zboczu wzgórza i z okien pokoju, w którym jedli, widać było rozległą panoramę sennej angielskiej równiny. Na skraju trawnika posadzono tysiące żonkili. Przekwitwały już, ale nadal tworzyły złocistą smugę.

— Mówiłeś — szepnęła Rosaleen łamiąc na talerzu grzanekę — że wyjedziemy do Ameryki... niedługo. Jak tylko uda się dostać bilet na okręt.

— Mówiłem. Ale dzisiaj to niełatwa sprawa. Obowiązuje prawo pierwszeństwa. Za nami nic nie przemawia. Nie mamy interesów w Ameryce. Po wojnie zawsze są różne trudności.

Mówiąc to Dawid był ogromnie zły na siebie. Przytaczał swoje racje z przekonaniem, czuł jednak, że brzmią jak wykręty. Ciekaw był, czy odczuwa to również siedząca naprzeciw niego młoda osoba. Czemu jej tak pilno do Ameryki?

— Mówiłeś — podjęła cicho — że będziemy całkiem krótko. Nic nie mówiłeś o zamieszkaniu na stałe.

— Co ty chcesz od Warmsley Yale albo od „Furrowbank”? Powiedz.

— Nic nie chcę. To o nich mi chodzi, o nich wszystkich.

— O Cloadów?

— Tak.

— A dla mnie to właśnie największa uciecha. Z satysfakcją patrzę na ich twarze. Są układni, ale pożera ich zawiść i złośliwość. Nie pozbawiaj mnie tej rozrywki, Rosaleen.

— Bardzo nieładnie, że tak myślisz. Wcale mi się to nie podoba — szepnęła z wahaniem i żalem.

— Uszy do góry, dziewczyno. Życie tego dawało nam po głowie, i tobie, i mnie. Tymczasem Cloadom wiodło się doskonale. Pasożytowali na wielkim bracie, Gordonie, jak pchły na psie. Nienawidzę ludzi takiego pokroju.

— A ja brzydzę się nienawiścią, To grzech — powiedziała zgorszona.

— Przecież to oni ciebie nienawidzą! Czy są uprzejmi, życzliwi?

— Nie okazują niechęci — szepnęła z wahaniem. — Nie robią mi nic złego.

— Ale chcieliby, niemądre dziecko, bardzo by chcieli — roześmiał się beztrzesko. — Gdyby nie dbali o własną skórę, znaleziono by cię pewnego pięknego dnia z nożem w plecach.

Wzdrygnęła się trwożnie.

— Nie opowiadaj takich rzeczy!

— No, niekoniecznie z nożem. Mogłabyś znaleźć strychninę w zupie.

Szeroko otworzyła oczy. Usta jej drżały.

— Chyba... chyba żartujesz, Dawidzie?

— Nie bój się, Rosaleen — odrzekł z całą powagą.

— Czuwam nad tobą. Najprzód musieliby się ze mną rozprawić.

— Jeżeli to prawda, co mówisz — zaczęła lękliwie — o ich nienawiści do nas... do mnie... to... dlaczego nie wracamy do Londynu? Tam byłibyśmy daleko od nich... bezpieczni.

— Wiejskie powietrze służy ci, moja mała. Pamiętasz, jak niedobrze czułaś się w Londynie?

— Bo wtedy tam były bomby... Bomby! — wzdrygnęła się i zamknęła oczy. — Nigdy tego nie zapomnę... Nigdy!

— Zapomnisz — ujął ją za ramiona i potrząsnął delikatnie. — Zapomnisz. Tylko nie myśl o tym. Doznałaś wstrząsu, ale wszystko przecież minęło. Teraz nikt nie rzuca bomb. Nie myśl o tym. Staraj się nie pamiętać. Doktorzy zalecili ci wiejskie powietrze i życie na wsi przez dłuższy czas. Dlatego właśnie sprzeciwiam się powrotowi do Londynu.

— Naprawdę, Dawidzie? Naprawdę? A ja myślałam, że może...

— Co myślałaś?

— Myślałam, że może — podjęła z wolna — chcesz tutaj zostać dla niej...

— Dla niej?

— Wiesz przecież, o kim mowa... Ta dziewczyna z przyjęcia Cloadów... ta, co była w wojsku...

— Lynn? Lynn Marchmont.

Twarz Dawida sposepniała nagle i poszarzała.

— Interesujesz się nią, Dawidzie? — zapytała Rosaleen.

— Lynn Marchmont? Przecież jest zaręczona. Jej narzeczony to Rowley, stary, pocziwy domator Rowley, ten przystojny, tępy wół z farmy.

— Wtedy wieczorem widziałam, jak z nią rozmawiałeś.

— Daj spokój, Rosaleen!

— Czy i później ją spotykałeś?

— Wczoraj rano, kiedy wyjechałem konno, natknąłem się na Lynn Marchmont w pobliżu farmy.

— I będziesz ją widywał?

— Oczywiście. Będę ją często widywał. Warmsley Yale to straszna dziura. Niepodobna zrobić dwu kroków, żeby nie wpaść na jakiegoś Cloada. Mylisz się jednak, Rosaleen, jeżeli podejrzewasz, że zadurzyłem się w tej dziewczynie. Jest

dumna, niesympatyczna, zadziera nosa i ma niezwykle cięty język. Życzę jej szczęścia z poczciwym, gospodarnym Rowleyem. Nie, moja miła, to stanowczo nie mój typ.

— Jesteś tego pewien, Dawidzie? — szepnęła z powątpiewaniem.

— Jak najpewniejszy.

Rosaleen uśmiechnęła się blado, lekliwie.

— Wiem, że nie lubisz, jak stawiam kabałę, ale... karty nie kłamią, naprawdę nie kłamią. Wyszła mi dziewczyna, która przybędzie zza morza i narobi zmartwienia i kłopotów. Był także śniady nieznajomy, co się zapłacze w nasze życie. Było wielkie niebezpieczeństwo, i jeszcze karta, co wróży śmierć i...

— Daj spokój tym bredniom — roześmiał się Dawid. — Co za przesady! Chcesz posłuchać mojej rady? Nie zadawaj się nigdy z żadnym śniadym nieznajomym.

Wyszedł z domu roześmiany, ale tuż za progiem sposepniał i mruknął do siebie:

— Bodaj cię licha, Lynn! Wróciłaś do kraju po to, żeby zmacić spokojną wodę.

Przyczyną tej apostrofy była nagła świadomość, że celowo obiera drogę, na której może spotkać Lynn Marchmont.

Rosaleen widziała przez okno, jak Dawid przemierza ogród i furtką w murze wychodzi na wiodącą przez pole ścieżkę. Następnie poszła do swojej sypialni i rozpoczęła przegląd szafy z garderobą. Wielką przyjemność sprawiało jej zawsze dotykanie i gładzenie nowego płaszcza z nerek. Nie mogła wyjść z podziwu, że to ona posiada tak wspaniałe futro. Była jeszcze w sypialni, gdy weszła pokojówka, aby oznajmić wizytę pani Marchmont.

Adela czekała w salonie. Usta miała zaciśnięte, a jej serce biło dwa razy szybciej niż zwykle. Od kilku dni zbierała siły, by zwrócić się z prośbą do Rosaleen, ale wierna swojej naturze nie potrafiła się na to zdobyć. Powstrzymywała ją również nagła zmiana stanowiska córki, która sprzeciwiała się stanowczo zaciągnięciu pożyczki u wdowy po Gordonie.

Na koniec jednak drugie upomnienie z banku zmusiło panią Marchmont do śmiałej akcji. Nie mogła zwlekać dłużej. Lynn wcześniej wyszła z domu, a przed chwilą sylwetka Dawida mignęła na ścieżce przez pola. Drogę miała wolną. Bardzo jej zależało na rozmowie z samą Rosaleen, bez Dawida, ponieważ rozumowała słusznie, że młodą wdowę pozyska nieporównanie łatwiej niż jej brata.

Mimo wszystko była silnie zdenerwowana czekając w rozslonecznionym salonie, a opanowała się nieco dopiero wówczas, gdy weszła Rosaleen z tą swoją naiwnie mętną miną.

„Ciekawe — pomyślała pani Marchmont — czy to wrodzona cecha, czy też skutek wstrząsu?”

— Oo... dzień dobry — bąknęła młoda wdowa. — Czy coś się stało? Pani zechce spocząć.

— Cudowny ranek — zaczęła pogodnie Adela. — W naszym ogrodzie wszystkie wczesne tulipany wychodzą z ziemi. A u pani?

— Nie wiem — bąknęła Rosaleen spoglądając na panią Marchmont niewidzącym wzrokiem.

„Jak sobie radzić z kimś, kto nie chce mówić o psach i ogrodnictwie, tych fundamentach wiejskiej konwersacji?” pomyślała Adela.

Głośno zaś rzuciła nie bez złośliwej ironii, której nie zdołała stłumić:

— To zrozumiałe. Pani ma tylu ogrodników! Oni zajmują się wszystkim.

— O ile mi wiadomo, brak nam rąk do pracy. Stary Mullard wciąż dopomina się o dwu ludzi. Ale tak trudno teraz dostać robotnika.

Mówiła gładko, monotownie, jak wuczona papuga, jak małe dziecko powtarzające zdania zasłyszane od starszych.

„Tak — pomyślała pani Marchmont — Ona jest dziecinna. Może to właśnie stanowi o jej wdzięku? Może tym ujęła Gordona i stary spryciarz nie dostrzegł jej głupoty i braku ogłady? Ostatecznie nie mogła go zwabić sama uroda. Tyle pięknych kobiet zastawiało już na niego sidła.”

Infantylnizm może przecież być pociągający dla starszego pana po sześćdziesiątce. Czy to jest prawdziwa cecha, czy tylko poza — poza, która opłaca się doskonale i pozostała jako druga natura?

— Dawida nie ma w domu... — podjęła Rosaleen. Przypomniało to pani Marchmont cel wizyty. Dawid mógł w każdej chwili wrócić. Należało korzystać z okazji. Słowa więzły jej w gardle, lecz podjęła śmiało:

— Nie wiem, czy... czy pani zechciałaby mi pomóc?

— Pomóc? Pani? — Rosaleen była zaskoczona, zdziwiona.

— Sytuacja... rozumie pani... jest bardzo kłopotliwa. Śmierć Gordona pogorszyła znacznie warunki całej rodziny.

„Ach, idiotko — myślała jednocześnie. — Czemu gapisz się na mnie? Wiesz przecież, o co chodzi. Musisz wiedzieć! Niedawno przecież sama byłaś uboga”.

W tym momencie nienawidziła Rosaleen. Nienawidziła jej za to, że ona, Adela Marchmont, musi wyduszać z niej pieniądze.

„Nie mogę tego zrobić — pomyślała. — Mimo wszystko nie mogę”.

W jednej chwili przypomniały jej się długie godziny rozmyślań, trosk i mglistych planów. Sprzedać dom? Ale dokąd się wynieść? Nie ma podaży na małe, a w każdym razie tanie domy. Poprowadzić pensjonat? Tylko skąd wziąć służbę? Przecież sama nie poradzi sobie z kuchnią i porządkami domowymi. Lynn mogłaby zapewne pomóc, lecz Lynn niebawem wyjdzie za Rowleya. Zamieszkać u nich? Nie, to żadne rozwiązanie. Poszukać pracy? Ale jakiej? Kto przyjmie kobietę starszą i bez żadnych kwalifikacji? Nagle usłyszała swój głos.

— Chodzi mi o pieniądze — powiedziała zmienionym głosem, ponieważ odczuła głęboką wzdargę dla siebie.

— O pieniądze? — powtórzyła Rosaleen. Sprawiała wrażenie szczerze zdziwionej, jak gdyby nie spodziewała się zupełnie takiego obrotu sprawy. Ale pani Marchmont brnęła dalej, wydobywając z trudem słowa:

— Mam w banku debet i... rachunek do płacenia... To należności za różne drobne remonty i... i nie zapłaciłam jeszcze raty długu hipotecznego. Dawniej, widzi pani, pomagał nam Gordon, zwłaszcza jeśli chodzi o... o te remonty. Płacił za nie i za pokrycie domu... i za roboty malarskie... Dawał też stały zasilek... Co kwartał wpłacał na moje konto w banku. Mówił często, żeby się niczym nie kłopotać, więc się nie kłopotalam. Chodzi o to, że wszystko było w porządku, póki on żył... Ale teraz...

Umilkła. Wstydziła się, zarazem jednak odczuła znaczną ulgę. Ostatecznie najgorsze ma już za sobą. Jeżeli ta mała odmówi, to odmówi i nareszcie będzie po wszystkim.

— Mój Boże — zaczęła Rosaleen z bardzo niepewną miną. — Nie wiem... nigdy nie przypuszczałam... Naturalnie... pomówię z Dawidem i...

Adela ścisnęła rozpaczliwie poręczę fotela i przerwała stanowczym tonem:

— Czy mogłaby pani dać mi czek... zaraz?

— Tak... tak... zapewne...

Była zupełnie oszołomiona. Wstała i poszła w kierunku sekretery. Długo szukała w licznych szufladach, na koniec jednak znalazła książeczkę czekową.

— Przepraszam... Ile?

— Może... może pięćset funtów — wyjąkała Adela.

— Pięćset funtów — powtórzyła młoda wdowa i zaczęła pisać posłusznie.

Pani Marchmont kamień spadł z serca. W gruncie rzeczy to nie było wcale trudne. Przykro jej się zrobiło, gdy pomyślała, że nie odczuwa w tej chwili wdzięczności, lecz jak gdyby pogardę z racji łatwego zwycięstwa. Rosaleen to rzeczywiście osoba nieskomplikowana. Oto wstaje od sekretery, podchodzi do Adę li. Nieporadnie trzyma czek w palcach. Teraz ona jest zakłopotana, zawstydzona.

— Chyba tak... dobrze? — bąka. — Doprawdy, bardzo mi przykro...

Adela bieże czek. Niewprawną, dziecięcą ręką skreśliła na różowym papierze:

„Pani Marchmont. Pięćset funtów. ? 500. Rosaleen Cload.”

— Jest pani bardzo dobra, Rosaleen. Dziękuję.

— Nie ma za co... Ja... ja sama powinnam pomyśleć...

— Jest pani bardzo dobra, moja droga.

Z czekiem w ręku Adela poczuła się odrodzona. Ta osoba zachowywała się naprawdę bardzo ładnie. Dalsza rozmowa byłaby żenująca. Pani Marchmont żegna się i wychodzi z salonu. Na podjeździe spotyka Dawida.

— Dzień dobry — rzuca wesoło i przyspiesza kroku.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

— Co tu robiła ta Marchmont? — zapytał Dawid wchodząc do pokoju.

— Ach, Dawidzie, strasznie jej było potrzeba pieniędzy. Nigdy bym nie myślała...

— I pewnie dałaś?

Spojrzał na nią z zartobliwym zatroskaniem.

— Ciebie nie można zostawić bez opieki, Rosaleen.

— Ach, Dawidzie, nie byłam w stanie odmówić. Mimo wszystko...

— Co, mimo wszystko? Ile?

— Pięćset funtów — wyznała szeptem młoda wdowa.

— Drobiazg!

Śmiech Dawida przyniósł pewną ulgę pani Cload.

— Ach, Dawidzie, to duże pieniądze.

— Nie dla nas, Rosaleen. Czy nie pojęłaś jeszcze, że jesteś bardzo bogata? Ale ona odeszłaby zachwycona, gdyby dostała dwieście pięćdziesiąt funtów, skoro prosiła o pięćset. Musisz poznać język ludzi szukających pożyczek.

— Bardzo przepraszam, Dawidzie — szepnęła.

— Moja droga! Ostatecznie to twoje pieniądze.

— Nie! Nie, naprawdę.

— Nie zaczynaj całej historii od początku. Gordon Cload nie zdążył spisać ostatniej woli przed śmiercią. Tak to bywa w grze! My wygraliśmy: ty i ja. Tamci przegrali.

— Ale to niesprawiedliwie.

— No, no moja śliczna siostrzyczko! Czy nie cieszy cię wygrana: wielki dom, służba, biżuteria? Jak gdyby sen ziścił się na jawie! Dziękujmy Bogu! Czasami myślę, że obudzę się i wszystko to zniknie.

Młoda wdowa zawtórowała Dawidowi śmiechem, on zaś spojrzał na nią. bacznie. Wiedział, jak postępować z tą małą. Żałował tylko, że Rosaleen ma sumienie, lecz na to nie widział lekarstwa.

— Masz rację, Dawidzie. To wygląda na sen albo może na jakiś dziwny film. Cieszy mnie nasza wygrana, naprawdę cieszy.

— No więc, trzymajmy to, co się nam dostało. Koniec z prezentami dla Clodów. Każdy z nich ma dzisiaj więcej pieniędzy, niż my mieliśmy nie tak dawno.

— Tak... Słusznie...

— Gdzie się obraca dzisiaj Lynn? — zapytał Dawid.

— Myślę, że poszła do „Long Willows”.

Na farmę! Do tego parobka, durnia, Rowleya! — Dawid stracił humor. — Zdecydowała się na małżeństwo z tym facetem. Dobra sobie!

Wyszedł znowu z domu i ominąwszy wielki klomb azalii zwrócił się ku furtce na grzbiecie wzgórza. Droga dla pieszych wiodąca tym zboczem prowadziła do farmy Rowleya.

Dawid zatrzymał się opodal furtki, gdyż spostrzegł Lynn Marchmont wracającą z „Long Willows”. Wahał się przez moment. Następnie zacisnął zęby i poszedł ścieżką na spotkanie. Spotkali się na rozstaju, mniej więcej w połowie wysokości wzgórza.

— Dzień dobry — zagadnął Hunter. — Kiedy wesele?

— Pytał pan już o to — odrzekła. — W czerwcu.

— Zdobyła się pani na odwagę, co?

— Nie rozumiem?

— Rozumie pani, rozumie — roześmiał się szyderczo. — Rowley! Któż to jest Rowley?

— Człowiek lepszy od pana — uśmiechnęła się swobodnie. — Proszę z nim zacząć, jeżeli pan się ośmieli.

— Nie wątpię, że to człowiek lepszy ode mnie, ale ośmielę się mimo wszystko. Dla pani, Lynn, ośmielę się na Bóg wie co.

Dziewczyna milczała przez chwilę.

— Jedno powinien pan zrozumieć — podjęła wreszcie. — Ja kocham Rowleya.

— Czyżby?

— Kocham go! — rzuciła żywo. — Zapewniam pana, że tak!

Spojrzał na nią przenikliwie.

— Każdy z nas widzi siebie takim, jakim chciałby być. Pani ogląda z przyjemnością Lynn kochającą Rowleya, która osiedla się na jego farmie, mieszka tam i nigdy nie myśli o ucieczce. Ale to nie jest prawdziwa Lynn, proszę pani.

— A jaka jest prawdziwa Lynn? Albo, jeżeli o tym mowa, jaki jest prawdziwy Dawid Hunter? Czego pan chce właściwie?

— Należałoby odpowiedzieć, że chcę bezpieczeństwa, spokoju po zawierusze, ciszy po burzy na morzu. Ale nie wiem. Czasami podejrzewam, że my obydwój, Lynn, lubimy zamieszanie. Szkoda, że pani tu przyjechała — dodał pochmurnie. — Dawniej byłem bez porównania szczęśliwszy.

— Czy teraz jest pan nieszczęśliwy? — zapytała. Spojrzał na nią, a Lynn odczuła dziwne podniecenie.

Zaczęła oddychać szybciej. Nigdy jeszcze szczególnie, posepny wzrok Dawida nie oddziaływał na nią tak silnie. Hunter wyciągnął rękę, ujął Lynn za ramię i obrócił. Ale w tej chwili uścisk jego palców zelżał, a wzrok powędrował nad głową Lynn ku grzbietowi wzgórza. Spojrzała w tamtą stronę, by sprawdzić, co go tak zainteresowało. Jakaś kobieta szła ku furtce do posiadłości „Furrowbank”.

— Kto to? — zapytał żywo Hunter.

— Zdaje się... Frances.

— Frances? — obruszył się. — A czegoż ona może chcieć?

— Czy koniecznie musi czegoś chcieć?

— Droga pani! Do Rosaleen przychodzą tylko ci, którzy chcą czegoś od niej. Pani matka była już dziś rano w „Furrowbank”.

— Matka! — Lynn cofnęła się i zbladła. — A... czego chciała?

— Nie domyśla się pani? Pieniądzy!

— Pieniądzy — powtórzyła głucho.

— Nawet dostała.

Na twarzy Dawida pojawił się szyderczy, okrutny uśmiech, tak bardzo dlań charakterystyczny. Przed chwilą byli bliscy sobie. Obecnie znaleźli się znów daleko, bardzo daleko. Dzielił ich ostry antagonizm.

— Ach, nie, nie! Nie! — zawołała Lynn.

— Ależ tak, tak! Tak! — podchwycił przedrzeźniając.

— Trudno mi uwierzyć. Ile?

— Pięćset funtów.

Lynn syknęła, Dawid zaś podjął tonem zastanowienia:

— Ciekawe, ile Frances zażąda? Słowo daję, niebezpiecznie zostawiać Rosaleen samą, chociaż na pięć minut. Biedactwo nie potrafi odmawiać.

— Czy... Kto jeszcze był u Rosaleen?

— Ciotka Kate biadała nad jakimś długiem... Oo, to był drobiazg! Wystarczyło dwieście pięćdziesiąt funtów. Bardzo jej jednak zależało na sekrecie wobec doktora. Mógłby być niezadowolony, bo ciotka Kate wydała pieniądze na media. Oczywiście nie wiedziała, biedulka, że i pan doktor prosił Rosaleen o pożyczkę.

— Co też pan musi o nas myśleć... Co pan musi o nas myśleć... — powiedziała dziewczyna stłumionym głosem. Obróciła się zwinnie i pobiegła stokiem wzgórze w kierunku farmy. Dawid patrzył pośpiesznie jej śladem. Oto Lynn wraca do Rowleya, tak jak gołąb do gołębnika! Bolało go znacznie mocniej, niż chciałby przyznać. Po chwili zwrócił wzrok ku grzbietowi wzgórze.

— Nie, Frances — mruknął. — Nic z tego. Obrząś niefortunny dzień.

Spokojnym, równym krokiem ruszył w kierunku „Furrowbank”.

Minął furtkę, klomb azalii, przeciął trawnik i z tarasu wszedł do salonu oszklonymi drzwiami w momencie, kiedy pani Jeremiaszowa mówiła:

— Chętnie wyjaśniłabym wszystko ze szczegółami, ale... widzi pani, Rosaleen, to zadanie ponad moje siły...

— Czyżby? — odezwał się głos za plecami petentki.

Frances odwróciła się szybko. W przeciwieństwie do Adeli nie zależało jej, by Rosaleen zastać samą. Chodziło przecież o kwotę tak pokąźną, że młoda wdowa nie mogłaby jej wypłacić bez porozumienia z bratem. Wolałaby nawet omówić kwestię z obydwojgiem i nie dopuścić, by Dawid podejrzewał, że chciała zaskoczyć Rosaleen w jego nieobecności. .

Właśnie przedstawiała z zapalem swoją niemiłą sprawę, nie usłyszała więc kroków Dawida, a jego nagłe wtrącenie się do rozmowy zbiło ją z tropu. Na domiar złego zorientowała się niezwłocznie, że młody człowiek jest w szczególnie złym humorze.

— O, pan Dawid — powiedziała swobodnie. — Dobrze, że pan przyszedł. Rozmawiałam właśnie z Rosaleen. Po śmierci Gordona Jeremiasz znalazł się w nie lada tarapatkach, chciałam więc spytać, czy pańska siostra mogłaby przyjść z pomocą. Sytuacja wygląda...

Mówiła płynnie, słodko o znacznych sumach, obiecywanym ustnie wsparciu finansowym Gordona, opłatach skarbowych, długach hipotecznych...

Dawid był niemal bliski podziwu. Jak ona cudownie kłamie! Cała historia jest prawdopodobna, lecz bez wątpienia zmyślona. Na to gotów by przysiąc! Nie ma w tym słowa prawdy, to pewne. Ale jak wygląda prawda? Chyba Jeremiasz znalazł się w położeniu bez wyjścia? Musi być dobrze przyciśnięty, jeżeli pozwolił żonie przyjść do Rosaleen. A i sama Frances jest przecież tak dumna...

— Dziesięć tysięcy? — powiedział Dawid.

— To ogromna suma — szepnęła ze zgrozą młoda wdowa.

— Zdaję sobie z tego sprawę. Nie zwróciłabym się do państwa, gdyby chodziło o kwotę łatwą do uzyskania. Jedno jest pewne. Jeremiasz nigdy nie uwikłałby się w takie interesy, gdyby nie liczył na poparcie Gordona. Na nieszczęście, Gordon zginął tak nagle...

— I was wszystkich zostawił na lodzie — podchwycił szorstko Hunter. — To przykre po długim, bezpiecznym życiu pod jego skrzydełkami.

— Przedstawia pan obraz sytuacji bardzo malowniczo — rzuciła Frances ze złym błyskiem w oczach.

— Rosaleen, widzi pani, nie ma prawa ruszyć kapitału. Dysponuje tylko dochodem. A podatek pochłania dziesiętnaście szylingów i sześć pensów z każdego funta.

— Wiem, wiem... Podatki są dzisiaj zabójcze. Ale... Chyba mogą państwo to załatwić, prawda? Zwrócimy dług...

— Możemy to załatwić — przerwał Dawid — ale nie załatwimy.

— Rosaleen! Pani ma takie dobre serce... — zaczęła Frances, lecz ponownie przerwał jej nieprzyjazny głos Huntera.

— Za co wy uważacie Rosaleen? Za dojną krowę? Cała rodzina Cloadów napastuje ją: przymawia się, prosi, żebrze. A za plecami? Macie dla niej drwinę, pogardę, niechęć, nienawiść! Wszyscy życzą jej śmierci!

— To nieprawda! — wybuchnęła Frances.

— Czyżby? Słowo daję, mam was powyżej uszu! I ona ma was powyżej uszu. Nie wyducicie z nas więcej pieniędzy. Lepiej dajcie spokój wizytom i zebraniom. Zrozumiała pani?

Był siny z gniewu.

Frances wstała. Twarz miała kamienną, bez wyrazu. Naciągała irchową rękawiczkę z taką uwagą, jak gdyby była to czynność niepośledniej wagi.

— Wyłożył pan wszystko jasno — powiedziała.

— Przykro mi — bąknęła Rosaleen. — Doprawdy, bardzo przykro...

Frances nie zwracała na nią uwagi, jak gdyby młodej kobiety nie było wcale w salonie. Postąpiła krok w stronę oszklonych drzwi na taras i stanęła twarzą w twarz z Dawidem.

— Powiedział pan, że mam pogardę dla Rosaleen. To nieprawda. Nie gardzę nią, tylko panem.

— Mną? Dlaczego? — zapytał mierząc Frances pośpiesznym wzrokiem.

— Kobieta musi jakoś żyć. Rosaleen wyszła za mężczyznę znacznie od niej starszego i bardzo bogatego. W porządku! Ale pan? Pan pasożytuje na siostrze i żyje dostatnio tylko dzięki jej małżeństwu.

— Stoję pomiędzy nią a harpiami.

Spoglądali sobie w oczy. Dawid zdawał sobie sprawę z jej gniewu i przyszło mu na myśl, że Frances Cload to groźny przeciwnik, pozbawiony skrupułów i lęku. Kiedy otwierała usta, Hunter odczuwał przez moment obawę. Jednakże powiedziała tylko głucho i bezbarwnie:

— Dobrze zapamiętam, co usłyszałam. Wyminęła go i ruszyła w kierunku drzwi na taras.

Ale Dawid odczuł w jej słowach nutę pogróżki. Sam nie wiedział czemu.

Rosaleen płakała.

— Ach, Dawidzie, Dawidzie! Nie trzeba było mówić jej takich rzeczy. Ona jedna z nich wszystkich traktowała mnie życzliwie.

— Cicho bądź, głupia! — wybuchnął. — Czy chcesz, żeby Cloadowie podeptali cię, wykrwawili, wycisnęli do ostatniego pensa?

— Ale te pieniądze... przecież... należą, do mnie bezprawnie... więc...

Urwała spiorunowana jego wzrokiem.

— Ja... ja nie chciałam tego powiedzieć, Dawidzie. „Sumienie — pomyślał — to diabelski wynalazek”. W swoim czasie nie brał pod uwagę faktu, że sumienie

Rosaleen może kiedyś skomplikować sprawę.

Przyszłość? Dawid spojrział pośpiesznie na siostrę. W głowie huczał mu wir myśli. Przyszłość Rosaleen... i jego własna... On zawsze wiedział, czego chce. Wie i teraz. Ale Rosaleen? Jaka przyszłość ją czeka?

Spochmurniał jeszcze bardziej, a ona wzdrygnęła się nagle i zawołała:

— Ktoś przeszedł po moim grobie!

— Więc zdajesz sobie sprawę, że może to nastąpić? — rzucił mierząc ją bystrym wzrokiem.

— Co, Dawidzie?

— Pięć, sześć, siedem osób gorąco pragnie, żebyś przedwcześnie znalazła się w grobie. Nie rozumiesz?

— Czy... czy masz na myśli morderstwo? — zapytała zdławionym głosem. — Nie! Tacy przywoici ludzie jak oni nie mordują,

— Nie wiem, czy nie tacy właśnie są najczęściej mordercami. Ale im nie uda się zabić ciebie, póki ja czuwam.

Wpierw musieliby mnie uprzątnąć z drogi. Ale jeżeli im się powiedzie... No! Wtedy strzeż się, Rosaleen!

— Dawidzie! Nie mów takich okropności!

— Słuchaj! — mocno ścisnął jej ramię. — Jeżeli mnie kiedyś zabraknie, uważaj na siebie, Rosaleen. Życie nie jest bezpieczne, pamiętaj. Jest groźne, piekielnie groźne. A dla ciebie szczególnie groźne.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

— Rowley, czy mógłbyś mi pożyczyć pięćset funtów? Młody człowiek spojrział ze zdziwieniem na Lynn.

Stała przed nim zdyszana od biegu. Twarz miała bladą, usta zaciśnięte.

Odezwał się uspokajającym tonem — tak jak mógłby przemówić do konia.

— No, no... Bez nerwów, mała. O co właściwie chodzi?

— Chcę mieć pięćset funtów.

— Ja chciałbym również, jeżeli mam być szczerzy.

— Ależ, Rowley! To bardzo poważna sprawa. Możesz pożyczyć mi pięćset funtów?

— Sam mam kłopoty. Rozumiesz, nowy traktor...

— Tak, tak... — przerwała nie chcąc słuchać o sprawach farmy. — Gdybyś jednak musiał, potrafiłbyś wytrząsnąć jakoś pieniądze, prawda?

— Po co ci pięćset funtów, Lynn? Co się stało?

— Muszę mieć pieniądze dla niego... — ruchem głowy wskazała wielki biały dom na zboczu wzgórza.

— Dla Huntera? Czemu, u licha?

— Przez Mateczkę. Pożyczyła od niego. Ma, widzisz, kłopoty finansowe.

— Wiem. Domyślałem się tego — odrzekł Rowley tonem współczucia. — Przyszły na nią ciężkie czasy. Chętnie pomógłbym trochę, gdybym mógł. Ale nie mogę.

— A ja nie mogę pozwolić, żeby Mateczka pożyczała od Dawida.

— Zastanów się, Lynn. Przecież to Rosaleen daje swoje pieniądze. A zresztą... Dlaczego nie?

— Dlaczego nie? Rowley! Ty mówisz: „dlaczego nie?”

— Tak. Nie rozumiem, dlaczego Rosaleen nie miałaby pomagać rodzinie od czasu do czasu. Gordon zapędził nas w matnię, bo umarł nie spisawszy ostatniej woli. Trzeba jej to jasno wytłumaczyć, a sama zrozumie, że pomoc będzie zupełnie na miejscu.

— Ty nie pożyczałeś chyba od niej?

— Nie. To inna sprawa. Nie mogę przecież zwrócić się do kobiety z prośbą o pieniądze. Takie rzeczy robi się bardzo niechętnie.

— Czy nie rozumiesz, że ja... nie mogę być dłużniczką Dawida Huntera?

— I nie jesteś. Przecież to nie jego pieniądze.

— Tak jakby jego. Rosaleen ulega mu we wszystkim.

— Zapewne. Ale formalnie majątek do niej należy.

— A ty nie chcesz... nie możesz mi nic pożyczyć?

— Posłuchaj, Lynn... Gdybyś wpadła w prawdziwą matnię... No, szantaż czy dług natychmiast płatny... Wtedy mógłbym sprzedać ziemię albo coś z inwentarza. Ale byłby to krok desperacki. I tak ledwie wiąże koniec z końcem. A

kto wie, co nam przeklęty rząd znów wymyśli. Można się potknąć na każdym zakręcie. Wciąż siedzę do północy nad różnymi urzędowymi formularzami i staram się wypełnić je z jakim takim sensem. To stanowczo za dużo jak na jednego człowieka.

— Rozumiem — rzuciła Lynn z goryczą. — Gdyby John nie poległ...

— Daj spokój! — krzyknął Rowley. — Nie mów o Johnie!

Spojrzała na niego ze zdumieniem. Twarz miał czerwoną, wykrzywioną gniewem. Przeształ panować nad sobą.

Lynn odwróciła się i poszła wolno w stronę „Białego Domu”.

— Nie możesz, Mateczko, zwrócić tych pieniędzy?

— Nie mogę, kochanie! Czek zaniósłam prosto do banku. Spłaciłam także Arthursa, Bodghama i Knebwortha.

Knebworth stał się ostatnio bardzo natrętny. Jaka to ulga, Lynn! Ile ja nocy nie zmrużyłam oka! Doprawdy, Rosaleen okazała mi wiele współczucia i serca.

— Domyślam się, że teraz zechcesz ją częściej odwiedzać — rzuciła z rozdrażnieniem Lynn.

— Mam nadzieję, że to nie będzie konieczne. Postaram się gospodarować bardzo oszczędnie. Wiesz, że potrafię. Chociaż wszystko jest teraz takie drogie i z dnia na dzień dzieje się gorzej.

— Rzeczywiście coraz gorzej. Zaczynamy już zebrać... Adela zarumieniła się mocno.

— Nie powinnaś tak mówić, Lynn. Jasno wytłumaczyłam Rosaleen, że zawsze korzystaliśmy z pomocy Gordona.

— A nie powinniśmy byli! — wybuchnęła dziewczyna.

— W tym sedno sprawy i błąd! Trzeba było żyć jakoś inaczej! On słusznie nami gardzi!

— Kto nami gardzi?

— Ten wstrętny Dawid Hunter.

— Naprawdę? — odparła z godnością pani Marchmont

— To, co myśli Dawid Hunter, nie powinno chyba mieć najmniejszego znaczenia? Chwała Bogu, nie zastałam go w „Furrowbank” dziś rano. W przeciwnym razie wpłynąłby zapewne na tę małą, Ona ulega mu we wszystkim.

— Co miałas na myśli, Mateczko — zaczęła Lynn z wahaniem — kiedy powiedziałaś pierwszego dnia po moim powrocie do domu: „Jeżeli to jej brat”?

— Co miałam na myśli? Widzisz, Lynn, krążyły różne plotki.

Córka spojrzała na nią pytającym wzrokiem. Adela odchrząknęła znacząco.

— Kobiety tego typu — podjęła — awanturnice... Biedny Gordon! Kompletnie stracił głowę... Otóż kobiety tego typu miewają zwykle... hm... przyjaciela od serca na dalszym planie. Rosaleen mogła powiedzieć Gordonowi, że ma brata i zatelegrafować do tego młodego człowieka, który był wtedy w Kanadzie czy gdzieś tam... Młody człowiek przyjechał na wezwanie, a skąd biedny Gordon mógł wiedzieć, czy to brat, czy nie brat? Z pewnością był zakochany po uszy i ślepo wierzył każdemu jej słowu. W ten sposób „brat” mógł przyjechać z nimi do Anglii, a Gordon nie podejrzewał niczego złego.

— Nigdy w to nie uwierzę! — zawołała gwałtownie Lynn. — Nigdy!

Pani Marchmont uniosła brwi.

— Nie pojmuję, moja droga...

— On nie taki — przerwała dziewczyna. — Ani ona. Może być głupia, zgoda! Ale jest dobra i łagodna. W to nie wątpię. Czego ludzie nie wymyślą! Nigdy nie uwierzę w podobne brednie.

— Ale nie musisz krzyżeć — zakończyła z godnością Adela Marchmont.

ROZDZIAŁ ÓSMY

W tydzień później pociąg przyjeżdżający o 17.20 wtoczył się na stację w Warmsley Heath i z wagonu wysiadł wysoki, opalony mężczyzna z plecakiem.

Na sąsiednim peronie gromadka graczy w golfa oczekiwała pociągu w przeciwnym kierunku. Wysoki brodaty mężczyzna z plecakiem oddał bilet i wyszedł przed dworzec. Przez chwilę stał niezdecydowany. Potem spostrzegł drogowskaz z napisem: „Droga do Warmsley Yale — Tylko dla pieszych” i jak gdyby powziął nagłą decyzję, ruszył we wskazanym kierunku.

W „Long Willows” Rowley Cload zaparzał herbatę. Obejrzał się szybko, gdy jakiś cień padł na stół kuchenny.

Zrazu zdawało mu się, że w otwartych drzwiach stoi Lynn, ale po chwili poznał z niemałym zdziwieniem Rosaleen.

Miała na sobie sukienkę z samodziła w szerokie pomarańczowe i zielone pasy, której sztuczna, niby to wiejska prostota kosztowała pewnie drożej, niż młody farmer potrafiłby sobie wyobrazić.

Dotychczas widywał Rosaleen w eleganckich, wymyślnych strojach. Nosiła je w nienaturalny sposób, jak modelka, która demonstruje garderobę nie własną, lecz zatrudniającej ją firmy. Tego dnia Rosaleen odziana w skromną suknię wydała mu się zupełnie inną osobą. Bardziej zwracało uwagę jej irlandzkie pochodzenie: bujne] czarne loki i piękne szafirowe oczy w ciemnej oprawie. Głos zdradzał również miękki irlandzki akcent, wypracowanej poprawności, o jaką dbała zazwyczaj troskliwie.

— Tak ślicznie dzisiaj — zagaiła rozmowę — że postanowiłam wyjść na spacer. Dawid wyjechał do Londynu — dorzuciła po chwili tonem jak gdyby usprawiedliwienia.

Zarumieniła się i wydobyła z torby papierošnicę. Poczęstowała Rowleya, a on podziękował i począł rozglądać się za zapalkami. Rosaleen sięgnęła po małą złotą zapalniczkę i przez chwilę walczyła bez powodzenia z kosztownym cackiem. Wreszcie młody farmer wyjął z rąk gošcia ów instrument i jednym śmiałym ruchem skrzesał ognia. Kiedy Rosaleen pochyliła głowę, żeby zapalić papierosa, Rowley zwrócił uwagę na jej niezwykle długie, ciemne rzęsy.

„Stary Gordon wiedział, co robi” — pomyślał.

Młoda wdowa cofnęła się o krok i podjęła rozmowę tonem uznania.

— Ma pan ładny inwentarz. Na pastwisku widziałam śliczną jałówkę.

Rowley zdziwił się i począł opowiadać o farmie. Jej zainteresowanie było nieoczekiwane lecz szczere, a znajomość zagadnień rolniczych zaskoczyła młodego farmera. Zwłaszcza o hodowli bydła i mleczarstwie rozprawiła niemal fachowo.

— Słowo daję, Rosaleen — powiedział Rowley. — Mogłaby pani zostać żoną farmera.

Wyraz ożywienia zniknął z jej twarzy.

— Mieliśmy farmę w Irlandii... zanim tu przyjechałam... zanim... — urwała zakłopotana i, jak wydawało się Rowleyowi, trochę zawstydzona. — To nie było tak dawno... Pamiętam wszystko doskonale — ożywiła się znowu. — I teraz potrafiłabym wydoić krowę.

Zupełnie nowa Rosaleen! Czy Dawid pochwaliłby te wynurzenia na temat farmy? Zapewne — nie. Wolał stwarzać wrażenie, że Hunterowie to stara, osiadła na wsi szlachta irlandzka. Wersja Rosaleen była niewątpliwie bliższa prawdy. Proste życie na farmie, urok sceny, wyjazd z wędrowną trupą, do Południowej Afryki, małżeństwo, odosobnienie w Nigerii, ucieczka, okres depresji, a wreszcie drugie małżeństwo z milionerem w Nowym Jorku. Niewątpliwie Rosaleen Cload odbyła długą drogę od farmy, gdzie doiła krowy. Rowley nie bardzo mógł w to uwierzyć. Patrzył na nią i myślał, że ta twarz ma dziecinny, tępy wyraz, jak twarz kogoś, kto nie ma żadnej historii. I wygląda tak młodo! Znacznie młodziej niż na dwadzieścia sześć lat.

Było w niej coś ujmującego, jakaś wzruszająca bezradność. Przypomniało to Rowleyowi cielęta, które tego dnia rano odstawił do rzeźnika. Obecnie patrzył na Rosaleen jak na cielęta przed kilkoma godzinami. Myślał wtedy: biedactwa! jaka szkoda, że zostaną zarżnięte.

Oczy Rosaleen błysnęły niepokojem.

— O czym pan myśli? — zapytała niepewnie.

— Chciałaby pani obejrzeć farmę i mleczarnię?

— Z przyjemnością!

Ubawiony jej zainteresowaniem oprowadził ją wszędzie. Kiedy jednak zaproponował, żeby na zakończenie wypić filiżankę herbaty, młoda wdowa spieszyła się nagle.

— Ach, nie... Dziękuję... Muszę już iść do domu — spojrzała na zegarek. — Strasznie późno! Dawid ma wrócić pociągiem o 17.20. Będzie zaniepokojony, gdzie się podziałam. Muszę się śpieszyć. Tutaj — dodała nieśmiało — było mi bardzo przyjemnie, panie Rowleyu.

Nie wątpię, że to prawda, że było jej przyjemnie. Potrafi zachowywać się swobodnie, w naiwny, naturalny sposób. Boi się tego brata, Dawida, to oczywiste. On jest mózgiem rodziny. Dziś miała wolne popołudnie. Tak! To właściwe określenie: wolne popołudnie, jak służąca. I to ma być bogata pani Gordonowa Cload!

Rowley przystanął w bramie i z ponurym uśmiechem patrzył na Rosaleen idącą szybko w stronę „Furrowbank”. Kiedy zbliżała się do przełazu w ogrodzeniu, przekroczył go jakiś mężczyzna. Młody farmer pomyślał zrazu, że to Dawid, ale tamten był wyższy i tęższy. Kobieta cofnęła się, a gdy nieznajomy ją wyminął, przeskoczyła zwinnie przełaz i prawie pobieęła do domu.

„Tak — myślał Rowley — ona miała dziś wolne popołudnie: ona i ja. Zmarnowałem godzinę cennego czasu... Chociaż kto wie, czy zmarnowałem. Sadzę, że Rosaleen zaczyna mnie lubić. To może się przydać. Jest ładna, bardzo ładna... Ale cielęta także były ładne... Biedactwa!”

Z zadumy ocknął się na dźwięk nieznanego głosu. Wzdrygnął się i szybko podniósł głowę.

Rosły mężczyzna z plecakiem i w szerokoskrzydłym filcowym kapeluszu stał na ścieżce po drugiej stronie bramy.

— Czy to droga do Warmesley Yale?

Młody farmer spojrzał nań nieprzypadnie, powtórzył pytanie i z trudem znajdując słowa, powiedział:

— Tak... Tą ścieżką prosto przez pole... Jak pan wyjdzie na drogę, trzeba skrócić w lewo i za trzy minuty będzie pan na miejscu.

Identycznymi słowami odpowiadał już na pytanie kilkaset razy. Ze stacji ludzie udawali się często drogą dla pieszych, mijali wzgórza i w dolinie tracili zaufanie do ścieżki, gdyż laszek Blackwell zasłaniał widok na Warmesley Yale. Wioska leżała w kotlinie, a nad korony drzew wychylał się tylko wierzchołek kościelnej wieży.

Następne pytanie nieznajomego było mniej schematyczne, lecz Rowley odpowiedział bez wahania:

— Są dwa hotele, „Pod Jeleniem” i „Pod Dzwonem”. Poleciłbym „Jelenia”. Oba są równie złe lub dobre. Ale póki dostanie pan bez trudności.

Rowley spojrzał na nieznajomego z większym zainteresowaniem. Dlaczego nie zarezerwował sobie pokoju, jak to się zazwyczaj robi?

Mężczyzna był wysoki, barczysty. Miał śniadą twarz, brodę i dziwne błękitne oczy. Liczył około czterdziestki i można go było nazwać przystojnym na jakiś surowy lub raczej zawadiacki sposób. W każdym razie nie budził szczególnej sympatii.

„Chyba przyjechał z daleka — myślał Rowley. — Nawet ma trochę dziwny akcent. Ciekawe... Zdaje mi się, że znam tę twarz... Gdzie ja widziałem tego człowieka lub kogoś bardzo podobnego?”

Kiedy tak medytował, zdziwiło go następane pytanie:

— Czy jest tu gdzieś w sąsiedztwie posiadłość „Furrowbank”?

— Jest... To tam na wzgórzu. Musiał pan zwrócić uwagę na tę posiadłość, jeżeli szedł pan naturalnie drogą dla pieszych.

— Aha — spojrzał w kierunku wzgórza. — To ten duży biały dom, zdaje się nowy.

— Tak.

— Wspaniała rezydencja. Utrzymanie jej musi kosztować majątek.

„Pewnie, że majątek — pomyślał Rowley — i to nasz”.

Na chwilę przesłoniła mu wszystko nagła fala gniewu. Gdy odpłynęła, Rowley zauważył, że nieznajomy spogląda w kierunku wzgórza, a w oczach ma szczególny wyraz.

— Kto tam mieszka? — zapytał. — Może niejaka pani... pani Cload?

— Tak. Pani Gordonowa Cload.

Człowiek z plecakiem podniósł brwi i uśmiechnął się dyskretnie.

— Aha... Pani Gordonowa Cload — szepnął. — Nieźle jej się wiedzie. No, to dziękuję...

Kiwnął głową Rowleyowi, poprawił plecak i zamasyście ruszył w kierunku Warmsley Yale.

Młody farmer odwrócił się i wszedł na podwórko. Nadal dręczyło go pytanie:

„Gdzie ja, u licha, widziałem tego typa?”

Około pół do dziesiątej wieczorem Rowley odsunął stos urzędowych formularzy piętrzący się przed nim na kuchennym stole. Wstał, bezwiednie rzucił okiem na fotografię Lynn stojącą na półce nad kominkiem i ze zmarszczonym czołem wyszedł z domu.

W dziesięć minut później pchnął i otworzył drzwi baru w hotelu „Pod Jeleniem”. Stojąca za ladą Beatrice Lippincott powitała go uśmiechem. Uważała Rowleya Cloada za bardzo przystojnego mężczyznę. Młody farmer zamówił kufel piwa i popijając wymieniał z sąsiadami zwykłe w takich razach uwagi na temat szkodliwych poczynań rządu, pogody i przewidywanych zbiorów.

Po jakimś czasie podszedł do panny Lippincott i zapytał cicho:

— Zamieszkał tu jakiś nieznajomy? Wysoki, w kapeluszu z szerokim rondem?

— Aha. O szóstej wynajął pokój. Ten pana interesuje, panie Rowleyu?

— Tak. Przechodził koło farmy. Pytał o drogę.

— Wygląda na to, że przyjechał z daleka — orzekła właścicielka hotelu,

— Ciekawe, co to za jeden? — bąknął Rowley.

Z uśmiechem spojrzał na Beatrice. Uśmiechnęła się w odpowiedzi i sięgnęła pod ladę.

— Łatwo sprawdzić, jeżeli pan sobie życzy.

Wydobyła grubą, oprawną w skórę księgę — rejestr gości — i otworzyła ją na zapisanej do połowy stronie. Ostatnia pozycja brzmiała:

„Enoch Arden. Cape Town. Obyw. bryt.”

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Ranek był wyjątkowo piękny. Ptaki śpiewały i Rosaleen czuła się szczęśliwa, gdy w swoim kosztownym niby to wiejskim stroju schodziła na śniadanie. Rozproszyły się obawy i wątpliwości, które prześladowały ją ostatnio. Dawid był również w dobrym humorze; śmiał się i przekomarzał z siostrą. Jego wczorajsza wycieczka do Londynu miała przebieg pomyślny. Śniadanie było smaczne i ładnie podane. Dobiegało właśnie końca, gdy przyniesiono pocztę.

Rosaleen otrzymała sześć czy siedem listów: rachunki, prośby o wsparcie, lokalne zaproszenie — nic ciekawego.

Dawid odsunął na bok dwa rachunki i rozdarł trzecią kopertę. Zawartość jej, podobnie jak adres, była pisana dużymi literami.

SZANOWNY PANIE!

SĄDZĘ, ŻE LEPIEJ ZWRÓCIĆ SIĘ DO PANA NIŻ DO PAŃSKIEJ SIOSTRY „PANI CLOAD” PONIEWAŻ TREŚĆ TEGO LISTU MOGŁABY BYĆ DLA NIEJ SWEGO RODZAJU WSTRZĄSEM, KRÓTKO MÓWIĄC, MAM WIADOMOŚCI O KAPITANIE ROBERCIE UNDERHAYU, KTÓRE JEJ MAŁŻONKA RADA BY MOŻE USŁYSZEĆ. ZATRZYMAŁEM SIĘ „POD JELENIEM”, JEŻELI WIĘC SZANOWNY PAN ZECHCE MNIE ODWIEDZIĆ DZIŚ WIECZOREM, CHĘTNIE OMÓWIĘ Z PANEM CAŁĄ SPRAWĘ.

ŁĄCZĘ WYRAZY POWAŻANIA

ENOCH ARDEN

Dawid zaklął półgłosem. Rosaleen spojrzała nań uśmiechnięta, lecz twarz jej w jednej chwili przybrała wyraz niepokoju.

— Dawidzie!... Co się stało, Dawidzie?

Bez słowa podał jej ćwiartkę papieru. Wzięła ją, i przeczytała.

— Ja... ja nie rozumiem... Dawidzie, co to znaczy?

— Umiesz czytać, prawda? Spojrzała trwożnie.

— Czy... Mój Boże! Co my teraz zrobimy? Nachmurzony snuł błyskawicznie plany na zwykły mu dalekowzroczny i śmiały sposób.

— Bądź spokojna, Rosaleen — powiedział wreszcie. — Nie warto się przejmować. Sprawę biorę na siebie i...

— Ale czy to znaczy...

— Nie martw się, mała. Zostaw mi wolną rękę. A teraz słuchaj, co masz robić. Natychmiast spakuj manatki i jedź do Londynu. Zamknij się w naszym mieszkaniu i czekaj nowin ode mnie. Rozumiesz?

— Tak... Naturalnie... Rozumiem... Tylko...

— Rób, jak ci radzę, Rosaleen — uśmiechnął się do niej pocieszająco i serdecznie. — Pakuj manatki. Odwiozę cię na stację. Powinnaś zdążyć na 10.32. W Londynie powiedz portierowi, że nie przyjmujesz nikogo. Jeżeli ktoś będzie pytał o ciebie, niech mówi, że wyjechałaś. Daj mu funta. Rozumiesz? Niech nie wpuszcza do ciebie nikogo oprócz mnie.

— Mój Boże!

Pani Cload dotknęła policzków dłońmi. Z przestrachem spoglądała na brata pięknymi szafirowymi oczyma.

— Wszystko w porządku, Rosaleen, ale... Widzisz, sprawa jest trochę śliska. Ty nie masz zdolności do załatwiania śliskich spraw. To raczej mój resort. Rozumiesz? Wolę ciebie schować i mieć zupełnie wolną rękę. O nic więcej mi nie chodzi.

— Czy nie mogę zostać tutaj, Dawidzie?

— Wykluczone, moja droga! Miej trochę rozumu. Muszę mieć absolutną swobodę, bo tylko wtedy uporam się z tym facetem, bez względu na to, kim jest naprawdę.

— Czy podejrzewasz, że to... że...

— Nic w tej chwili nie podejrzewam — odparł z naciskiem. — Przede wszystkim ty, Rosaleen, musisz zniknąć. Później przekonam się, jak wygląda sytuacja. No, idź już, idź! Bądź rozsądna. Nie spieraj się ze mną

Młoda wdowa odwróciła się i wyszła z pokoju.

Dawid sięgnął po list i spojrzał na niego posępnie.

Bynajmniej nie natrętny; uprzejmy, pisany gładkim stylem... Może oznaczać wszystko: szczerą życzliwość wyrażoną w dziwnej formie, a także zamaskowaną groźbę. Dawid analizował pilnie poszczególne zdania... „Mam wiadomości o kapitanie Robercie Underhayu...”, „Lepiej zwrócić się do Pana...”, „Chętnie omówię z Panem całą sprawę...” Bardzo nie podobało mu się ujęcie nazwiska pani Cload w cudzysłów. Bodaj to diabli!

Spojrzał na podpis. Enoch Arden. Coś zaświtało mu w głowie... Wspomnienie wiersza... jednej linijki wiersza.

W hallu hotelu „Pod Jeleniem” nie było, jak zwykle, żywej duszy, kiedy Dawid wszedł tam wieczorem. Na drzwiach po lewej stronie widniał napis „Kawiarnia” po prawej — „Salon”. Drzwi w głębi opatrzone były wskazówką: „Wstęp wyłącznie dla gości hotelowych”. W prawo korytarz wiodł do baru, skąd dobiegał stłumiony gwar. Niewielka oszklona klatka nosiła nazwę „Recepcja”, a obok jej podwórzowego okna umieszczony był dzwonek.

Dawid wiedział z doświadczenia, że czasami trzeba dzwonić cztery lub pięć razy, nim pofatyguje się ktoś z personelu. Z wyjątkiem pory posiłków hali „Pod Jeleniem” bywał bezludny niczym wyspa Robinsona Kruzo.

Tym razem trzeci dzwonek przywołał pannę Beatrice Lippincott. Przyszła korytarzem z baru, poprawiając duży złocisty kok. Wsunęła się do oszklonej klatki i powitała młodego człowieka czarującym uśmiechem.

— Dobry wieczór, panie Hunter. Trochę dzisiaj za chłodno, jak na tę porę roku, prawda?

— Tak... zapewne... Czy zatrzymał się u pani pan Arden?

— Zaraz sprawdzimy, panie Hunter.

Panna Lippincott miała zwyczaj udawać, że nie zna na pamięć nazwisk gości. Sądziła zapewne, że tą metodą podnosi znaczenie i powagę hotelu „Pod Jeleniem”.

— Tak. Pan Enoch Arden. Pokój numer pięć. Pierwsze piętro. Łatwo tam trafić, panie Hunter. Proszę pójść schodami na górę, a później korytarzem, ale nie prosto, tylko w lewo i po trzech stopniach w dół. Tam będzie „piątka”.

Dawid skorzystał z zawilego objaśnienia i po chwili zastukał do drzwi „piątki”.

— Wejść! — powiedział głos z pokoju. Dawid wszedł i zamknął drzwi za sobą.

Panna Lippincott opuściła oszkloną klatkę i zawołała:

— Lili!

Na wezwanie przybiegła skrofuliczna, rozchichotana dziewczyna o wodnistych bładoniebieskich oczach.

— Muszę teraz zająć się bielizną — powiedziała właścicielka „Jelenia”. — Czy mogłabyś pójść do baru, Lili?

— Naturalnie, proszę pani — szczebiotała Lili i dodała z głębokim westchnieniem. — Pan Hunter to bardzo przystojny pan, prawda, proszę pani?

— Podczas wojny widywałam wielu podobnych do niego mężczyzn — odrzekła panna Lippincott tonem osoby światowej. — Z lotniska myśliwców przychodzili młodzi piloci i różni tacy. Nigdy nie można było być pewnym ich czeków. Wolałam raczej inkasować gotówkę. Może jestem śmieszna, ale dla mnie najważniejsza rzecz to klasa. Klasa jest wszystkim. Dżentelmen zostanie dżentelmenem, nawet jeżeli musi prowadzić traktor.

Wypowiedziawszy to zagadkowe zdanie, Beatrice zostawiła Lili i udała się na pierwsze piętro.

W pokoju nr 5 Dawid przystanął tuż za drzwiami i spojrzął na człowieka, który podpisał list nazwiskiem Enoch Arden.

Rosły, trochę sterany. Wygląda na to, że nie wiodło mu się w życiu. Ogólnie biorąc, chyba niełatwy gość. Takie było pierwsze wrażenie Huntera. Zagadkowy typ, trudny do rozgryzienia.

— Oo — odezwał się Arden. — Pewnie pan Hunter? W porządku. Proszę siadać. Co pan wypije? Whisky?

Dawid ocenił wzrokiem, że nieznajomy urządził się wygodnie: spora bateria butelek, wesoły ogień na kominku. Garnitur nieangielskiego kroju, ale noszony tak, jak Anglik mógłby go nosić. Wiek także by się zgadzał...

— Dziękuję — powiedział Dawid. — Napiję się whisky.

— Proszę powiedzieć ile.

— Dziękuję, starczy. Wody sodowej bardzo mało. Dwaj mężczyźni przypominali trochę psy zawierające znajomość, które krążą wokół siebie z naprężonymi grzbietami i zjezoną sierścią; za moment zaczną albo swawolić, albo warczeć i gryźć.

— Pańskie zdrowie — powiedział Arden.

— Pańskie.

Odstawili szklanki. Napięcie zelżało trochę. Pierwszą rundę mieli za sobą.

Nieznajomy, który podawał się za Enocha Ardena, zagał rozmowę:

— Zdziwił pana mój list, prawda?

— Szczerze mówiąc — odparł Dawid — nie rozumiem tej całej historii.

— Rzeczywiście?... No... Bardzo możliwe.

— Wnoszę z listu, że znał pan kiedyś pierwszego męża mojej siostry, Roberta Underhaya.

Arden uśmiechnął się i wypuścił z fajki kłąb dymu.

— Tak. Znałem Roberta bardzo dobrze, chyba tak dobrze jak nikt go nie znał. Pan nie widział go nigdy, prawda, panie Hunter?

— Nie.

— Może to i lepiej.

— Dlaczego lepiej? — zapytał żywo Dawid.

— Tylko dlatego, drogi panie, że taka sytuacja upraszcza sprawę — odrzekł swobodnie Enoch Arden. — Bardzo przepraszam, że zaprosiłem pana tutaj, sądziłem jednak, że nie warto wciągać w to... — zrobił znaczącą pauzę — Rosaleen. Po co ją niepotrzebnie martwić?

— Nie zechciałby pan mówić bardziej zrozumiale? — Z miłą chęcią, panie Hunter. Czy myślał pan kiedy, że... jakby tu powiedzieć... że śmierć Underhaya... była no... podejrzana?

— Do czego, u licha, pan zmierza?

— Widzi pan, Underhay miał trochę cudaczne poglądy. Może chciał być rycerski, a może z zupełnie innych względów... mniejsza o to! Tak czy inaczej w pewnym okresie jego życia, kilka lat temu, byłoby dla niego dogodnie, gdyby został uznany za zmarłego. Umiał postępować z Murzynami. Miał wrodzony talent w tym kierunku. Łatwo mógł puścić w kurs zmyśloną historyjkę, potwierdzoną licznymi szczegółami. A on sam? Cóż, musiał tylko przenieść się gdzieś o tysiąc mil dalej i... i przybrać inne nazwisko.

— Moim zdaniem to czysta fantazja — rzucił chłodno Dawid.

— Czyżby? Sądzi pan tak istotnie? — nieznajomy pochylił się i z uśmiechem klepnął Dawida po kolanie.

— A jeżeli to prawda, Hunter? Jeżeli to prawda?

— Zażądałbym niezbitych dowodów.

— Zażądałby pan? Pięknie. Trudno o całkiem niezbite dowody. Ale, widzi pan, Underhay mógłby zjechać osobiście... tutaj, do Warmsley Yale. Co powiedziałaby pan na taki dowód?

— Powiedziałbym, że jest definitywny.

— Oczywiście. Definitywny... no i zarazem trochę kłopotliwy... Kłopotliwy dla pani Gordonowej Cload. Rozumie się, że w takim przypadku pańska siostra nie byłaby już panią Gordonową Cload. Wytworzyłaby się skomplikowana sytuacja. Musi pan przyznać, że bardzo niedogodna.

— Moja siostra wyszła drugi raz za mąż w dobrej wierze.

— Oczywiście, drogi panie. Niewątpliwie. Absolutnie nie kwestionuję. Niepodobna jej winić. Każdy sąd musi podzielić moje zdanie.

— Sąd? — podchwycił szorstko Dawid.

— Miałem na myśli proces o bigamię — wyjaśnił nieznajomy tonem usprawiedliwienia.

— Do czego pan właściwie zmierza? — zirytował się Dawid.

— Tylko spokojnie, drogi panie, tylko spokojnie. Musimy zastanowić się wspólnie i wykombinować, jakie wyjście będzie najlepsze... rozumie się, dla pańskiej siostry. Skandaliczny rozgłos nikomu nie byłby na rękę. Widzi pan, panie Hunter... Underhay zawsze był rycerski

— Arden zrobił krótką pauzę. — Taki sam jest...

— Jest? — podchwycił głucho Dawid.

— Słyszał pan przecież.

— Twierdzi pan, że Robert Underhay żyje. Gdzie się teraz podziewa?

Arden pochylił się do przodu i podjął zniżonym, poufnym tonem.

— Czy rzeczywiście chce się pan dowiedzieć, Hunter? A może lepiej, żeby pan nie wiedział? Umówmy się. O ile wiadomo panu i Rosaleen, Underhay zmarł w Afryce. Widzi pan, jeżeli on żyje, to nie ma pojęcia, że jego żona powtórnie wyszła za mąż. Nie podejrzewa tego wcale. Bo gdyby wiedział, z pewnością miałby coś do powiedzenia! Niech pan uważa. Rosaleen odziedziczyła po drugim mężu grube pieniądze, a przecież do tych pieniędzy nie ma najmniejszego prawa. Rozumie pan? Underhay to człowiek o wysokim poczuciu honoru. Nie przypadłby mu do gustu spadek zyskany nielegalnie — znów zrobił efektowną pauzę. — Ale najprawdopodobniej Underhay nie wie o tym drugim małżeństwie. Jest teraz w tarapatach, panie Hunter, w diabelnych tarapatach.

— Jakież to diabelne tarapaty? Arden pokiwał głową.

— Zmarnował biedak zdrowie. Wymaga stałej opieki lekarskiej, specjalnej kuracji. Takie historie niestety kosztują... dużo.

Ostatni wyraz wymówił cicho, jak gdyby niezależnie od reszty zdania. Na ten wyraz Dawid czekał od początku rozmowy.

— Dużo? — powtórzył.

— Właśnie! Za wszystko trzeba płacić. A biedny Underhay jest, prawdę mówiąc, w nędzy. Ma tylko to, co nosi na grzbiecie. Nie będę skrywał!

Dawid rozejrzał się po pokoju. Zobaczył plecak na krześle, ale nie dostrzegł nigdzie walizki.

— Zastanawiam się — podjął niezycliwie — czy Robert Underhay to naprawdę taki rycerski dżentelmen, jakim go pan przedstawia.

— Był niegdyś taki. Ale, widzi pan, życie uczy ludzi cynizmu. — Umilkł na chwilę i podjął zniżonym głosem. — Gordon Cload był diabelnie bogaty, diabelnie. Widok nadmiernych bogactw może obudzić w człowieku najniższe instynkty.

Dawid Hunter wstał z fotela.

— Mam gotową odpowiedź. Idź pan do diabła! Enoch Arden nie okazał zdziwienia. Uśmiechnął się pogodnie.

— Słusznie. Przewidywałem taką reakcję.

— Łajdak z pana i szantażysta, ni mniej, ni więcej. Chciałbym zawiadomić policję o pańskim bluffie.

— Chwalebny zamiar. Rozgłosić całą historię i niechaj лихо wszystko porwie! Ale wołałby pan, żebym ja tego nie rozgłaszała, prawda? Nie ma obawy. Jeżeli pan nie chce być kupcem, mam na widoku innych.

— Co pan znów buja?

— Proszę pamiętać o Cloadach. Przypuśćmy, że pójdę do nich i powiem: „Bardzo przepraszam, ale czy interesuje państwa nowina, że nieboszczyk Underhay żyje?” Wyobraża pan sobie, jak Cloadowie podskoczą?

— To golcy — rzucił lekceważąco Dawid. — Nic pan z nich nie wydusi.

— A od czego formalna umowa na przyszłość? Tyle i tyle gotówką, jeżeli dowiodę, że Robert Underhay żyje, a pani Gordonowa Cload jest panią Robertową Underhay, wobec czego testament Gordona Cloada, sporządzony przed jego ślubem, posiada nadal moc prawną.

Przez dłuższą chwilę Dawid siedział bez słowa. Potem zapytał głucho:

— Ile?

— Dwadzieścia tysięcy — padła odpowiedź.

— Nie ma mowy! Moja siostra nie może ruszyć kapitału. Przysługuje jej tylko dożywocie.

— A więc dziesięć tysięcy. Taką sumę łatwo zdobędzie. Ma przecież biżuterię.

— Zgoda! — rzucił Dawid po krótkim namyśle. Nieznajomy zrobił niepewną minę. Zdawać się mogło, że łatwość zwycięstwa zbiła go z tropu.

— Tylko w banknotach, nie czekiem — powiedział.

— Musi mi pan dać czas na zmobilizowanie gotówki.

— Dobrze. Czterdzieści osiem godzin.

— Raczej do wtorku.

— Zgoda. Pieniądze przyniesie pan tutaj — zadysponował i dodał szybko, nim Dawid zdążył się odezwać. — Nie spotkamy się w żadnym ustronnym lesie czy na odludnym brzegu rzeki. Na to proszę nie liczyć. We wtorek o dziewiątej wieczór przyniesie pan forszę tutaj, „Pod Jelenia”.

— Podejrzliwy pan, prawda?

— Znam życie. Znam też gości pańskiego pokroju.

— Będzie tak, jak pan chce.

Dawid wyszedł z pokoju i szybko zbiegł po schodach. Twarz miał siną z gniewu.

Po chwili panna Lippincott opuściła pokój nr 4. Łączyły go z „piątką” drzwi niewidoczne z pokoju Enocha Ardena, bo zastawione szafą.

Policzki Beatrice były zaróżowione, oczy błyszczały miłym podnieceniem. Duży złocisty kok poprawiała drżącą ręką.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

„Shephen’s Court” w Mayfair był to wielopiętrowy blok luksusowych apartamentów z umeblowaniem, wyposażeniem i służbą. Nie został uszkodzony podczas bombardowania Londynu, ale dyrekcja nie mogła utrzymać poziomu przedwojennego. Nadal była tam służba, lecz nie najlepsza. Zamiast dwu umundurowanych portierów funkcjonował jeden. Restauracja wydawała posiłki. Jednakże do apartamentów podawano jedynie śniadania.

Apartament wynajęty przez panią Gordonową Cload znajdował się na trzecim piętrze. Składał się z bawialni z wbudowanym biurkiem, dwu sypialni z szafami w ścianach i wspaniałej łazienki połyskującej glazurą i niklem.

Dawid Hunter spacerował wielkimi krokami po saloniku, a Rosaleen wodziła za nim wzrokiem, siedząc na szerokim, niemal kwadratowym tapczanie. Była blada i wystraszona.

— Szantaż! — mamrotał młody człowiek. — Szantaż! Ja nie należę do ludzi, którzy pozwolą się szantażować.

— Ach, gdybym to przewidziała, Dawidzie — westchnęła przerażona Rosaleen i smutno pokiwała głową. — Gdybym to przewidziała!

Zaszlochała krótko, rozpaczliwie.

— Poruszam się po omacku — ciągnął Hunter — z zawiązanymi oczami. Czy byłeś z tymi szmaragdami na Bond Street u Greatorexa? — zapytał przystając przed młodą wdową i zmieniając nagle ton.

— Tak.

— Ile?

— Cztery tysiące. Cztery tysiące funtów. Jubiler powiedział, że jeżeli ich nie sprzedam, powinnam je na nowo ubezpieczyć.

— Tak. Ceny drogich kamieni wzrosły dwukrotnie. Możemy zmobilizować pieniądze. Ale to będzie dopiero początek. Facet wszystko z nas wyssie, do ostatniego pensa.

— Ach, Dawidzie! — zawołała przez łyzy Rosaleen. — Wyjedźmy! Ucieknijmy z Anglii... do Irlandii, Ameryki... dokądkolwiek.

Odwrócił się i zmierzył ją wzrokiem.

— Nie lubisz walczyć, mała. Twoje hasło to zwinąć chorągiewkę i w nogi.

— Robimy źle — zaszlochała — źle od samego początku. Grzeszymy!

— Przy mnie nie udawaj pobożni. Nie cierpię takich rzeczy. Dobrze nam się powodzi, Rosaleen. Pierwszy raz w życiu jestem naprawdę na wozie i nie pozwolę się zepchnąć. Słyszałaś? Żeby nie ta przeklęta walka w ciemności, bodaj ją licha! Rozumiesz chyba, że cała historia może być bluffem, zwyczajnym bluffem? Prawdopodobnie Underhay śpi snem wiecznym gdzieś w Afryce, jak sądziliśmy dotąd.

Młoda wdowa zadrżała.

— Nie mów takich rzeczy, Dawidzie! Boję się. Spojrzała na jej bladą twarz wykrzywioną strachem i w jednej chwili zmienił styl postępowania. Podszedł do Rosaleen, usiadł obok niej, ujął jej zimne dłonie.

— Nie martw się, moja droga — powiedział. — Mnie zostaw wszystko, a sama rób tylko to, co ci każe. Myślę, że na to potrafisz się zdobyć, prawda? Musisz robić tylko to, co ci każe.

— Przecież zawsze cię słucham, Dawidzie.

— Tak... Oczywiście — roześmiał się. — Wygrzebiemy się z tego, bądź spokojna. Wymyślimy sposób na pana Enocha Ardena.

— Jest chyba taki wiersz, Dawidzie... o człowieku, który skądś wrócił i...

— Tak — przerwał szorstko. — Właśnie to mnie zastanawia. Ale, bądź pewna, rozwikłam tę zagadkę.

— Pieniądze masz mu odnieść we wtorek wieczorem? — zapytała.

Dawid potwierdził skinieniem głowy.

— Wezmę pięć tysięcy. Powiem, że reszty nie mogłem zaraz wytrzasnąć. W każdym razie nie wolno dopuścić, żeby on zwrócił się do Cloadów. Myślę, że to była tylko pogróżka. Ale kto wie?

Przystanął. Zapatrzył się przed siebie niewidzącym wzrokiem. Roztrząsał w myśli i odrzucał różne rozwiązania. Wreszcie wybuchnął beztróskim śmiechem, który mogłoby zapewne rozpoznać wielu nieżyjących dziś ludzi. Był to śmiech kogoś, kto przystępuje do ryzykownej, śmiertelnie groźnej akcji. Dźwięczał radością i wyzywającym zuchwalstwem.

— Przynajmniej tobie, Rosaleen, mogę ufać — powiedział. — Chwała Bogu, mogę ci ufać bez zastrzeżeń!

— Możesz mi ufać? — spojrzała na Dawida z wyrazem pytania w wielkich oczach. — Ufać, że zrobię co?

— Dokładnie to, co ci każe. Na tym, Rosaleen, polega sekret powodzenia operacji — roześmiał się raz jeszcze — operacji o kryptonimie „Enoch Arden”.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Rowley otwierał ze zdziwieniem dużą, szarobłękitną kopertę. Kto, u licha, mógł pisać na takim papierze, a przede wszystkim, gdzie go dostał? Przecież wojna wyczerpała do cna zapasy luksusowej papeterii.

Zaczął czytać:

Szanowny i Drogi Panie Rowleyu!

Mam nadzieję, że nie pogniewa się Pan na mnie za ten list. Pozwoliłam sobie pisać do Pana, ponieważ dzieją się tutaj rzeczy, o których moim zdaniem Pan stanowczo powinien wiedzieć.

Podkreślenie zdumiało Rowleya.

Mają one związek z naszą, rozmową, którą, odbyliśmy tamtego wieczora, kiedy to Pan przyszedł zapytać o pewną osobę. Jeżeli zechce Pan przyjść „Pod Jelenia”, chętnie podzielę się posiadanymi wiadomościami. Wszyscy tutaj odczuliśmy boleśnie przykry fakt, że Pański Stryj umarł, a jego majątek dostał się w niepowołane ręce.

Bardzo przepraszam za śmiałość, ale uważam, że stanowczo powinien Pan wiedzieć, co się tutaj dzieje.

Szczerze oddana

Beatrice Lippincott.

Rowley zapatrzył się w dziwny list i począł medytować. O co tu może chodzić? Poczciwa, stara Beatrice!

Znał ją od dawna. Kupował tytoń w sklepie jej ojca i nieraz spędzał z nią przyjemne chwile za ladą Ładna dziewczyna! Rowley był jeszcze chłopcem, kiedy wyjechała z Warmasley Yale, gdzie zaczęły krążyć dziwne plotki. Nieobecność jej trwała cały rok i wszyscy mówili, że w tym czasie urodziła nieślubne dziecko. Czy było tak naprawdę, nikt nie wiedział. W każdym razie obecnie zachowywała się bez zarzutu, nad wyraz poprawnie. Ludzie uśmiechali się złośliwie, szeptali to i owo, panna Lippincott była jednak aż do znudzenia cnotliwa.

Młody farmer spojrział na zegar i postanowił pójść zaraz „Pod Jelenia”. Niech piekło pochłonie wszystkie formularze! Ciekaw był, co panna Lippincott chce mu zakomunikować.

Krótko po ósmej wszedł do baru. Jak zwykle powitano go tam życzliwie. Goście kiwali głowami, mówili: „Dobry wieczór panu”. Rowley zbliżył się do lady i zamówił małe piwo. Beatrice uśmiechnęła się promiennie.

— Miło mi pana widzieć, panie Rowley.

— Dobry wieczór, Beatrice. Dziękuję za liścik.

— Za moment panu służę.

Podziękował skinieniem głowy i popijając piwo patrzył, jak panna Lippincott uwija się za ladą. Po chwili zawołała przez ramię: „Lili” i Lili przysłała, aby ją zastąpić.

— Może pan pozwoli ze mną, panie Rowleyu.

Powiodła go korytarzem do drzwi opatrzonych napisem: „Mieszkanie prywatne”. Pokój był mały i zagracony: pluszowe fotele, ryczące radio, mnóstwo porcelanowych bibelotów i mocno sfatygowany pierrot przerzucony przez poręcz fotela.

Gospodyni wyłączyła radio i wskazała gościowi drugi pluszowy fotel.

— Bardzo się cieszę, że pan przyszedł, panie Rowleyu — zagałę rozmowę — i myślę, że nie gniewa się pan na mnie za moją śmiałość. Ale przez całą niedzielę zastanawiałam się, co robić, i, jak napisałam, nabrałam stanowczego przekonania, że pan powinien o tym wiedzieć. Była rozpromieniona, ważna i niewątpliwie zadowolona z siebie.

— Co się właściwie stało? — zapytał Rowley tonem umiarkowanego zainteresowania.

— Otóż, panie Rowleyu, chodzi o tego pana, który się u nas zatrzymał... pana Ardena, o kogo—ego pan raz już pytał.

— Słucham?

— Następnego wieczora po panu przyszedł pan Hunter i także o niego zapytał.

— Pan Hunter?

Młody farmer wyprostował się na fotelu zdradzając nieco żywsze zaciekawienie.

— Tak, panie Rowleyu. Skierowałam go do „piątki”, a on tylko kiwnął głową i prosto tam poszedł. Byłam trochę zdziwiona, bo pan Arden nic nie mówił, że zna kogoś w Warmasley Yale. Myślałam, że to ktoś całkiem obcy i nie ma tutaj żadnych znajomości. Pan Hunter był bardzo zdenerwowany, jakby spotkało go coś przykrego. Ale naturalnie niczego się jeszcze wtedy nie domyślałam.

Zrobiła pauzę, żeby nabrać tchu. Rowley milczał. Miał zwyczaj nie przynaglać ludzi, którzy lubią opowiadać rozwlekle.

— Kilka minut później — podjęła z godnością hotelarka — musiałam pójść do pokoju nr 4, żeby sprawdzić, jak tam z bielizną pościelową i ręcznikami. „Czwórka” sąsiaduje z „piątką” i między pokojami są drzwi. Ale nie widać ich z „piątki”, bo są zastawione szafą i ten, kto mieszka w „piątce”, może o drzwiach wcale nie wiedzieć. Naturalnie drzwi są zawsze zamknięte, ale tamtego wieczoru były uchylone, chociaż nie mam pojęcia, kto je mógł otworzyć.

Rowley bez słowa kiwnął głową i pomyślał, że sama Beatrice otworzyła drzwi. Celowo wybrała się do pokoju nr 4. Była ciekawa i liczyła, że się czegoś dowie.

— Rozumie pan, panie Rowley, że musiałam usłyszeć, o czym mówiono w sąsiednim pokoju. Uszom nie chciałam wierzyć!

Rozpoczęła opowieść o podsłuchanej rozmowie, a Rowley siedział obojętnie z twarzą kamienną, pozbawioną wyrazu. Wreszcie panna Lippincott skończyła i spojrzała na gościa z zaciekawieniem.

Trzeba było całych dwu minut, by oprzytomniał. Na koniec wstał z fotela.

— Dziękuję, Beatrice — powiedział. — Stokrotnie dziękuję.

Z tymi słowy wyszedł z pokoju. Hotelarka odczuła przykry zawód.

„Słowo daję — pomyślała — byłam jednak przekonana, że pan Rowley powie trochę więcej”.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Rowley wyszedł z hotelu i bezwiednie ruszył w stronę domu, ale po kilkuset krokach zatrzymał się raptownie i zmienił kierunek marszu.

Zawsze myślał powoli, a więc dopiero po jakimś czasie zdziwienie wywołane rewelacjami panny Lippincott ustąpiło miejsca realnej ocenie ich znaczenia. Jeżeli opowieść zgadzała się z prawdą, (a w zasadzie tak być musiało), wynikała sytuacja ze wszech miar interesująca rodzinę Cloadów. Osobą, która powinna zająć się całą sprawą, był niewątpliwie stryj Jeremiasz. On, jako prawnik, będzie najlepiej wiedział, jak wykorzystać zdumiewające informacje i jakie podjąć kroki.

Rowley pragnąłby sam przystąpić do dzieła, lecz nie bez zazdrości osadził, że należy raczej porozumieć się z doświadczonym i sprytnym adwokatem. Im wcześniej stryj Jeremiasz dowie się o wszystkim, tym lepiej. Tak rozumując znalazł się na High Street przed domem stryja.

Piętnastolatka, która otworzyła mu drzwi, oznajmiła, że państwo siedzą jeszcze przy kolacji. Chciała nawet zaprowadzić gościa do jadalni, ale on odmówił twierdząc, że woli zaczekać w gabinecie. Wolał uniknąć obecności Frances przy konferencji. Przed obraniem kierunku stosownej akcji o rewelacjach winno wiedzieć jak najmniej osób.

Rowley był podniecony. Nerwowo spacerował tam i z powrotem po gabinecie Jeremiasza. Na biurku leżała cienka teczka z napisem „sprawa spadkowa sir Williama Jessamy”. Grube prawnicze tomy zapełniały półki biblioteczne. Dwie stare fotografie przedstawiały Frances w sukni balowej i lorda Edwarda Trentona w stroju do konnej jazdy. Na biurku stała podobizna młodego człowieka w mundurze. Był to syn Jeremiasza, Antoni, poległy na polu chwały.

Rowley spochmurniał i usiadł w fotelu. Wolał patrzeć na fotografię lorda Trentona.

— Ciekawa jestem, czego może chcieć Rowley? — powiedziała w jadalni Frances do małżonka.

— Pewno ma kłopot z jakimś nowym rozporządzeniem — bąknął obojętnie prawnik. — Żaden farmer nie rozumie nawet czwartej części formularzy, które musi wypełniać. Rowley jest bardzo sumienny, więc przejmuje się takimi sprawami.

— Przyjemny chłopiec, ale okropnie powolny — rzekła Frances. — Mam wrażenie, że jego stosunki z Lynn układają się nieszczerze.

— Stosunki z Lynn... — szepnęła półprzytomnie Jeremiasz. — A tak... Oczywiście... Przepraszam... Nie mogę się skupić... To napięcie...

— Nie myśl o tym — przerwała żywo. — Wszystko pójdzie gładko. Ja ci mówię.

— Przerażasz mnie czasami, Frances. Jesteś nieostrożna. Nie zdajesz sobie sprawy...

— Ze wszystkiego zdaję sobie sprawę i wcale się nie boję. Możesz mi wierzyć, Jeremiaszu. Nawet bawi mnie cała historia.

— Dlatego właśnie ja tak się niepokoję, moja droga.

— No, idź już — podjęła z uśmiechem. — Nie każ zbyt długo czekać młodemu wieśniakowi. Pomóż mu wypełnić formularz numer 1199 czy coś w tym guście.

Wychodząc z jadalni małżonkowie usłyszeli trzaśnięcie drzwi frontowych, a Edna powiedziała, że pan Rowley nie chciał dłużej czekać. Mówił, że nie chodziło o nic ważnego.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

We wtorek pod wieczór Lynn Marchmont wybrała się na długi spacer. Czuła, że wzbiera w niej opór i niezadowolenie, postanowiła więc przemyśleć wszystko szczegółowo.

Ostatnio nie widziała Rowleya od kilku dni, mimo że po burzliwym rozstaniu tamtego rana, kiedy prosiła go o pożyczkę pięciuset funtów, spotykali się jak zwykle. Zdawała sobie sprawę, że jej żądanie było nierozsądne i Rowley miał pełne prawo odmówić. Rozsądek to jednak cecha mało przekonująca dla zakochanych. Na pozór stosunki między narzeczonymi układały się poprawnie, ale tylko na pozór. Ostatnie dni wydawały się jej straszliwie monotonne, nie chciała wszakże przyznać nawet sama przed sobą, że na taki stan rzeczy mógł w pewnym stopniu wpłynąć nagły wyjazd do Londynu Dawida Huntera i jego siostry. Dawid, przyznawała niechętnie, to zajmujący człowiek...

Krewni nudzili i drażnili Lynn. Adela Marchmont była tego dnia w wybornym humorze. Przy obiedzie zirytowała córkę wiadomością, że nosi się z zamiarem zatrudnienia drugiego ogrodnika.

— Stary Tom doprawdy nie może sam poradzić — wyjaśniła.

— Ależ, Mateczko! — zawołała Lynn. — Nie stać nas na to!

— Co ty mówisz, córciu! Z pewnością, Gordon byłby zrozpaczony, gdyby mógł zobaczyć, jak ogród podupadł. Tak interesował się zawsze rabatami. Nieraz mówił, że trawniki powinny być strzyżone, a ścieżki porządnie gracowane. A teraz co się dzieje? Spójrz tylko! Jestem przekonana, że Gordon chciałby zaprowadzić dawny ład.

— Nawet kosztem długów u wdowy po nim?

— Mówiłam ci przecież, Lynn, że ona nie mogła być bardziej uprzejma i życzliwa. Na pewno rozumiała mój punkt widzenia. Po uregulowaniu rachunków mam wcale niezłe saldo w banku. A zresztą drugi ogrodnik to nawet pewna oszczędność. Pomyśl tylko, ile jarzyn zaczniemy uprawiać!

— Można kupić bardzo dużo jarzyn za znacznie mniej niż trzy funty tygodniowo.

— Myślę, czy dostaniemy kogoś za znacznie niższą płacę. Tyłu mężczyzn zwolnionych z wojska szuka przecież zajęcia. Piszą o tym wszystkie gazety.

— Wątpię, czy kogoś takiego znajdziesz, Mateczko, w Warmsley Yale albo w Warmsley Heath — rzuciła szorstko córka.

Sprawa została otwarta. Ale Lynn zaczęło dręczyć podejrzenie, że matka zamierza korzystać stale z pomocy Rosaleen. Myśli takie przypominały jej zjadliwe słowa Dawida. Dziewczyna była zirytowana, przygnębiona i wyruszyła na spacer, aby pokonać przykry nastrój. Humoru nie poprawiło jej spotkanie z ciotką Kate przed urzędem pocztowym. Pani Lionelowa była usposobiona pogodnie.

— Przewiduję, moja droga, że rychło otrzymamy pomyślne nowiny — oznajmiła.

— Dlaczego, u Boga Ojca, ciociu Kate?

— Posłannictwa nie z tego świata są ostatnio zdumiewające, doprawdy, Lynn, zdumiewające. Wróżą szczęśliwe zakończenie wszystkich naszych zmartwień. Miałam złą passę, ale później nastąpiła odmiana. Duchy mówią; „Próbuj, próbuj, próbuj! Jeżeli nie powiedzie się raz... itd., itd.”. Nie myślę zdradzać tajemnic, droga Lynn. Jestem też ostatnią osobą, która chciałaby podsycać nadzieje. Ale mam mocne przeczucie, że niebawem wszystko ułoży się jak najpomyślniej. Pora już, najwyższa pora. Bardzo się martwię o twojego wuja. W czasie wojny pracował zbyt ciężko. Powinien teraz zaniechać praktyki i zająć się wyłącznie pracą naukową. Ale naturalnie nie może sobie na to pozwolić bez wystarczających dochodów. On miewa czasem jakieś dziwne napady nerwowe. Doprawdy, bardzo mnie jego stan martwi. Biedaczek zachowuje się dziwnie...

Dziewczyna pokiwała głową ze zrozumieniem. Uwagi jej nie uszły szczególne zmiany zachodzące u doktora ani jego nierówne humory. Podejrzała, że wuj szuka ucieczki przed rzeczywistością w narkotykach, i obawiała się, że może popaść w nałóg. Uzasadniałoby to wzmożoną pobudliwość nerwową Lynn zadała sobie pytanie, jak wiele wie ciotka Kate i czego się domyśla. W istocie nie jest chyba aż tak głupia, jak się zdaje.

Wędrując dalej High Street zobaczyła wuja Jeremiasza, który otwierał drzwi frontowe swojego domu. Pomyślała, że w ciągu minionych trzech tygodni adwokat znacznie się postarzał.

Przyśpieszyła kroku. Chciała co prędzej wydostać się z Warmsley Yale na wzgórze i szerokie pola. Szybki marsz dobrze jej robił. Miała ochotę na długą włóczęgę. Chciała przejść pięć albo sześć mil i dokładnie wszystko przemyśleć. Zawsze była zrównoważona, stanowcza. Wiedziała, czego chce, a czego nie chce. Nigdy dotychczas nie płynęła z prądem.

Tak! O to właśnie chodzi. Teraz płynie z prądem. Żyje bez sensu i celu od dnia demobilizacji. Nagle odczuła przypływ tęsknoty do minionych wojennych dni. Rozkład godzin i zajęć był wtedy ściśle określony, zaplanowane życie biegło systematycznie, nie ciążyło brzemie samodzielnych decyzji. Pod wpływem tych myśli Lynn ogarnęło przerażenie. Czy naprawdę wszyscy ludzie czują teraz tak jak ona? Czy tak właśnie wygląda najcięższa krzywda wyrządzona przez wojnę? Nie chodzi o fizyczne niebezpieczeństwa; miny na morzu, bomby spadające z nieba, suchy trzask pocisków karabinowych, gdy mknie się samochodem na pustym szlaku. Groźniejsze jest niebezpieczeństwo duchowe: wniosek, że nieporównanie łatwiej jest żyć, kiedy przestanie się myśleć. Ona sama, Lynn Marchmont, nie jest dziś tą energiczną, rozsądną, inteligentną dziewczyną, która wstępowała do wojska. Swoją inteligencję wyspecjalizowała, zwróciła w określonym kierunku. Teraz, gdy jest znów panią własnej osoby i własnego życia, przeraża ją własne lenistwo umysłowe, niechęć do stawiania i rozstrzygania problemów osobistych.

„To dziwne — myślała uśmiechając się smutno — ale z warunków wojennych wyszła chyba zwycięsko tylko postać wychwalana przez gazety: »dobra gospodyni«. Ta kobieta, ograniczana przez niezliczone zakazy, nie znajdowała pomocy w kategoriach poleceń. Musiała planować, myśleć, improwizować, wykorzystywać cały posiadany spryt, rozwijać pomysłowość, o jaką nie podejrzewała się nigdy. Tylko ona potrafi teraz stać bez podpórki, podejmować odpowiedzialność za samą siebie i innych. A ja, Lynn Marchmont, osoba wykształcona, bystra, posiadająca niegdyś sprawny mózg i silną wolę, zostałam pozbawiona steru i zdolności decydowania. Płynę z nurtem! Mój Boże, jakie to wstrętne określenie! Ludzie, którzy spędzili wojnę w kraju, na przykład Rowley...”

W tym momencie Lynn dała spokój ogólnym rozważaniom, aby zająć się kwestią osobistą. Ona i Rowley. Oto problem — problem zasadniczy i jedyny.

„Czy istotnie pragnę zostać żoną Rowleya?” — zadała sobie pytanie.

Cienie wydłużały się. Zapadał zmierzch. Lynn usiadła na skraju niewielkiego zagajnika na zboczu wzgórze i zapatrzyła się w dolinę. Długo siedziała tak bez ruchu, z brodą podpartą dłońmi. Straciła rachubę czasu i na pewno

wiedziała tylko jedno: że nią ma ochoty wracać do „Białego Domu”. W dole, trochę na lewo, widziała „Long Willows”, swój przyszły dom, jeżeli wyjdzie za Rowleya.

Jeżeli! To „jeżeli” wracało raz po raz.

Jakiś ptak zerwał się w zagajniku z przeraźliwym wrzaskiem podobnym do krzyku rozgniewanego dziecka. Kłęb dymu z lokomotywy pociągu sunącego doliną zawisł w powietrzu tworząc ogromny znak zapytania.

???

„Czy wyjdę za Rowleya? Czy chcę zostać jego żoną? Czy kiedykolwiek chciałam naprawdę? Czy potrafiłabym zrezygnować z tego małżeństwa?”

Pociąg odjechał. Dym rozproszył się w powietrzu. Ale znak zapytania został w myślach Lynn.

„Kochałam go przed wojną, Ale wróciłam odmieniona. Nie jestem dziś taka jak dawniej.”

Przypomniał jej się urywek wiersza:

„Życie i świat, i moja jaźń, wszystko uległo zmianie”.

A Rowley? Rowley nie zmienił się wcale. Był taki, jakim pożegnała go przed czterema laty. W tym sedno sprawy!

„Czy chcę wyjść za Rowleya? — myślała. — A jeżeli nie, to czego chcę właściwie?”

W zagajniku trzasnęły gałęzie i zaklął jakiś mężczyzna. Widocznie torował sobie drogę przez gęstwinę.

— Dawid! — krzyknęła zdumiona dziewczyna.

— Lynn!

On również miał zdziwioną minę, kiedy wydostał się z zarośli.

— Co pani tutaj robi?

Po biegu był trochę zdyszany.

— Nie wiem — odpowiedziała. — Siedzę... Siedzę i myślę — roześmiała się z przymusem. — Chyba już bardzo późno.

— Straciła pani rachubę czasu? Spojrzała na zegarek.

— Znowu stoi. Wywieram zgubny wpływ na zegary.

— Nie tylko na zegary! W pani jest prąd elektryczny, dynamika, życie!

Zbliżył się do niej, a ona z wahaniem wstała.

— Robi się ciemno. Muszę pędzić do domu. Która godzina?

— Kwadrans po dziewiątej. Będę gonił jak chart. Muszę, koniecznie muszę złapać pociąg londyński o dziewiątej dwadzieścia.

— Nie miałam pojęcia, że pan przyjechał.

— Chciałem zabrać coś z „Furrowbank”. Ale ten pociąg muszę złapać. Rosaleen została w mieszkaniu. W nocy umiera z przerażenia, jeżeli jest sama w Londynie.

— Nawet w apartamencie z pełną obsługą? — zdziwiła się Lynn.

— Lęk nie zna logiki — obruszył się. — Gdyby pani przeżyła to, co ona...

— Bardzo przepraszam. Zapomniałam... Lynn była zbита z tropu, zawstydzona.

— Słusznie! — zawołał z nagłym gniewem. — O wszystkim zapominałyśmy łatwo! Wracamy do bezpiecznej przystani, do wygod, układności. Wracamy tam, gdzie zastał nas początek tej diabelskiej pantomimy! Wpełzamy do ciasnych nor i znów czujemy się szczęśliwi. I ty, Lynn, jesteś taka sama jak wszyscy.

— Nie! — zawołała. — Nie, nie, Dawidzie! Właśnie... teraz myślałam...

— O mnie?

Nagły atak zaskoczył Lynn, oszołomił. Była w jego ramionach, na wargach czuła gorące, gniewne usta.

— Rowley Cload to bęcwał! — mówił. — Na Boga, Lynn, ty należysz do mnie.

Potem uwolnił ją z uścisku równie nagle, jak porwał w objęcia. Omal jej nie odtrącił.

— Spóźnię się na pociąg! — rzucił i pobiegł w dół stokiem wzgórza.

— Dawidzie! Odwrócił głowę.

— Zatelefonuję z Londynu!

Patrzyła za nim, dopóki — zwinny, gibki, pełen wrodzonego wdzięku — nie zniknął w półmroku. Później ruszyła w stronę domu. Serce miała ściśnięte, w jej głowie huczał wir niespokojnych myśli.

Przed drzwiami przystanęła na chwilę. Bała się czułego powitania i pytań matki, która pożyczyła pięćset funtów od pogardzanych przez siebie ludzi.

„Nie mamy prawa gardzić Dawidem i Rosaleen — myślała wchodząc na schody. — Jesteśmy tacy sami. Dla pieniędzy zrobilibyśmy wszystko... absolutnie wszystko”.

W swoim pokoju ciekawie spojrzała w lustro i wydało się jej, że widzi obcą, twarz...

Nagle porwał ją gniew.

„Gdyby Rowley kochał mnie naprawdę — pomyślała — zdobyłby te pięćset funtów. Musiałby zdobyć! Nie pozwoliłby mi poniżać się, pożyczać od Dawida...”

Obiecał, że zatelefonuje z Londynu...

Lynn zeszła na dół trochę jak lunatyczka.

„Marzenia sennie — myślała — mogą, być bardzo niebezpieczne, groźne”.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

— O, jesteś już, Lynn — powiedziała z ulgą Adela Marchmont. — Nic nie słyszałam. Dawno przysłaś, dziecinko?

— Bardzo dawno. Byłam u siebie.

— Powinnaś dać mi znać, jak wracasz. Niepokoję się zawsze, kiedy spacerujesz sama po zmroku.

— Myślisz, Mateczko, że nie potrafię się upilnować?

— Widzisz, gazety piszą ciągle o różnych okropnościach. Zdemobilizowani żołnierze... no... napastują dziewczęta.

— Pewno takie, które chcą być napastowane — uśmiechnęła się cierpko i pomyślała: „Tak... Dziewczęta szukają przygód... Komu właściwie zależy na bezpieczeństwie i spokoju?”

— Czy słuchasz mnie, dziecinko? Lynn wzdrygnęła się, oprzytomniała.

— Mówiłaś coś, Mateczko?

— Tak. Mówiłam o twoich druhnach. Myślę, że dysponują kuponami odzieżowymi w wystarczającej ilości. Jak to dobrze, że ty, córciu, dostałaś tak dużo kuponów przy demobilizacji. Żal mi dziewcząt, które wychodzą za mąż i prawie nic nie mogą kupić. To znaczy, starczy im kuponów ledwie na wierzchnią garderobę. A przecież teraz wszyscy mają bieliznę tak zniszczoną, że raczej tym trzeba się zająć. Doprawdy, moja droga, masz szczęście!

— Nawet wielkie szczęście! — rzuciła Lynn. Nerwowo przechadzała się po pokoju. Sięgała po rozmaite drobiazgi i odkładała na miejsce.

— Czy musisz tak się kręcić, córciu? Strasznie mnie to drażni.

— Przepraszam, Mateczko.

— Może ci coś dolega?

— Co miałyby mi dolegać? — obruszyła się szorstko.

— Nie atakuj mnie tak ostro, bardzo cię proszę, Lynn. Ale wróćmy do sprawy druhien. Moim zdaniem musisz poprosić Joan Macrae. Nie zapominaj, że jej matka to moja najbliższa przyjaciółka, a więc dotknęłabyś ją boleśnie...

— Nie cierpię Joan. Zawsze jej nie cierpiałam.

— Wiem, wiem, dziecinko. Ale nie o to przecież chodzi. Marjorie się obrazi i...

— Ach, Mateczko! Chyba to będzie mój ślub?

— Naturalnie, Lynn, ale...

— Jeżeli w ogóle będzie.

— Nie chciała tego powiedzieć. Zdanie wyrwało się jej samo. Wolałaby je cofnąć, lecz było za późno. Pani Marchmont spojrzała na córkę ze zgrozy

— Co ty mówisz, Lynn?

— Nic. Nie przejmuj się, Mateczko.

— Czy pokłóciliście się z Rowleyem?

— Skąd znowu. Nie martw się. Nic się nie zmieniło. Mimo takiego zapewnienia Adela Marchmont z niepokojem obserwowała córkę. Zdawała sobie sprawę, że za jej zmarszczonym czołem szaleje jakaś burza.

— Jestem głęboko przekonana, że przy Rowleyu będziesz zawsze bardzo, bardzo bezpieczna — bąknęła nieśmiało starsza dama.

— Bezpieczna! Komu zależy na bezpieczeństwie? — rzuciła Lynn i odwróciła się raptownie. — Nikt nie telefonował?

— Nie. Czemu pytasz? Spodziewasz się telefonu?

— Dziewczyna zaprzeczyła ruchem głowy. To upokarzające tak nasłuchiwać dzwonka. Dawid obiecał, że wieczorem zatelefonuje. Musi zatelefonować!

„Szalona jestem! Szalona! Czemu ten człowiek tak na mnie działa?”

Śniada, posępna twarz ukazała się oczom jej wyobraźni. Lynn próbowała odpędzić ją, zastąpić pełnym, urodziwym obliczem Rowleya. Zobaczyła spokojny uśmiech i czułe spojrzenie narzeczonego.

„Czy Rowley kocha mnie naprawdę? — pomyślała. — Gdyby tak było, zrozumiałby chyba, kiedy przybiegłam błagać go o pięćset funtów. Nie byłby tak piekielnie rzeczowy i rozsądny. Wyjdę za niego, zamieszkać na farmie... Nigdy nie wyjadę nigdzie, nie zobaczę obcego nieba, nie poczuję egzotycznych zapachów... Nigdy już nie będę wolna”.

Dzwonek telefonu zabrzączał ostro. Dziewczyna odetchnęła głęboko, wyszła do hallu i podniosła słuchawkę.

Wzdrygnęła się na dźwięk głosu ciotki Kate.

— Lynn, to ty? Bardzo się cieszę. Widzisz, kochanie, zdaje mi się, że narobiłam strasznego zamętu z zebraniem Instytutu...

Wysoki, jęklivy głos mówił i mówił. Lynn słuchała, wtrącała swoje uwagi, pocieszała ciotkę, przyjmowała jej wylewne dzięki.

— Naprawdę dodałaś mi otuchy, kochana Lynn. Taka zawsze jesteś życzliwa i praktyczna. Nie rozumiem, słowo daję, jakim cudem narobiłam tyle zamętu?

Lynn też nie rozumiała. Wiedziała tylko, że ciotka Kate posiada genialne zdolności do komplikowania nawet najprostszyczych spraw.

— Jak się nie wie, Lynn, to już wszystko — ciągnęła pani Lionelowa. — Nasz telefon się popsuł, więc musiałam wyjść do budki i poniewczasie zorientowałam się, że nie mam pensów, tylko półpensówki. Musiałam wyjść z budki, prosić o zmianę...

Rozmowa dobiegła wreszcie końca. Lynn odłożyła słuchawkę i wróciła do salonu.

— Czy to... — zaczają Adela i urwała.

— Ciotka Kate — odpowiedziała żywo córka.

— O co jej chodziło?

— O nic ważnego. Znowu coś pokręciła, jak zawsze.

Usiadła w fotelu i sięgając po książkę zerknęła spod oka na zegar. Stanowczo było za wcześnie. Dawid nie mógł jeszcze telefonować. Pięć po jedenastej dzwonek odezwał się znowu. Bez pośpiechu Lynn podeszła do aparatu. Sądziła, że ciotka Kate coś sobie przypominała. Omyliła się i tym razem.

— Warmsley Yale 34? Londyn prosi do aparatu pannę Lynn Marchmont.

Serce zamarło w dziewczynie.

— Słucham. Lynn Marchmont przy telefonie.

— Chwileczkę, proszę.

Lynn czekała. W słuchawce odezwały się jakieś trzaski, później wszystko umilkło.

„Telefony funkcjonują, coraz gorzej” — pomyślała.

Czekała długo. Mocno ścisnęła słuchawkę. Na koniec odezwał się inny kobiecy głos — obojętny, daleki.

— Proszę odłożyć słuchawkę. Połączenie będzie później.

Lynn odeszła w stronę drzwi do salonu, ale dzwonek zabrzączał, gdy dotykała klamki. Zawróciła pośpiesznie.

— Warmsley Yale 34? — zapytał głos, tym razem męski. — Londyn prosi pannę Lynn Marchmont.

— Jestem przy telefonie.

— Momencik... Londyn! Proszę mówić. W słuchawce odezwał się głos Dawida:

— Lynn! To ty?

— Dawid!

— Muszę z tobą pomówić.

— Słucham.

— Lynn! Myślę, że powinienem prysnąć...

— Jak to prysnąć?

— No... z Anglii. To całkiem prosta sprawa. Wmawiałem w Rosaleen, że trudno teraz wyjechać, bo wolałem siedzieć w Warmsley Yale. Ale to się na nic nie zda... Ty i ja? Nie! Nic z tego nie będzie. Ty jesteś przyzwoitą panią, a ze mnie łajdaczyzna, Lynn. Zawsze byłem łobuzem. Nie pochlebiaj sobie tylko, że dla ciebie wejść na prostą drogę. Może i chciałbym, ale nie potrafię. Nie! Lepiej wyjdź za gospodarnego Rowleya. Z nim nie będziesz miała ani dnia niepokoju. Ja stworzyłbym ci piekło...

Dziewczyzna słuchała w milczeniu.

— Jesteś tam, Lynn?

— Jestem.

— Nic nie mówisz?

— Cóż mogłabym mieć do powiedzenia?

— Lynn...

— Słucham.

Mimo znacznej odległości wyczuwała wyraźnie jego niepokój, podniecenie.

Dawid zaklął półgłosem i wybuchnął:

— Bodaj to wszyscy diabli! Na tym urwała się rozmowa.

— Czy to... — zaczęła pani Marchmont ukazując się w drzwiach salonu.

— Pomyłka — rzuciła Lynn i szybko poszła na górę.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

W hotelu „Pod Jeleniem” budzono gości o wskazanej przez nich porze, a procedura była nader prosta. Pokojówka stuknęła mocno w drzwi i oznajmiała: „Ósma trzydzieści” czy też „Ósma, proszę pana!” Jeżeli gość zamówił poranną herbatę, stawiała tacę przed drzwiami tak energicznie, że brzęczała zastawa.

W środę z rana młoda Gładys odprawiła zwykły ceremoniał przed drzwiami pokoju nr 5. Krzyknęła: „Kwadrans po ósmej, proszę pana!” i prawie rzuciła tacę na podłogę, wylewając z dzbanuszka trochę mleka. Później odeszła, by pełnić inne obowiązki związane ze swoją funkcją.

Dopiero około dziesiątej zauważyła, że taca z poranną herbatą stoi nadal przed drzwiami „piątki”. Zastukała kilkakrotnie, a gdy nie otrzymała odpowiedzi, zajrzała do pokoju. Pan Arden nie wyglądał na śpiocha, a Gładys przypomniała sobie, że za oknem „piątki” znajduje się bardzo dogodny płaski dach. Gość mógł ulotnić się nie uregulowawszy rachunku.

Ale gość się nie ulotnił. Leżał pośrodku, twarzą do podłogi. Gladys stwierdziła na pierwszy rzut oka, że pan Arden nie żyje, chociaż wcale nie znała się na medycynie. Zadarła głowę, wrzasnęła przeraźliwie, a następnie trzasnąwszy drzwiami zbiegła po schodach z krzykiem:

— Ojej! Proszę pani! Panno Lippincott! Ojej! Właścicielka hotelu była w swoim mieszkaniu, gdzie doktor Lionel Cload bandażował jej skaleczoną rękę. Kiedy Gladys wtargnęła do pokoju, lekarz odwrócił się z gniewną miną.

— Ojej! Proszę pani!

— Co się stało? — zapytał Lionel Cload.

— Czego się drzesz, Gladys? — uzupełniła hotelarka.

— Ten gość z „piątki”, proszę pani. Leży na podłodze! Nieżywy!

Lekarz spojrzął na pokojową, później na jej chlebobawczynię. Beatrice spojrzała na Gladys, później na lekarza.

— Nonsens — powiedział bez przekonania ten ostatni.

— Nieżywy! Jak Boga kocham! — zawołała dziewczyna i dodała tonem wyjaśnienia: — Głowę ma całkiem rozwaloną.

Lekarz spojrzął znowu na” pannę Lippincott.

— Myślę, że trzeba...

— Bardzo proszę, panie doktorze... Ale, doprawdy... Trudno uwierzyć...

Wszyscy poszli na piętro pod przewodnictwem Gladys. Lionel Cload rzucił okiem na rozciągnięte ciało i przyklękawszy pochylił się nad nim. Następnie odwrócił głowę, by spojrzeć na hotelarkę. Był teraz czujny, stanowczy.

— Proszę zatelefonować na posterunek policji — zadysponował.

Kobiety wyszły z „piątki”.

— Ojej, proszę pani, czy to morderstwo? — zapytała Gladys.

Beatrice poprawiła złocisty kok drżącą ręką.

— Nie pleć głupstw, Gladys! — rzuciła gniewnym tonem. — Gadasz o morderstwie, a jeszcze nic nie wiadomo!

Możesz przez to być ciągnana po sądach. Plotki nie wyjdą też na dobre „Jeleniowi”. Jeżeli chcesz — podjęła łagodniej — zaparz sobie herbatę. Myślę, że ci posłuży.

— A pewnie, pewnie, proszę pani. Wszystko we mnie dygoce. Pani także przyniosę, dobrze?

Beatrice nie odmówiła.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Komisarz Spence spojrzął poważnie na Beatrice Lippincott, która siedziała po drugiej stronie jego biurka, sztywno i z zaciśniętymi ustami.

— Bardzo pani dziękuję — powiedział. — Czy to wszystko, co pani pamięta? Polecę przepisać na maszynie pani zeznania. Przeczyta je pani później i zechce podpisać, dobrze?

— Mój Boże! Ale nie będę chyba zeznawała przed sadem?

— Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie — uśmiechnął się pojednawczo Spence.

— Może to samobójstwo — szepnęła z nadzieją hotelarka.

Policjant nie powiedział, że samobójca rzadko rozbija sobie potylicę stalowymi szczypcami do węgla. Natomiast odrzekł swobodnie:

— Nie wyciągamy przedwczesnych wniosków, panno Lippincott. Bardzo pani dziękuję za tak szybkie zgłoszenie się z ważnymi informacjami.

Właścicielka hotelu wyszła z pokoju, a komisarz szybko przebiegł myślą jej opowieść. Dobrze znał Beatrice i wiedział, jak należy szacować ścisłość jej słów. Szczególnie zastrzeżenia mogła budzić relacja z podsłuchanej rozmowy. Na pewno trochę dodała, aby wzmocnić zainteresowanie, a potem jeszcze trochę, ponieważ to właśnie w „piątce” popełniono morderstwo. Ale nawet i bez uzupełnień historia przedstawiała się brzydko i podejrzanie.

Komisarz objął wzrokiem leżące przed nim na biurku przedmioty: zegarek na rękę z rozbitym szkiełkiem, małą złotą zapalniczkę z inicjałami, pomadkę do ust w pozłacanej oprawce i ciężkie stalowe szczypce do węgla, których kulista główka miała rdzawobrazową plamę.

Sierżant Graves uchylił drzwi i zameldował, że pan Rowley Cload czeka. Spence skinął głową i policjant wprowadził młodego farmera.

Komisarz znał go nie gorzej niż pannę Lippincott. Skoro taki człowiek zgłosił się na policję, musi mieć do powiedzenia coś konkretnego, ważnego i zasługującego na wiarę. Warto tego wysłuchać i poświęcić na wysłuchanie sporo czasu. Rowley to solidny jegomość. Jeżeli chce coś wyłożyć, musi wyłożyć to szczegółowo. Przynaglanie nie prowadzi do niczego, bo ludzie tego typu zaczynają się wówczas powtarzać i gadają dwa razy dłużej.

— Dzień dobry, panie Cload. Miło mi pana widzieć. Czy może pan nam pomóc w sprawie tego człowieka zabitego „Pod Jeleniem”?

Ku pewnemu zdziwieniu komisarza Rowley zaczął od pytania:

— Zidentyfikowaliście zwłoki?

— Nie — odrzekł wolno Spence. — Jak dotąd nie. W hotelowym rejestrze gość figuruje jako Enoch Arden. Ale nie miał przy sobie nic, co by potwierdziło, że istotnie tak się nazywał.

— To dziwne, prawda?

Komisarz nie miał zamiaru prowadzić z Rowleyem dyskusji, na temat co i w jakim stopniu jest dziwne.

— Ja jestem tutaj po to, by zadawać pytania — odrzekł chłodno. — Wczoraj wieczorem odwiedził pan tego człowieka. W jakim celu?

— Zna pan Beatrice Lippincott z hotelu „Pod Jeleniem”?

— Pytanie! Znam też jej rewelacje. Sama się z nimi zgłosiła.

— To dobrze — powiedział z westchnieniem ulgi młody farmer. — Obawiałem się, że Beatrice nie będzie chciała zeznawać przed policją. Ludzie są czasami tacy dziwni. Otóż panna Lippincott powtórzyła mi podsłuchaną rozmowę. Nie wiem jak panu, ale mnie ta cała historia wydała się bardzo mętna. Cóż, ja i moja rodzina to przecież... jakby tu powiedzieć?... strona zainteresowana.

Komisarz przytaknął ze zrozumieniem. Jak całe Warmsley Yale, interesował się śmiercią Gordona Cloada i podzielał ogólny pogląd, że rodzina nieboszczyka została fatalnie pokrzywdzona. Całkowicie zgadzał się z opinią, iż pani Gordonowa Cload nie jest „dama z towarzystwa”, a jej brat to jeden z tych krewkich komandosów, co to mogli być potrzebni podczas wojny, lecz w okresie pokoju lepiej mieć się przed nimi na baczności.

— Nie muszę panu tłumaczyć, panie komisarzu, że jeżeli mąż pani Gordonowej żyje, sytuacja naszej rodziny ulegnie zasadniczej zmianie. Rewelacje panny Lippincott były dla mnie pierwszym sygnałem, że może istnieć taka ewentualność. Dawniej w głowie mi taka myśl nie powstała. Byłem zupełnie pewien, że stryj Gordon ożenił się z wdową. Rozumie pan, komisarzu? Jakbym dostał pałką po głowie. Musiałem uporządkować myśli, przywyknąć jakoś do nich.

Spence znowu kiwnął głową. Wydało mu się, że widzi młodego farmera pogrążonego w zawiłych medytacjach.

— Z początku byłem zdania, że postąpię najwłaściwiej wtajemniczając we wszystko mojego stryja, adwokata.

— Pana Jeremiasza Cloada?

— Tak. Poszedłem prosto do niego. To było wczoraj, krótko po ósmej wieczorem. Stryjostwo jedli jeszcze kolację, więc czekałem w gabinecie starego i jeszcze raz porządkowałem myśli w głowie.

— No i co?

— Wreszcie doszedłem do wniosku, że sam muszę dowiedzieć się więcej, nim wciągnę w to stryja. Prawnicy, panie komisarzu, są wszyscy tacy sami. Powolni, rozważni; muszą być absolutnie pewni faktów, żeby się zabrać do roboty. Informację uzyskałem cokolwiek podejrzaną drogą, sadyłem więc, że stryj może wątpić o ich prawdzie i pocnie kręcić głową. Postanowiłem wybrać się więc „Pod Jelenia”, by osobiście pogadać z tym ptaszkiem.

— I tak pan zrobił?

— Właśnie. Wróciłem do hotelu i...

— Która była godzina? Rowley zastanowił się poważnie:

— Zaraz... zaraz... u stryja Jeremiasza wylądowałem mniej więcej dwadzieścia po ósmej... Byłem tam... może pięć minut... Nie mogę określić dokładnie, panie Spence... Było wtedy chyba pół do dziewiątej... może za dwadzieścia dziewiąta.

— Słucham dalej, panie Cload.

— Wiedziałem, jak znaleźć gościa, bo Beatrice wymieniła numer jego pokoju. Poszedłem tam prosto i zastukałem do drzwi. On powiedział „Proszę”, więc wszedłem.

Rowley zamyślił się i podjął niebawem:

— Podejrzewam, panie komisarzu, że nietęgo się spisałem. Na początku zdawało mi się, że jestem górą. Ale to dobry cwaniak. Nie potrafiłem wydusić z niego nic konkretnego. Myślałem, że się przestraszy, jak mu zarzucę szantaż, a on, bodaj go licha!... uśmiechnął się i spytał, czy ja też jestem kupcem? „Ze mną pan nie wygra”. Ja na to: „Nie mam nic do ukrywania”. A on, że źle go zrozumiałem. „Chodzi o to — mówi — że ja mam coś na sprzedaż, a pan chciałby może to kupić”. „Co pan ma na sprzedaż?” — pytam, a on: „Na ile mógłbym liczyć od pana czy też całej pańskiej rodziny za niezbity dowód, że Robert Underhay, rzekomo zmarły w Afryce, żyje i dobrze mu się wiedzie?” Zapytałem, po kiego diabła mielibyśmy za to płacić, a on roześmiał się i mówi: „Bo lada chwila spodziewam się kogoś, kto gotów jest wybulić grubą forszę za niezbity dowód, że Robert Underhay nie żyje”. Wtedy... obawiam się, Spence, że zrobiłem głupstwo, bo zirytowałem się i powiedziałem, że Cloadowie nie robią świńskich interesów. „Jeżeli Underhay nie umarł, łatwo to będzie stwierdzić uczciwą drogą” — dodałem. Na tym zakończyłem rozmowę, a kiedy szedłem do drzwi, on roześmiał się i powiedział tak jakoś dziwnie: „Wątpię, czy stwierdzi to pan bez mojego udziału”.

Zastanawiające, prawda, komisarzu?

— Co dalej?

— Nic. Do domu wróciłem niezadowolony z siebie. Czuję, że zababrałem sprawę. Lepiej było dać wolną rękę staremu Jeremiaszowi. Widzi pan, prawnicy potrafią gadać z różnymi typkami spod ciemnej gwiazdy.

— O której wyszedł pan z hotelu?

— Nie mam pojęcia... Chociaż... Musiała dochodzić dziewiąta, bo jak szedłem ulicą, usłyszałem sygnał dziennika wieczornego z jakiegoś otwartego okna.

— Czy Arden mówił, jakiego klienta oczekuje?

— Nie. Ale nie miałem wątpliwości, że chodzi o Dawida Huntera. Nie mógł to być nikt inny.

— Czy Arden nie był zaniepokojony, zdenerwowany?

— Skąd znówu. Wyglądał na człowieka bardzo zadowolonego z siebie i całego świata. Spence wskazał ruchem ręki ciężkie stalowe szczypcy.

— Widział pan to obok kominka, panie Cload?

— Czy ja wiem? Nie sądzę. Ogień się nie palił — zmarszczył brwi przypominając sobie scenę z poprzedniego wieczoru. — Jakież przybory były obok kominka, ale nie zwracałem na nie uwagi. Tymi szczypcami...

— Rozbito głowę nieboszczykowi — dokończył komisarz. Tak, panie Cload.

Rowley zmarszczył czoło.

— To dziwne — powiedział. — Hunter jest drobny, szczupły, a tamten kawał chłopa.

— Orzeczenie lekarskie stwierdza, że cios był zadany od tyłu i z góry — oznajmił bezbarwnym głosem policjant

— Ciekawe... — podjął z namysłem Rowley. — Facet był bardzo pewny siebie, ale... Widzi pan, ja na jego miejscu nie odwracałbym się tyłem do gościa, z którego wyciskam forszę, a który podczas wojny odstawił nieraz mokrą robotę. Wygląda na to, że pan Arden zaniedbał elementarnej ostrożności.

— Gdyby był ostrożny, zapewne żyłby teraz — rzucił sucho Spence.

— A szkoda, że nie żyje — podchwycił młody farmer. — Teraz dopiero widzę, jak pokpiłem sprawę. Gdybym był mniej ważny, mógłbym dowiedzieć się czegoś bardzo ciekawego. Powinienem udawać, że jestem klientem. Ale głupio mi było. Przecież my nie moglibyśmy nigdy przelicytować Rosaleen i Dawida. Niełatwo by nam zmobilizować pięćset funtów, nawet wspólnymi siłami.

Komisarz sięgnął po złotą zapalniczkę.

— Widział pan to kiedy?

Ponownie zmarszczka ukazała się między brwiami Rowleya.

— Chyba widziałem... ale nie pamiętam, gdzie i kiedy... Wydaje mi się, że niedawno, nie jestem jednak pewien... Nie pamiętam.

Wyciągnął rękę, lecz komisarz nie podał mu zapalniczki. Odłożył ją i pokazał szminkę do ust.

— A to pan widział?

— Nie znam się na takich rzeczach, panie Spence — odparł z uśmiechem młody farmer.

Policjant musnął pomadką wierzch swojej dłoni i z powagą ją obserwował.

— Powiedziałbym, że odcień stosowny dla brunetki — bąknął.

— Wy, policjanci, musicie znać się na wszystkim — zauważył Rowley wstając z uśmiechem. — I w dalszym ciągu nie wie pan, komisarzu, nie podejrzewa nawet, kim był nieboszczyk?

— A pan coś podejrzewa, panie Cload?

— Nie. Ale się zastanawiam. Tylko on mógł wskazać drogę do Underhaya. Po śmierci tego gościa... Cóż, łatwiej znaleźć igłę w stogu siana niż pierwszego męża Rosaleen.

— Sprawa nabierze rozgłosu, panie Cload. Proszę pamiętać, że w swoim czasie wiele szczegółów trafi do prasy. Jeżeli Underhay żyje, może przeczytać to i owo i wtedy sam się chyba zgłosi.

— Być może — bąknął Rowley z powątpiewaniem.

— Nie liczy pan na to, panie Cload?

— Czy ja wiem?... W każdym razie myślę, że Dawid Hunter wygrał pierwszą rundę.

— Nie sądzę — mruknął komisarz, ale kiedy Rowley wyszedł, sięgnął po złotą zapalniczkę i jeszcze raz obejrzał inicjały D.H.

— Kosztowne cacko — powiedział do sierżanta Gravesa. — Nie z produkcji masowej. Łatwo będzie sprawdzić u Greatorexa czy gdzieś indziej przy Bond Street. Pan się tym zajmie, sierżancie.

— Tak jest, panie komisarzu.

Z kolei Spence obejrzał uważnie zegarek. Szkiełko było stłuczone. Wskazówki zatrzymały się na dziewiątej dziesiątej. Komisarz spojrzął na podwładnego.

— Rzeczoznawca oglądał zegarek?

— Tak, panie komisarzu. Główna sprężyna pęknięta.

— A mechanizm wskazówek?

— Działa, panie komisarzu.

— Co, pańskim zdaniem, Graves, mówi nam ten zegarek?

— Wskazuje dokładny czas morderstwa — odparł sierżant z przekonaniem.

— Gdyby pan służył w policji równie długo jak ja, traktowałby pan z większą rezerwą oczywiste dowody w rodzaju uszkodzonego zegarka. Takie coś może świadczyć o prawdzie, lecz równie dobrze może być starym, wypróbowanym trickiem. Trzeba tylko nastawić wskazówki na poręczną godzinę, rozbić zegarek i sprokurować murowane alibi. Ale starego wróbla nie weźmie się na takie plewy. Zostaje szerokie pole do domysłów na temat czasu popełnienia zbrodni. Według orzeczenia lekarskiego śmierć nastąpiła między ósmą wieczorem a jedenastą w nocy.

Graves odchrząknął znacząco.

— Edwards, Ogrodnik z „Furrowbank” — powiedział — twierdzi, że o pół do ósmej widział, jak Dawid Hunter wychodził z domu bocznymi drzwiami. Pokojówki nie wiedzą, że on przyjechał tutaj. Są przekonane, że był w Londynie z panią Cload. Ale na to wygląda, że facet kręcił się w okolicy.

— Tak — bąknął komisarz. — Ciekawym, co on powie o swoich poczynaniach.

— Chyba to prosta sprawa? — mruknął Graves oglądając inicjały na zapalniczce.

— Hm... — chrząknął komisarz wskazując szminkę.

— Należy jeszcze wyjaśnić ten drobiazg.

— Cóż, panie komisarzu, szminka mogła zawieruszyć się pod szafą i długo leżeć.

— Sprawdziłem tę okoliczność — odparł Spence. — Od trzech tygodni kobieta nie zajmowała „piątki”. Służba jest dziś nie na poziomie, sądzę jednak, że raz na trzy tygodnie sprząta pod meblami. A w ogóle „Pod Jeleniem” jest czysto i porządknie.

— O ile wiadomo, Arden nie miał do czynienia z żadną kobietą — bąknął sierżant.

— Właśnie. Dlatego nazywam tę szminkę czynnikiem niewiadomym.

Sierżant Graves chciał powiedzieć *Cherchez la femme*, ale ugryzł się w język. Miał doskonały francuski akcent, wolał więc nie denerwować tym przełożonego. Był taktownym młodym człowiekiem.

ROZDZIAŁ SIEDEMNAŚTY

Komisarz Spence obejrzał z zewnątrz „Shephen’s Court” w Mayfair, zanim przestąpił próg gustownego portalu. Budynek, położony skromnie w sąsiedztwie Shepherd’s Market, był spokojny, luksusowy i nie rzucający się w oczy.

W hallu Spence poczuł pod nogami gruby dywan. Stała tam sofka kryta czerwonym aksamitem i żardyniera pełna kwitnących roślin. Naprzeciw drzwi wejściowych znajdowała się winda, a obok windy klatka schodowa. Drzwi w prawo opatrzone napisem: administracja. Spence popchnął je i znalazł się w pokoju przedzielonym ladą, za którą stał stół do pisania i dwa krzesła. Jedno z nich umieszczono przy stole, drugie, bardziej ozdobne — pod ostrym kątem do okna. W pokoju nie było nikogo.

Policjant odnalazł dzwonek umieszczony pod blatem lady. Nacisnął go raz, a gdy nie odniosło to skutku — drugi. Po chwili otworzyły się drzwi w głębi pokoju i ukazały postać w imponującym mundurze, godnym cudzoziemskiego generała lub nawet feldmarszałka. Jednakże dygnitarz odezwał się jak londyńczyk, i to nie wykształcony londyńczyk:

— Pan uważa?

— Chciałbym odwiedzić panią Cload.

— Trzecie piętro. Uprzedzić przez telefon?

— Pani Cload jest w domu? — podjął komisarz. — Nie mam pojęcia, gdzie bawi teraz: w Londynie czy na wsi?

— Jest u nas od soboty, proszę pana.

— A pan Dawid Hunter?

— Także samo.

— Nie wyjeżdżał nigdzie?

— Nie wyjeżdżał, proszę pana.

— Czy ostatnią noc spędził w apartamencie?

— Co to ma znaczyć? — obruszył się nagle feldmarszałek. — Chcesz pan wiedzieć wszystko o naszych lokatorach? Spence pokazał legitymację służbową, więc feldmarszałek przycichł i okazał chęć współdziałania.

— Stokrotnie przepraszam — bąknął. — Ale skąd mogłem wiedzieć, prawda?

— Nie szkodzi. Czy pan Hunter spędził ostatnią noc w domu?

— Tak, panie komisarzu. To znaczy... według mojej najlepszej wiary, spał u siebie. Nic nie mówił, że wyjeżdża.

— A wiedziałby pan o tym, gdyby wyjechał nic nie mówiąc?

— Prawdę powiedziawszy, nie. Nasi goście przeważnie mówią, jeżeli wyjeżdżają. Chodzi o pocztę i co odpowiadać, jak ktoś zadzwoni.

— Czy rozmowy telefoniczne idą przez centralkę?

— Nie. Przeważnie apartamenty mają swoje linie. Paru lokatorów woli obywać się bez własnych aparatów. Takich zawiadamiamy o wezwaniu przez telefon wewnętrzny, a oni schodzą na dół i rozmawiają z kabinki w hallu.

— Ale apartament pani Cload ma własną linię?

— Tak, panie komisarzu.

— I, o ile panu wiadomo, obydwójce spędzili ostatnią noc w domu?

— Tak, panie komisarzu.

— Jak było z posiłkami?

— Mamy restaurację, ale pani Cload i pan Hunter rzadko z niej korzystają. Najczęściej jadają na mieście.

— A śniadanie?

— Podajemy do apartamentów.

— Może pan sprawdzić, czy dzisiaj rano obydwójce jedli śniadanie?

— Mogę. W pokoju służbowym.

— Proszę sprawdzić i zawiadomić mnie, gdy wrócę. Teraz pojedę na górę.

— Słucham, panie komisarzu.

Spence wszedł do windy i nacisnął guzik oznaczony trójką. Na każdym piętrze znajdowały się dwa lokale. Policjant zadzwonił do apartamentu nr 9.

Drzwi otworzył Dawid Hunter. Nie znał komisarza z widzenia, toteż zapytał gburowato:

— O co chodzi?

— Czy pan Hunter?

— Tak.

— Komisarz Spence z policji hrabstwa Oast. Mógłbym zamienić z panem kilka słów?

— Przepraszam, panie komisarzu — uśmiechnął się Dawid. — Myślałem, że jest pan inspektorem podatkowym.

Niech pan wejdzie, proszę.

Poprowadził komisarza do pięknego nowocześnie umeblowanego pokoju. Pani Cload stała w oknie i odwróciła się na odgłos kroków.

— Pan komisarz Spence, Rosaleen — przedstawił Dawid. — Zechce pan usiąść, komisarzu. Napije się pan czegoś?

— Nie, dziękuję.

Rosaleen skinęła głową gościowi, usiadła tyłem do okna i splótła dłonie na kolanach.

— Zapali pan? — zapytał Hunter podając papierośnicę.

— Dziękuję. Chętnie.

Spence wziął papierosa. Czekał. Obserwował gospodarza. Dawid wsunął rękę do kieszeni marynarki i wyjął ją zaraz. Następnie rozejrzał się dokoła, a znalazłszy pudełko zapalek, podał ognia komisarzowi.

— Bardzo dziękuję, panie Hunter.

Dawid zapalił również papierosa i zagaił rozmowę beztroskim tonem.

— No i co pan nam powie? Co się stało w Warmlesley Yale? Może nasza kucharka wpadła na czarnym rynku? Karmi nas doskonale, a więc nieraz myślałem, że musi się kryć za tym coś podejrzanego.

— Chodzi o poważną sprawę — odparł komisarz. — Wczoraj wieczorem umarł człowiek w hotelu „Pod Jeleniem”.

Nie czytał pan w gazetach?

Dawid zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie zauważyłem. I co dalej?

— Ten człowiek nie tylko umarł. Został zamordowany. Ktoś roztrzaskał mu głowę.

Rosaleen wydała krótki, zdławiony okrzyk. Dawid odezwał się szybko.

— Zechce pan nie roztrząsać szczegółów, panie komisarzu. Moja siostra jest bardzo wrażliwa. To nie jej wina, ale gotowa zemdleć, jeżeli pan zacznie mówić o krwi czy innych okropnościach.

— Bardzo przepraszam — podjął Spencer — ale krwi było tam bardzo niewiele. W każdym razie ten człowiek został zamordowany.

Komisarz umilkł. Dawid podniósł brwi i powiedział spokojnie:

— Ciekawe. Ale do czego pan właściwie zmierza?

— Spodziewam się, panie Hunter, że pan powie mi coś o nieboszczyku.

— Ja?

— Nie inaczej. Widział się pan z nim w sobotę wieczorem. Jego nazwisko albo raczej nazwisko, jakie wpisał do hotelowego rejestru, brzmi Enoch Arden.

— Oczywiście. Teraz sobie przypominam — rzucił Dawid swobodnie, bez zakłopotania.

— No i co, panie Hunter?

— Niestety, trudno mi będzie panu pomóc. O człowieku tym prawie nic nie wiem.

— Czy naprawdę nazywał się Enoch Arden?

— Bardzo wątpię.

— Jaki pan miał do niego interes?

— Bardzo zwyczajny. Zwrócił się do mnie z prośbą o pomoc. Opowiadał o swoich niepowodzeniach, o przeżyciach wojennych. Wymieniał znane mi miejscowości, nazwiska... To była pospolita żebranina, nawiasem mówiąc raczej wątpliwej jakości.

— Dał mu pan coś?

— Pięć funtów... na szczęście — odrzekł Dawid po ledwie wyczuwalnej pauzie. — Na pewno był na wojnie.

— Ten człowiek wymieniał znane panu nazwiska, prawda?

— Tak.

— Czy jedno z nich nie brzmi kapitan Robert Underhay?

Tym razem Spence osiągnął wreszcie zamierzony efekt. Dawid zeszywniał. Rosaleen znów wydała zdławiony okrzyk.

— Skąd przyszło to panu do głowy, komisarzu? — zapytał wreszcie młody człowiek obserwując bacznie policjanta.

— Dzięki uzyskanym informacjom — padła zwięzła odpowiedź.

Nastała chwila ciszy. Komisarz czekał spokojnie. Zdawał sobie sprawę, że Hunter pochłania go wzrokiem. Bada, próbuje przeniknąć.

— Czy wie pan, komisarzu, kto to był Robert Underhay? — zapytał na koniec.

— Niech lepiej pan mi powie.
 — To był pierwszy mąż mojej siostry. Umarł w Afryce kilka lat temu.
 — Jest pan tego pewien, panie Hunter?
 — Najzupełniej. Nieprawda Rosaleen? — zwrócił się do młodej wdowy.
 — O, tak — podchwyciła szybko drżącym głosem. Robert umarł na febrę... na żółtą febrę. To było straszne!
 — Pogłoski, pani Cload, nie zawsze odpowiadają prawdzie.
 Rosaleen milczała, patrząc nie na komisarza, lecz na swojego brata. Wreszcie odezwała się cicho:
 — Robert nie żyje.
 — Według posiadanych przez nas wiadomości — podjął Spence — ów Enoch Arden podał się za przyjaciela zmarłego Roberta Underhaya i przy okazji poinformował pana, panie Hunter, że domniemany nieboszczyk żyje.
 Dawid pokręcił głową.
 — Nonsens, panie komisarzu. Wierutny nonsens.
 — Utrzymuje pan zatem, że nazwisko Roberta Underhaya nie padło w czasie rozmowy?
 — Ależ padło, panie komisarzu, padło — odrzekł beztrzęsio młody człowiek. — Ten biedak twierdził, że znał niegdyś mojego szwagra.
 — Nie było, panie Hunter, mowy o... szantażu?
 — O szantażu? Nie rozumiem, co pan ma na myśli?
 — Czyżby, panie Hunter? Aha... Ze względów formalnych... Gdzie pan był wczoraj wieczorem... powiedzmy... między siódmą a jedenastą?
 — Przypuśćmy, panie komisarzu, że ze względów formalnych odmówię odpowiedzi.
 — Czy nie sądzi pan, panie Hunter, że to stanowisko godne małego dziecka?
 — Nie sądzę. Nie lubię, panie komisarzu, nigdy nie lubiłem, żeby mnie ktoś terroryzował.
 Spence pomyślał, że tym razem usłyszał chyba prawdę.
 Nieraz miał do czynienia z ludźmi pokroju Dawida Huntera. Zazwyczaj są to świadkowie oporni dla zasady, nie dlatego, by chcieli coś taić. Upartą niechęć budzi w nich prosty fakt, że policja śmie pytać o ich poczynania. Za punkt honoru uważają stwarzanie organom sprawiedliwości jak najwięcej kłopotów.
 Komisarz Spence pochlebiał sobie, iż nietatwo ulega sugestiom. Ale do „Shepherd’s Court” przybył głęboko przeświadczony, że Dawid Hunter jest mordercą. Dopiero teraz poczynał tracić wiarę, bo naiwność obrony podejrzanego stawiała pod znakiem zapytania jego winę.
 Policjant spojrział na młodą wdowę i łatwo uzyskał to, na czym mu zależało.
 — Dawidzie, dlaczego nie chcesz panu odpowiedzieć?
 — Właśnie! — podchwycił Spence. — Chodzi mi tylko o ustalenie...
 — Przystań pan dręczyć moją siostrę, dobrze? — wybuchnął Hunter. — Co pana obchodzi, gdzie ja byłem wczoraj wieczorem: tutaj, w Warmsley Yale czy w Timbuktu?
 — Panie Hunter — podjął komisarz tonem perswazji. — Zostanie pan wezwany na rozprawę u koronera. Tam będzie pan musiał odpowiadać na pytania.
 — W takim razie zaczekamy do tej rozprawy. A teraz, panie komisarzu, zechce się pan wynieść do wszystkich diabłów?
 — Oczywiście — Spence wstał z niezmaconym spokojem. — Uprzednio muszę jednak zapytać o coś panią Cload.
 — Dajże pan spokój mojej siostrze!
 — Dobrze. Ale chciałbym prosić panią Cload, by spojrziała na zwłoki i powiedziała, czy może je zidentyfikować. Mam po temu prawo i wcześniej lub później tej formalności musi stać się zadość. Chyba najlepiej byłoby pojechać ze mną zaraz i zostawić za sobą niemiłą sprawę. Denat mówił, że znał kiedyś Roberta Underhaya. Świadek to słyszał. Ergo — ten człowiek mógł również znać panią Underhay i być jej znanym. Jeżeli Enoch Arden to nazwisko zmyślone, policja chce poznać prawdziwe.
 Dość nieoczekiwanie Rosaleen wstała.
 — Oczywiście. Pojadę z panem — oznajmiła. Spence oczekiwał gwałtownych protestów Dawida, lecz ku jego zdziwieniu młody człowiek uśmiechnął się tylko.
 — Masz rację, Rosaleen — powiedział. — Przyznaję, że sam jestem ciekaw. Być może, że właśnie ty potrafisz dać temu człowiekowi prawdziwe nazwisko.
 — Pani nie widziała go w Warmsley Yale? — zapytał policjant.
 — Nie. Od soboty jestem w Londynie.
 — A on przyjechał do Warmsley Yale w piątek wieczorem. Słusznie.
 — Życzy pan sobie, żebym pojechała... zaraz? — podjęła młoda wdowa.
 Zadała to pytanie tonem grzecznej małej dziewczynki. Na komisarzu wywarła, wbrew jego woli, bardzo dodatnie wrażenie. Była uczynna, przychylna. Tego bynajmniej nie oczekiwał.
 — Jeżeli pani łaskawa, pani Cload — powiedział. — Im prędzej ustalimy prawdę, tym lepiej. Mam na dole wóz policyjny.
 Dawid sięgnął po słuchawkę telefonu.
 — Wolę wynająć samochód. Myślę, że to nie koliduje z prawem i że zgodzi się pan, komisarzu?

— Oczywiście, panie Hunter — wstał z fotela. — Zaczekam na państwa w hallu.
Zjechał windą i ponownie pchnął drzwi kantoru, gdzie oczekiwał go feldmarszałek.

— No i co? — zapytał Spence.

— Obydwu łóżek używano tej nocy. Tak samo ręczników w łazience. Śniadanie podano dzisiaj o pół do dziesiątej.

— Nie wie pan, o której pan Hunter wrócił wczoraj wieczorem?

— Niestety, panie komisarzu, nic więcej nie potrafię powiedzieć.

„Więc to tak wygląda — medytował Spence. — Ciekawe, czy za milczeniem Huntera kryje się coś więcej niż dziecinny upór? Przecież on musi zdawać sobie sprawę, że wisi nad nim podejrzenie o morderstwo. Musi rozumieć, że im wcześniej złoży zeznanie, tym dla niego lepiej. Opór wobec policji jest zawsze kiepskim interesem. Ale ten facet to taki typ, któremu wszelki opór sprawia przyjemność”.

W drodze nie rozmawiali prawie wcale. Kiedy zatrzymali się przed kostnicą, Rosaleen Cload była bardzo błada. Ręce jej drżały. Dawid troskliwie opiekował się siostrą i przemawiał do niej tak, jak gdyby była małym dzieckiem.

— To nie potrwa dłużej niż dwie minuty. Uspokój się koteczku. To nic strasznego, naprawdę nic strasznego. Nie ma się czego bać, maleńka. Wejdiesz tam z komisarzem, a ja zaczekam. Musisz być odważna. On będzie leżał cichutko, spokojnie, jak gdyby spał.

Rosaleen skinęła głową i podała bratu rękę, on zaś uścisnął delikatnie jej palce.

— Bądź odważną dziewczynką, kochanie.

Idąc za inspektorem, młoda wdowa powiedziała stłumionym głosem:

— Musi mnie pan uważać za okropnego tchórze... Ale... Przypomina mi się ta okropna noc w Londynie... Wszyscy w domu byli zabici, tylko ja nie.

— Rozumiem panią, pani Cload — odpowiedział łagodnie. — Wiem, że przeżyła pani straszne chwile w czasie nalotu, kiedy pani małżonek zginął. Naprawdę to nie potrwa dłużej niż dwie minuty.

Na znak dany przez komisarza, ktoś uniósł prześcieradło. Rosaleen Cload spojrzała na człowieka, który przybrał nazwisko Enoch Arden. Spence dyskretnie odstąpił na bok, lecz z uwagą obserwował młodą wdowę.

Spojrzała na zwłoki ciekawie, ale nie wzdrygnęła się, nie zdradziła niczym wzruszenia. Po prostu patrzyła długo i spokojnie, po czym przeżegnała się, ot tak, jak gdyby spełniała codzienną formalność.

— Boże, ulituj się nad tą grzeszną duszą — powiedziała. — Jak żyję nie widziałam tego człowieka. Nie wiem, kim on był.

„Albo jesteś najlepszą aktorką w świecie — pomyślał Spence — albo też mówisz prawdę”.

Nieco później komisarz zatelefonował do Rowleya Cloada.

— Byłem z wdową w kostnicy — powiedział. — Twierdzi stanowczo, że to nie Robert Underhay i że nie widziała go nigdy w życiu. A więc to przynajmniej wiemy.

— Czy aby na pewno? — odrzekł młody farmer po krótkiej pauzie.

— Myślę, że sąd da jej wiarę... Chyba że będą przeciwnie zdania.

— Rozumiem... — bąknął Rowley i odłożył słuchawkę.

Zmarszczył czoło i sięgnął po londyński spis abonentów telefonicznych. Długo wodził palcem wskazującym po stronach zawierających nazwiska na P. Wreszcie znalazł to, czego szukał.

CZEŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Herkules Poirot starannie złożył najświeższą gazetę, po którą przed chwilą wysłał George'a. Informacje były skąpe. Orzeczenie lekarskie stwierdziło uszkodzenie czaszki w wyniku potężnych ciosów. Rozprawę u koronera odroczone na dwa tygodnie. Komendant policji hrabstwa Oast prosi o skomunikowanie się z nim wszystkich, którzy mogliby udzielić wiadomości o Enochu Ardenie, przybyłym niedawno prawdopodobnie z Cape Town.

Poirot umieścił gazetę na schludnie wyrównanym stosie innych gazet i pogrzyżył się w zadumie. Był mocno zadowolony. Zapewne nie zwróciłby uwagi na pierwszą wzmiankę o morderstwie w Warmsley Yale, gdyby nie tak niedawna wizyta pani Lionelowej Cload. Odwiedziny te przypomniały mu incydent, który miał miejsce w Klubie Koronacyjnym podczas niemieckiego nalotu. Wydawało mu się, że słyszy głos majora Portera: „Może jakiś Enoch Arden zjawi się o tysiąc mil lub dalej i zacznie życie od nowa”. Bardzo chciałby teraz dowiedzieć się czegoś więcej o człowieku, który przybrał nazwisko Enoch Arden i zginął gwałtowną śmiercią w Warmsley Yale. Przypomniał sobie, że stykał się przelotnie z komisarzem Spencem z policji hrabstwa Oast, a młodszy pan Mellon mieszka niezbyt daleko od Warmsley Yale i zna Jeremiasza Cloada.

Słynny detektyw właśnie chciał zatelefonować do Mellona, kiedy jego służący zameldował pana Rowleya Cloada.

— A... — ucieszył się Poirot. — Proś, George, proś zaraz.

Do gabinetu wszedł przystojny młody człowiek. Minę miał zakłopotaną i najwidoczniej nie wiedział, jak przystąpić do rzeczy.

Mały Belg pośpieszył mu z pomocą.

— Słucham, panie Cload — powiedział. — Czym mogę panu służyć?

Gość spojrział nań spod oka. Długie wąsy, elegancja manekina krawieckiego, białe getry, lakierki ze spiczastymi noskami — wszystko to kolidowało z jego wyspiarskimi uprzedzeniami. Poirot zdawał sobie sprawę z sytuacji i bawił się nią nie najgorzej.

— Chyba najprzód — zaczął Rowley niepewnie — będę musiał panu wyjaśnić, kim jestem, no... no i wszystko. Nie zna pan mojego nazwiska...

— Ależ znam, znam — przerwał słynny detektyw.

— W zeszłym tygodniu pańska ciotka zaszczyciła mnie odwiedzinami.

— Moja ciotka?

Rowley zbaraniał. Szeroko otworzył oczy. Był tak szczerze zdumiony, że Poirot odrzucił bez wahania myśl o jakimkolwiek związku tych dwu wizyt. Dziwnym zbiegiem okoliczności wydał mu się fakt, że dwoje przedstawicieli rodziny Cloadów przychodzi doń po radę w tak krótkim czasie. Po chwili jednak uprzytomnił sobie, że nie ma do czynienia ze zbiegiem okoliczności. Był to raczej logiczny rozwój wydarzeń wpływających z jednego źródła.

— Sądzę, że pani Lionelowa Cload jest pańską ciotką? — wyjaśnił Poirot.

Rowley zrobił jeszcze bardziej zdziwioną minę.

— Ciotka Kate? — bąknął z niedowierzaniem. — Czy... czy jest pan pewien, że to nie była Jeremiaszowa Cload?

Poirot pokręcił głową.

— Ale co, u Boga Ojca, ruszyło ciotkę Kate...

— Duchy poleciły jej zwrócić się do mnie.

— Aha! — młody farmer odetchnął z ulgą i uśmiechnął się nawet. — Ona, widzi pan, jest całkiem nieszkodliwa.

— Naprawdę?

— Wątpi pan?

— Czy człowiek może być całkiem nieszkodliwy?

Poirot westchnął.

— Przyszedł pan do mnie, żeby o coś zapytać, prawda? — podsunął uprzejmie mały Belg.

Gość stropił się znowu.

— Obawiam się, że historia będzie długa...

Poirot obawiał się tego również. Był przekonany, że jego klient nie należy do osób zmierzających szybko do sedna sprawy. Wygodnie usadowił się w fotelu i przymknął oczy.

— Moim stryjem, proszę pana — zaczął młody farmer — był Gordon Cload...

— Wiem wszystko o tym pańskim stryju — przerwał Poirot z nutą nadziei w głosie.

— To dobrze. Mogę się zatem streszczać. Otóż na parę tygodni przed śmiercią stryj Gordon ożenił się z młodą wdową... panią Undehay. Po jego śmierci ta pani zamieszkała w Warmasley Yale: ona i jej brat. Wszyscy byliśmy przekonani, że jej pierwszy mąż umarł na febrę w Afryce. Ale teraz wydaje mi się to mniej pewne.

— Aha — Poirot wyprostował się w fotelu. — Co nasunęło państwu wątpliwości?

Rowley opisał przybycie Enocha Ardena do Warmasley Yale.

— Być może czytał pan w gazetach...

— Tak, czytałem.

Rowley jął opowiadać dalej. Mówił o wrażeniu, jakie wywarł na nim Arden, o swojej wizycie „Pod Jeleniem”, liście panny Lippincott i podsłuchanej przez nią rozmowie.

— Oczywiście — konkludował — nie można wierzyć bez zastrzeżeń wszystkiemu, co ta kobieta mówi. Może przesadza trochę, a może nawet się przesłyszała.

— Czy zawiadomiła policję o tej rozmowie?

Młody farmer skinął głową.

— Tak. Poradziłem jej, by tak właśnie postąpiła.

— Przepraszam, panie Cload, ale nie bardzo rozumiem, dlaczego zwrócił się pan do mnie? Czy życzy pan sobie, abym rozwikłał zagadkę tego morderstwa? Bo mamy chyba do czynienia z morderstwem...

— Broń Boże! — zawołał Rowley. — Nie chodzi mi o morderstwo. To zadanie policji. Naturalnie, że ktoś zatłukł faceta. Mnie interesuje inna kwestia. Czy nie mógłby pan ustalić, kim był ten Arden?

Poirot spojrział na klienta spod oka.

— A jak się panu zdaje? Kim on mógł być?

— Czy ja wiem? W każdym razie Enoch Arden to nie nazwisko, lecz cytat. Cytat z Tennysona. To już rozwiązałem. Człowiek wraca po latach i dowiaduje się, że jego żona ma drugiego męża.

— Sądzi pan zatem, że Enoch Arden to przybrane nazwisko Roberta Underhaya?

— Niewykluczone — podjął z namysłem młody farmer. — Niewykluczone... Wiek mniej więcej by się zgadzał i cała sylwetka. Szczegółowo sondowałem pannę Lippincott na temat podsłuchanej rozmowy. Oczywiście ona nie może pamiętać każdego słowa. Ten gość mówił, że Robertowi Underhay źle się wiedzie, że jest chory i potrzebuje pieniędzy. Mógł przecież gadać o samym sobie, prawda? Mówił również, że Dawid Hunter nie byłby kontent, gdyby Underhay zjawił się osobiście w Warmasley Yale. Mógł mieć na myśli samego siebie... To jego przybrane nazwisko...

— Jak przedstawia się identyfikacja w śledztwie policyjnym?

— Nieszczerólnie. Personel hotelowy stwierdził, że ten człowiek wynajął pokój „Pod Jeleniem” i podał nazwisko Enoch Arden.

— A papiery?

— Nie miał papierów.

— Co? — zdziwił się detektyw. — Żadnych?

— Właśnie! Znalaziono kilka par skarpet, koszulę, szczotkę do zębów i inne drobiazgi. Ale papierów nie było.

— A paszport, jakieś listy, książeczką żywnościową?

— Nie miał nic.

— Interesujące — mruknął Poirot. — Bardzo, bardzo interesujące.

— Dawid Hunter, brat Rosaleen Cload — podjął Rowley — był u Ardena wieczorem, następnego dnia po jego przyjeździe do Warmesley Yale. Policji opowiedział, że dostał od niego list. Facet pisał rzekomo, że znał w swoim czasie Roberta Underhaya, a teraz znajduje się w rozpaczliwym położeniu. Na prośbę siostry Hunter poszedł „Pod Jelenia”, rozmówił się z nim i dał pięć funtów. Tak wygląda wersja, przy której Hunter na pewno będzie obstawał. Naturalnie policja trzyma w sekrecie to, co wie od Beātrice Lippincott.

— Dawid Hunter twierdzi, że nie miał dawniej do czynienia z tym człowiekiem?

— Tak. Ale on nie widział nigdy Roberta Underhaya.

— A co z Rosaleen Cload?

— Na żądanie policji obejrzała zwłoki. Oświadczyła stanowczo, że nieboszczyk jest dla niej zupełnie obcy.

— Eh bien — rzekł Poirot. — To rozstrzyga kwestię i pańskie wątpliwości, panie Cload.

— Nie zdaje mi się. Jeżeli ten człowiek to Underhay, Rosaleen nie była nigdy żoną mojego stryja i nie ma prawa do spadku po nim. Czy łudzi się pan, że w takiej sytuacji poznałaby ciało pierwszego męża?

— Nie ufa jej pan?

— Nie ufam obydwójgu.

— Z pewnością jednak jest wiele osób, które mogłyby stwierdzić, czy to jest Underhay, czy nie?

— Sprawa nie przedstawia się łatwo i dlatego właśnie zwróciłem się do pana. Niech pan odszuka kogoś, kto znał Underhaya. O ile mi wiadomo, nie miał żadnej rodziny w Anglii i w ogóle był człowiekiem mało towarzyskim. Myślę, że można by znaleźć jakichś starych służących, znajomych, czy ja wiem kogo?... Ale, widzi pan, wojna narobiła zamętu, rozproszyła ludzi. Ja nie potrafiłbym przeprowadzić poszukiwań. Zresztą, nie mam na to czasu. Rozumie pan, jestem farmerem i brak mi rąk do pracy...

— Dlaczego zwrócił się pan do mnie? Rowley zrobił niepewną minę.

— Może to przewodnictwo duchów? — uśmiechnął się słynny detektyw.

— Skąd znowu! — zaprzeczył żywo młody człowiek. — Otwarcie mówiąc, wiele słyszałem o panu od kogoś z moich znajomych. Mówił, że pan jest mistrzem w takich kwestiach. Nie mam pojęcia, jak przedstawiają się pańskie honoraria. Zapewne są słone. Mojej rodzinie źle się teraz wiedzie, ale myślę, że połączonymi siłami zdołamy zebrać tyle, ile trzeba. Jeżeli, oczywiście, zechce pan się podjąć sprawy.

— Tak — odrzekł z wolna mały Belg. — Sądzę, że potrafię pomóc.

Jego pamięć — szczególnie trwała i ścisła pamięć — powędrowała wstecz. Klubowy nudziarz, szeleszczące gazety, jednostajny głos...

„Nazwisko? — myślał. — Przecież słyszałem nazwisko... Chyba sobie przypomnę... W najgorszym razie zapytam pana Mellona... Aha! Porter. Major Porter”.

Lekko wstał z fotela.

— Mógłby pan, panie Cload, odwiedzić mnie dziś po południu?

— Czy ja wiem?... ee... Oczywiście, mógłbym. Ale chyba nie dowie się pan niczego tak prędko? — spojrzął na małego Belga z niedowierzaniem, prawie z lękiem.

Poirot nie byłby człowiekiem, gdyby zaniechał popisania się własną chwałą.

— Mam swoje metody, panie Cload — powiedział z godnością, wzorem wielkiego poprzednika, Sherlocka Holmesa.

Nie mógł wybrać stosowniejszego zdania. Twarz młodego farmera przybrała wyraz bezbrzeżnego szacunku.

— Tak... ee... naturalnie... Nie wiem, jak pan załatwia... takie sprawy.

Poirot powstrzymał się od wyjaśnień. Pożegnał gościa i zasiadł przy biurku, aby skreślić kilka słów. Następnie polecił George'owi odnieść list do Klubu Koronacyjnego i poczekać na odpowiedź.

Odpowiedź ta była wysoce zadowolająca. Major Porter przesyłał panu Poirotowi wyrazy szacunku i prosił go wraz z jego znajomym do swojego mieszkania — Edgewey Street 79, na Campden Hill — tegoż dnia o piątej po południu.

Rowley zgłosił się o pół do piątej.

— Dobre wieści, panie Poirot? — zapytał.

— Jak najlepsze, panie Cload. Zaraz wybierzemy się z wizytą do starego przyjaciela kapitana Roberta Underhaya.

— Co takiego? — młody farmer otworzył usta i spojrzął na słynnego detektywa zdumionym wzrokiem; mały chłopczyk mógłby tak patrzeć na iluzjonistę dobywającego króliki z cylindra. — Nie do wiary! Jak pan go znalazł? Minęło ledwie kilka godzin!

Poirot niedbale machnął ręką i usiłował zrobić skromną minę. Nie miał zamiaru wyjaśniać techniki swojego odkrycia. Wrażenie, jakie wywarł na naiwnym kliencie, pochlebiało jego próżności.

Dwaj panowie wyszli na ulicę i zatrzymawszy taksówkę kazali zawieźć się na Campden Hill.

Major Porter zajmował pierwsze piętro w małym i raczej obskurnym domu. Pogodna, żwawa starsza kobieta otworzyła drzwi i zaprowadziła gości na górę. Pokój był kwadratowy, obstawiony bibliotecznymi regałami i obwieszony lichymi reprodukcjami o tematyce sportowej. Na podłodze leżały dwa dywany — cenne i utrzymane w pięknych, ciemnych barwach, ale bardzo zniszczone. Poirot spostrzegł, że na środku pokoju podłoga jest pokryta świeżą olejną farbą, ale bliżej ścian wydeptana. Widocznie do niedawna w pokoju było więcej dywanów, zapewne lepszych, przedstawiających znaczną wartość.

Poirot spojrzął na gospodarza — niskiego, szczupłego mężczyznę o doskonale skrojonym, wytartym garniturze, stojącego sztywno na tle kominka. Domyślił się, że powojenne życie nie szczędzi emerytowanego majora. Podatki i rosnące ustawicznie koszty utrzymania ciężko dają się we znaki starym wojakom. Ale z pewnych wydatków major Porter nie zrzecynuje do końca — na przykład ze składek klubowych.

— Nie przypominam sobie, panie Poirot, żebym miał przyjemność... — zaczął gospodarz. — W klubie, powiada pan? Dwa lata temu? Być może. W każdym razie znam pańskie nazwisko.

— To jest pan Rowley Cload — Przedstawił towarzysza słynny detektyw.

Stary oficer energicznie skinął głową.

— Bardzo mi przyjemnie. Niestety, nie mogę zaproponować panom kieliszka sherry. Mój dostawca win stracił swoją piwnicę w czasie nalotów. Napiją się panowie dżinu... Zawsze byłem zdania, że to paskudztwo... Może szklaneczkę piwa?

Goście przystali na piwo, a major dobył z kieszeni papierośnicę.

— Pozwoli pan?

Poirot wziął papierosa i gospodarz podał mu uprzejmie ogień, a następnie zwrócił się do Rowleya:

— Wiem, że pan nie pali. Nie przeszkodzi panom moja fajka?

Pytanie było retoryczne i fajka została zapalona z obowiązującym w takich razach ceremoniałem.

Po załatwieniu wstępnych formalności gospodarz przystąpił do rzeczy.

— Słucham. Czym mogę panom służyć? — zmierzył obydwo gości pytającym wzrokiem.

— Zapewne czytał pan w prasie — rozpoczął Poirot — o zagadkowej śmierci pewnego człowieka w Warmsley Yale?

— Możliwe. Nie przypominam sobie.

— Ten człowiek nazywał się Arden. Enoch Arden.

Porter rozłożył ręce.

— Zwłoki z roztrzaskaną głową znaleziono w hotelu „Pod Jeleniem”.

Stary oficer zmarszczył czoło.

— Zaraz... zaraz... — powiedział. — coś sobie przypominam... To stało się kilka dni temu.

— Tak. Mam tutaj fotografię wyciętą z prasy, więc nie bardzo wyraźną. Pragniemy zapytać pana, majorze, czy znał pan tego człowieka, czy widział go pan kiedy?

Z tymi słowami Poirot podał gospodarzowi fotografię zamordowanego — najlepszą, jaką mógł zdobyć.

Porter sięgnął po nią i zrobił skupioną minę.

— Sekundkę... — znalazł okulary, osadził je na nosie i przez czas pewien studiował podobiznę nieboszczyka. Nagle zerwał się na równe nogi.

— Słowo daję! Na Boga! — zawołał. — Bodaj to lichu!

— Zna pan tego człowieka, majorze?

— Oczywiście. To Underhay. Robert Underhay.

— Jest pan pewien? — głos Rowleya zabrzmiał triumfalną nutą.

— Absolutnie. To Robert Underhay. Gotów jestem przysiąc.

ROZDZIAŁ DRUGI

Telefon zadzwonił. Lynn podniosła słuchawkę.

— Lynn? — usłyszała.

— Rowley? — głos miała smutny, martwy.

— Co porabiasz? Wcale cię ostatnio nie widuję.

— Ach, ciągle zwracanie głowy. Trzeba biegać z koszykiem, czekać, aż przywiozą ryby, stać w kolejce po kawałek obrzydliwego placka. Gospodarstwo i szczęście domowe. Rozumiesz?

— Chcę cię zobaczyć. Mam ci coś do powiedzenia.

— Co mianowicie?

— Dobrą nowinę — roześmiał się krótko. — Przyjdź na pole pod Laskiem Rollanda. Tam dziś orzemy.

Dobra nowina! Lynn odłożyła słuchawkę. Jaką dobrą nowinę może mieć Rowley Cload? Chyba natury finansowej? Nie! To musi być coś ważniejszego. Kiedy weszła na pole, narzeczony zeskoczył z traktora i pospieszył na spotkanie.

- Jak się masz, Lynn?
- Rowley! Wyglądasz jakoś inaczej! Co się stało?
- Myślę, że wyglądam inaczej! — roześmiał się głośno. — Fortuna się odmieniła, Lynn!
- Jak to?
- Pamiętasz, że stryj Jeremiasz mówił raz o takim gościu... Herkulesie Poirocie?
- O Herkulesie Pirocie? Tak... Coś sobie przypominam.
- To było dawno. Jeszcze przed końcem wojny. Siedzieli razem podczas nalotu w jakiejś klubowej trupiarni.
- I co z tego? — zapytała niecierpliwie Lynn.
- Facet dziwacznie się ubiera, cały wygląda dziwacznie! Bodaj go licho! Jakiś Francuz czy Belg. Ale to nic nie szkodzi: ma głowę na karku.
- Chyba to... detektyw? — dziewczyna zmarszczyła brwi.
- Właśnie! Chodzi o tego człowieka zamordowanego „Pod Jeleniem”. Nic nie mówiłem, ale wciąż chodziło mi po głowie, że to może pierwszy mąż Rosaleen Cload.
- Też pomysł! — roześmiała się Lynn. — Czy dlatego, że nazywał się Enoch Arden? Absurd!
- Nie taki znowu absurd. Komisarz Spence pokazał zwłoki Rosaleen, a ona powiedziała stanowczo, że to nie jej mąż.
- Więc masz! Sprawa załatwiona.
- Byłaby załatwiona, gdyby nie ja.
- Ty?
- Pojechałem do tego faceta... Herkulesa Pirota. Wy tłumaczyłem mu, o co chodzi, i zapytałem, czy nie mógłby wyszukać kogoś, kto w swoim czasie znał Roberta Underhaya. Na Boga, to czarownik! Jak królika z cylindra wyciągnął w kilka godzin najlepszego przyjaciela Underhaya. Starszy gość, jakiś major Porter — urwał i roześmiał się tak wesoło, że Lynn się dziwiła. — Trzymaj język za zębami, mała. Widzisz, Spence kazał mi przysiąc, że dochowam sekretu. Ale, rozumiesz, tobie muszę powiedzieć. Ten zakatrupiony „Pod Jeleniem” to... Robert Underhay!
- Co? — dziewczyna cofnęła się o krok i spojrzała na młodego farmera.
- Robert Underhay we własnej osobie. Porter nie ma cienia wątpliwości. A widzisz, Lynn — ciągnął Rowley z coraz większym przejęciem. — Teraz my jesteśmy górą! Wygraliśmy mimo wszystko. Pobiliśmy łajdaków!
- Jakich łajdaków?
- Huntera i jego siostrzyczkę. Koniec z nimi, kłapa! Rosaleen nie dostanie pieniędzy. My je dostaniemy. Ważny jest testament Goniona sprzed ślubu. Cały spadek będzie podzielony między nas. Mnie przypadnie czwarta część! Rozumiesz, Lynn? Skoro jej pierwszy mąż żył w momencie ślubu z Gordonem, Rosaleen wcale nie była żoną Gordona. Wcale!
- Czy... Czy jesteś pewien tego, co mówisz? Rowley spojrzał na Lynn i pierwszy raz stropił się trochę.
- Naturalnie, że jestem pewien. To zrozumiałe samo przez się. Wszystko skończy się dobrze. Będzie tak, jak Gordon naprawdę sobie życzył: jak gdyby ta przyjemna parka wcale się nie wkręciła do rodziny.
- „Wszystko skończy się dobrze... — pomyślała Lynn. — Ale nie można przecież zatrzeć bez śladu czegoś, co się wydarzyło. Niepodobna udawać, że tak nie było”.
- Co będzie z nimi? — zapytała po chwili.
- Z nimi? — zdała sobie sprawę, że Rowley nie brał dotąd pod uwagę tej kwestii — Nie wiem... Chyba wrócą tam, skąd przyszedli. Pewno słyszałaś, że... — Lynn niemal widziała uciążliwą pracę jego myśli. — Cóż, trzeba będzie coś zrobić dla niej. Ostatecznie wyszła za Gordona w dobrej wierze. Nie wątpię, że naprawdę była przekonana o śmierci pierwszego męża. Nie jej wina! Oczywiście... Dla niej musimy coś zrobić. Wyznaczy się jej przyzwoitą pensję. Trzeba to będzie obgadać z całą rodziną.
- Podoba ci się Rosaleen, prawda?
- Czy ja wiem? — zastanowił się chwilę. — Do pewnego stopnia podoba mi się. Przyjemne dziecko. Jak zobaczy krowę, wie, że to krowa.
- A ja nie wiem!
- Nie szkodzi. Nauczysz się — odrzekł pobłaźliwie.
- A co się stanie z... Dawidem? — podjęła Lynn.
- Rowley zrobił posepną, złą minę.
- Niech go piekło pochłonie! — wybuchnął. — Przecież on nie dostał spadku, prawda? Wziął się skądś i zaczął żyć na koszt siostry.
- Nie, mój drogi! To nie typ człowieka, który chciałby żyć na cudzy koszt. Jest awanturnikiem... zapewne... i...
- I mordercą! — dokończył Rowley.
- Mordercą? — tchu jej zabrakło. — Jak to?
- A kto zatłukł Underhaya? Jak ci się zdaje?
- Nie wierzę! — zawołała. — Nie wierzę!
- Naturalnie, że on. Któż inny mógłby to zrobić? Był tu we wtorek. Przyjechał o piątej dwadzieścia po południu. Odbierałem wtedy przesyłkę na stacji i widziałem go z daleka.
- Ale wieczorem wrócił do Londynu — rzuciła szorstko Lynn.

— Zgadza się. Tylko że przedtem zabił szwagierka — podchwycił Rowley triumfującym tonem.
 — Mój drogi! Nie powinieneś mówić takich rzeczy. O której Underhay został zamordowany?
 — O której... Nie wiem dokładnie — urwał, zastanawiał się przez chwilę. — Nie dowiemy się tego przed jutrzejszą rozprawą u koronera. Myślę, że między dziewiątą a dziesiątą wieczór.
 — Dawid wyjechał do Londynu o dziewiątej dwadzieścia.
 — Skąd ty wiesz o tym, Lynn?
 — Bo... ja... Spotkałam go, kiedy biegł na stację.
 — Mógł nie zdążyć na pociąg.
 — Zdążył. Późnym wieczorem telefonował do mnie z Londynu.
 — Do ciebie? Po kiego diabła? Posłuchaj, Lynn, jeżeli...
 — Mniejsza o to. W każdym razie Dawid zdążył na pociąg.
 — Miał czas uśmiercić Underhaya i jeszcze zdążyć na pociąg.
 — Nie. Jeżeli ten człowiek zginął po dziewiątej...
 — Mógł zginąć krótko przed dziewiątą — przerwał jej Rowley, lecz głos jego zadźwięczał nutą powątpiewania.

Lynn przymknęła oczy. Jak wygląda prawda? Dawid wybiegł wtedy z zarośli spocony, zdyszany. Czy to zbrodniarz chwycił ją w ramiona w kilka minut po morderstwie? Był podniecony, ożywiony nienaturalnie. Może właśnie morderstwo podziało tak na niego? Lynn musiała przyznać, że to niewykluczone. Dawid nie odbiega daleko od typu mordercy. Mógłby chyba zabić człowieka, który nie zrobił mu nic złego — upiora przeszłości — człowieka bez winy, lecz stojącego między Rosaleen a wielkim dziedzictwem, między Dawidem a używaniem życia za pieniądze siostry.

— Dlaczego Dawid miałby zabić Underhaya? — Bąknęła niepewnie.

— Także pytanie! Nie rozumiałaś, co ci powiedziałem. Życie tego człowieka odbiera Rosaleen majątek i nam go zwraca. Zresztą ten człowiek szantażował Huntera.

„To inna sprawa! — pomyślała Lynn. — Szantażystę mógł zabić. Co więcej, człowiek jego typu prawdopodobnie rozprawiłby się z kanałią w taki sposób. Wszystko zgadza się teraz: pośpiech Dawida, jego podniecenie, gwałtowne, niemal gniewne pocałunki... I to, co mówił później przez telefon: »Myślę, że powinienem prysnąć«. Tak. To by się zgadzało”.

Głos Rowleya dobiegł ją jak gdyby z daleka.

— Co się stało, Lynn? Żle się czujesz?

— Nie, skąd znowu!

— No to, na miłość boską, nie rób ponurych min — odwrócił się i spojrzął w kierunku swojej farmy. — Chwała Bogu, będziemy teraz mogli urządzić „Long Willows” jak się patrzy! Zainstalujemy wszystko, co tylko istnieje, żeby oszczędzić pracy przy gospodarstwie domowym. Będzie ci wygodnie, Lynn. Nie chcę, żebyś się przemęczała.

„»Long Willows« — pomyślała. — To ma być mój dom... mój i Rowleya... A pewnego ranka o godzinie ósmej rano Dawid zawiśnie na szubienicy”.

ROZDZIAŁ TRZECI

Dawid położył dłonie na ramiona Rosaleen. Oczy miał czujne, twarz bladą i stanowczą.

— Wszystko pójdzie dobrze. Mówię ci, wszystko pójdzie dobrze. Tylko, na miłość boską, nie trać głowy! Postępuj dokładnie tak, jak cię nauczyłem.

— A jeżeli zabiorą cię, Dawidzie! Przecież mówiłeś, że możesz być aresztowany.

— Tak. To możliwe. Ale nie na długo, jeżeli ty nie stracisz głowy.

— Zrobię wszystko, co mi kazałeś, Dawidzie.

— Wiem, że dobra z ciebie dziewczyna. Musisz tylko trzymać się swoich zeznań. Powtarzać, że człowiek zamordowany „Pod Jeleniem” to nie twój pierwszy mąż, Robert Underhay.

— A jak mnie wciągną w pułapkę i zmuszą do powiedzenia czegoś, czego nie chciałabym powiedzieć?

— Nie martw się. Tak źle nie będzie. Ja ci to mówię.

— Już jest źle! Od początku! Dostaliśmy pieniądze, które się nam nie należą. Nie śpię po nocach i ciągle o tym myślę. Zagarnęliśmy cudzą własność, a teraz Bóg karze nas za grzechy.

Dawid zmierzył młodą wdowę zatroskanym wzrokiem. Załamuje się. Najwyraźniej się załamuje. Ma skrupuły natury religijnej. Od początku dręczyło ją sumienie i nadal dręczy. Gotowa załamać się kompletnie. Jest tylko jedno wyjście.

— Słuchaj Rosaleen — powiedział łagodnie. — Czy chcesz, żeby mnie powiesili?

Groza rozszerzyła jej oczy.

— Jak to... Dawidzie... to... to niemożliwe!

— Mało prawdopodobne. Ale jedna osoba może zaprowadzić mnie pod szubienicę: ty, Rosaleen. Jeżeli jeden twój gest lub spojrzenie podsunie komuś myśl, że ten nieboszczyk mógł być twoim pierwszym mężem, założysz mi powrót na szyję. Rozumiesz?

Pocisk trafił celu. Rosaleen spojrzała na Dawida szeroko otwartymi, pełnymi przerażenia oczyma.

— Jestem strasznie głupia, Dawidzie.

— Nie. Nie jesteś głupia. Zresztą w tym przypadku nie trzeba wiele rozumu. Musisz tylko zeznać z przekonaniem, że nieboszyk nie był twoim mężem. To chyba potrafisz?

Twierdząco skinęła głową,

— Możesz mieć głupią minę, jeżeli sobie życzysz. Możesz udawać, że nie rozumiesz pytań. To nie szkodzi. Ale trzymaj się mocno i mów to, co ci kazalem. Gaythome będzie na ciebie uważał. To bardzo zdolny adwokat, wybitny specjalista od spraw kryminalnych. Dlatego go zaangażowałem. Stawi się na śledztwo sądowe i nie pozwoli nikomu... zbić cię z tropu. Ale nawet wobec niego obstawaj twardo przy swojej wersji. Na miłość boską, nie próbuj być sprytna. Niech ci się nie wydaje, że możesz mi pomóc w jakiś swój własny sposób.

— Będę posłuszna, Dawidzie. Zachowam się dokładnie tak, jak każesz.

— Dobra z ciebie dziewczyna, Rosaleen. Jak już będzie po wszystkim, wyjedziemy na południe Francji albo do Ameryki. Tymczasem dbaj o zdrowie. Nie leż bezsennie po nocach. Nie trap się, nie zamartwiaj. Zażywaj te proszki, które zapisał ci doktor Cload... brom czy coś takiego. Co wieczór połykaj jeden, bądź dobrej myśli i pamiętaj: przyjdą dobre czasy! — zerknął na zegarek. — No, pora na nas. Śledztwo sądowe ma się zacząć o jedenastej.

Rozejrzał się po długim, wspaniałym salonie... Piękno, komfort, bogactwo! Lubił to wszystko. Lubił przepych „Furrowbank”. Czy to pożegnanie na zawsze?

„Wpadłem w nie lada kabałę — myślał. — To pewne. Ale nawet dziś nie żałuję. A przyszłość... Ha! Często stawiałem wszystko na jedną kartę”.

Spojrzał na Rosaleen i zobaczył jej szeroko otwarte oczy o żalonym, błagalnym wyrazie. Instynktownie odczuł jej niemą prośbę.

— Ja go nie zabiłem, Rosaleen — powiedział cicho. — Przysięgam na wszystkich świętych z twojego kalendarza, że go nie zabiłem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Rozprawa u koronera odbywała się w hali zbożowej.

Koroner, pan Pebmarsh — mały, ruchliwy człowieczek w binoklach — był głęboko przekonany o własnej ważności.

Obok niego zajmował miejsce postawny komisarz Spence, a nieco opodał siedział niski jegomość o cudzoziemskiej aparycji i długich wąsach. Rodzina Cloadów stawiała się w komplecie: Jeremiaszowie, Lionelowie, Rowley, Adela Marchmont z córką. Major Porter siedział na uboczu zdenerwowany i najwyraźniej nie w swoim sosie. Dawid i Rosaleen zjawili się ostatni i zajęli miejsca z dala od całego zgromadzenia.

Sędzia śledczy odchrząknął, przebiegł wzrokiem ławę przysięgłych złożoną z dziewięciu miejscowych notablów i przystąpił do pracy:

Posterunkowy Peacock...

Sierżant Vane...

Doktor Lionel Cload...

— Panie doktorze. Opatrywał pan pacjentkę „Pod Jeleniem”, kiedy weszła do pokoju Gladys Aitkin. Co panu powiedziała?

— Powiedziała, że gość z „piątki” leży na podłodze nieżywy.

— I w związku z tym udał się pan na piętro do pokoju numer pięć?

— Tak panie sędzio.

— Proszę powiedzieć, co pan tam zastał?

Lekarz rozpoczął szczegółowy opis. Zwłoki mężczyzny... twarzą do podłogi... rany tłuczone głowy... w okolicach potylicy... szczypce do węgla...

— Czy pańskim zdaniem rany zostały zadane wspomnianymi szczypcami?

— Niektóre z ran bez wątplenia.

— Czy zadano kilka ciosów?

— Tak. Nie przeprowadziłem szczegółowej obdukcji. Sądziłem, że nie należy dotykać zwłok ani zmieniać ich położenia przed przybyciem policji.

— Bardzo słusznie. Denat już nie żył?

— Tak. Od wielu godzin.

— Od ilu według pańskiej opinii?

— Nie potrafiłbym określić dokładnie. Co najmniej od jedenastu godzin. Może nawet od trzynastu lub czternastu. Śmierć nastąpiła... powiedzmy... między siódmą trzydzieści a dziewiątą trzydzieści poprzedniego wieczoru.

— Dziękuję, panie doktorze.

Z kolei lekarz policyjny scharakteryzował rany fachowo i szczegółowo. Na dolnej szczęce wystąpiło zasinienie i obrzmienie. Ponadto oględziny stwierdziły na potylicy sześć ran zadanych tęym narzędziem. Część ciosów napastnik wymierzył już po zgonie denata.

— A zatem był to napad gwałtowny i brutalny?

— Niewątpliwie.

— Czy zadanie tego rodzaju ciosów wymagało wielkiej siły?

— Nie. Raczej nie. Szczypcami ujętymi za łapki nietrudno wykonać potężny zamach. Uchwyt w postaci ciężkiej stalowej kuli stanowi groźną broń. Nawet osoba o słabej budowie ciała mogła zadać takie rany, zwłaszcza pod wpływem uniesienia czy chwilowego szału.

— Dziękuję, panie doktorze.

Według opisu zwłok nieboszczyk liczył około czterdziestu pięciu lat. Był dobrze odżywiony i zdrowy. Nie stwierdzono śladów przebytych chorób. Serce, płuca itd. — bez zmian.

Beatrice Lippincott złożyła zeznanie na okoliczność przybycia do hotelu denata. Podał on nazwisko Enoch Arden i miejsce zamieszkania Cape Town.

— Czy przedstawił książeczkę żywnościową?

— Nie, panie sędzio.

— Czy zażądała jej pani?

— Pierwszego dnia nie. Nie wiedziałam, jak długo gość u nas zabawi.

— A później?

— Tak, panie sędzio. Przyjechał w piątek, a w sobotę nadmieniałam, że jeżeli myśli mieszkać u nas dłużej niż pięć dni, musi mi dać książeczkę żywnościową,

— Co odpowiedział?

— Że da książeczkę.

— Ale nie dał?

— Nie.

— Czy mówił, że ją zagubił lub że jej nie ma przy sobie?

— Ach, nie... Powiedział: „Znajdę książeczkę i przyniosę pani”.

— Panna Lippincott, czy w sobotę wieczorem podsłuchiwała pani pewną rozmowę?

Właścicielka hotelu wyjaśniła drobiazgowo, dlaczego musiała pójść do pokoju nr 4, a następnie powtórzyła jeszcze raz swoją opowieść. Sędzia śledczy pomagał jej zrećnić pytaniami.

Dziękuję. Czy o tej rozmowie wspomniała pani komukolwiek?

— Tak. Panu Rowleyowi Clodowi.

— Dlaczego?

— Byłam zdania, że powinien o niej wiedzieć — odrzekła Beatrice i zarumieniła się mocno.

Wysoki, szczupły mężczyzna (mecenas Gaythome) wstał i poprosił, by wolno mu było zadać parę pytań.

— Czy w trakcie rozmowy z panem Dawidem Hunterem denat oświadczył, że jest Robertem Underhayem?

— Nie... Tego nie powiedział.

— Czyli innymi słowy, mówił o Robercie Underhayu tak, jak się mówi o osobie trzeciej?

— Tak... Oczywiście.

— Dziękuję, panie sędzio. Zależało mi na ustaleniu tej okoliczności.

Panna Lippincott wróciła na miejsce, a sędzia śledczy wezwał Rowleya Cloda.

Świadek potwierdził, że właścicielka hotelu zawiadomiła go o podsłuchanej rozmowie i opowiedział o swojej wizycie u denata.

— Ostatnie jego słowa brzmiały: „Wątpię, czy stwierdzi pan to bez mojego udziału”. „To” oznaczało fakt, że Robert Underhay żyje. Tyle powiedział i roześmiał się głośno.

— Roześmiał się? A jak pan wytłumaczył sobie znaczenie jego słów?

— Z początku myślałam, że chce mnie skłonić do wystąpienia z jakąś propozycją. Ale doszedłem do wniosku...

— Pańskie późniejsze wnioski są nieistotne dla śledztwa — przerwał sędzia. — Czy w wyniku rozmowy z denatem podjął pan próbę, by znaleźć, kogoś, kto znał niegdyś Roberta Underhaya? Czy przy pewnej pomocy starania pańskie zostały uwieńczone powodzeniem?

— Tak, panie sędzio.

— O której godzinie rozstał się pan z denatem?

— Sądzę, że za pięć dziewiąta.

— Co pozwala panu określić czas tak ściśle?

— Idąc ulicą słyszałem sygnał dziennika wieczornego z jakiegoś otwartego okna.

— Czy denat wspominał, o której spodziewa się kogoś?

— Powiedział tylko „lada chwila”.

— Nie wymienił nazwiska?

— Nie, panie sędzio.

— Dawid Hunter!

W sali powstał lekki szmer. Mieszkańcy Warmsley Yale zaczęli gapić się na wysokiego, szczupłego młodzieńca, który z posępną i wyzywającą miną stanął naprzeciw sędziemu śledczemu.

Formalności wstępne zajęły niewiele czasu. Następnie sędzia rzucił pytanie:

— Czy w sobotę wieczorem odwiedził pan denata?

— Tak. Otrzymałem od niego list z prośbą o wsparcie oraz informację, że niegdyś zetknął się w Afryce z pierwszym mężem mojej siostry.

— Ma pan ten list?

— Nie mam. Nie przechowuję korespondencji.

— Słyszał pan zeznanie panny Lippincott odnośnie do pańskiej rozmowy z denatem? Czy to prawda?

— Nie, panie sędzio. Denat mówił o znajomości z nieboszczykiem, moim szwagrem. Skarżył się na swój zły los i biedę i prosił o pomoc finansową. Naturalnie, jak zwykle w takich razach, twierdził, że pożyczkę zwróci.

— Czy zawiadomił pana, że Robert Underhay żyje?

— Nic podobnego! — uśmiechnął się Dawid. — Powiedział tylko: „Gdyby Robert żył, z pewnością nie odmówiłby mi wsparcia”.

— Pańskie zeznanie różni się zasadniczo od tego, co usłyszeliśmy od panny Lippincott.

— Jak ktoś podsłuchuje, to słyszy tylko część rozmowy, a opuszczone fragmenty uzupełnia z fantazji. W takich wypadkach łatwo o wypaczenie sensu.

Beatrice Lippincott poruszyła się gwałtownie i zawołała:

— A to doprawdy...

— Proszę o ciszę! — przerwał jej sędzia i zwrócił się do Dawida: — A teraz, panie Hunter, proszę powiedzieć, czy we wtorek wieczorem był pan ponownie u denata?

— Nie byłem.

— Słyszał pan, że denat wspomniał panu Rowleyowi Cloadowi o kimś, kogo oczekiwał.

— Możliwe. Ale nie mnie oczekiwał. Pięć funtów dostał w sobotę. Uważałem, że to wystarczy. Nie przedstawił przecież dowodu, że znał Roberta Underhaya. Moja siostra otrzymała znaczny spadek, więc zaczęli ją napastować różni wydrwigrosze i autorzy żebraczych listów.

Spokojnie przesunął wzrokiem po zgromadzonej w komplecie rodzinie Cloadów.

— Panie Hunter — podjął sędzia — czy może pan powiedzieć, jak pan spędził wtorkowy wieczór?

— Niech policja to zbada.

— Panie Hunter! To nierozumna odpowiedź, która w dodatku nie wyjdzie panu na dobre.

— Dlaczego niby mam opowiadać, gdzie byłem i co robiłem? Przyjdzie na to czas, kiedy zostaną oskarżony o morderstwo.

— Jeżeli nadal będzie pan oporny, może się to zdarzyć wcześniej, niż pan myśli. Poznaje pan ten drobiazg, panie Hunter?

Dawid pochylił się i ujął w palce złotą zapalniczkę. Na jego twarzy pojawił się wyraz zmieszania. Po chwili zwrócił zapalniczkę sędziemu i odrzekł z wolna:

— Tak. To moja własność.

— Kiedy po raz ostatni miał pan tę zapalniczkę przy sobie?

— Zgubiłem ją... — zaczął Dawid i urwał.

— Słuchamy dalej, panie Hunter — przynaglił sędzia łagodnym tonem.

Gaythorne poruszył się, jak gdyby chciał zabrać głos. Ale Dawid go uprzedził.

— Miałem ją w piątek... Tak... W piątek z rana. Nie przypominam sobie, żebym ją widział później.

Mecenas Gaythorne wstał z miejsca.

— Pozwoli pan, panie sędzio? Odwiedził pan denata w sobotę wieczorem. Czy nie mógł pan zostawić zapalniczki w jego pokoju?

— Mogłem... Zapewne — odparł z namysłem Dawid.

— Ale nie przypominam sobie, żebym ją miał przy sobie od piątku. Gdzie ją znaleziono?

— Zajmiemy się tym w swoim czasie — odpowiedział sędzia. — Na razie dziękuję panu.

Dawid wrócił wolno na miejsce i zaczął rozmawiać szeptem z Rosaleen Cload.

— Major Porter!

Stary oficer stanął niechętnie przed sędzią, ociągając się po drodze i pokaszując. Na miejscu wyprostował się po wojskowemu, niby przed frontem oddziału. Tylko oblizywanie warg świadczyło o jego zdenerwowaniu i napięciu.

— Pan nazywa się George Douglas Porter i ostatnio był pan majorem Afrykańskich Strzelców Królewskich? — rozpoczął sędzia.

— Tak.

— Czy znał pan dobrze Roberta Underhaya? Tonem rzeczowym major sypnął datami i nazwami miejscowości.

— Widział pan zwłoki denata?

— Tak.

— Może je pan zidentyfikować?

— Tak. Są to zwłoki Roberta Underhaya. W sali zaszemrały stłumione szepty.

— Twierdzi pan to stanowczo i bez wątpliwości?

— Tak, panie sędzio.

— Nie może być mowy o pomyłce?

— Nie może być mowy o pomyłce — powtórzył dobitnie stary oficer.

— Dziękuję panu, majorze Porter. Proszę teraz panią Gordonową Cload.

Rosaleen wstała. Mijając majora Portera nie zaszczyciła go spojrzeniem, chociaż on przyglądał się jej ciekawie.

— Czy policja zwróciła się do pani z prośbą o obejrzenie zwłok?
 — Tak — odpowiedziała młoda wdowa i wzdrygnęła się lekko.
 — Oświadczyła pani stanowczo, że jest to ciało mężczyzny zupełnie pani nie znanego?
 — Tak.
 — Czy po wysłuchaniu zeznań majora Portera zamierza pani cofnąć lub zmienić swoje oświadczenie?
 — Nie.
 — Nadal utrzymuje pani stanowczo, że nie są to zwłoki pani męża, Roberta Underhaya?
 — To nie są zwłoki mojego męża. Tego człowieka nie widziałam nigdy w życiu.
 — Proszę się zastanowić, pani Cload. Major Porter rozpoznał bez wątpliwości swojego przyjaciela Roberta Underhaya.
 — Widocznie major Porter się omylił — odrzekła Rosaleen martwym głosem.
 — W dzisiejszej rozprawie świadkowie nie zeznają pod przysięgą. Ale w niedługim czasie zostanie pani zaprzysiężona w sądzie. Czy i wówczas powtórzy pani, że nie są to zwłoki Roberta Underhaya, lecz nie znanego pani mężczyzny?
 — Gotowa jestem zeznać pod przysięgą, że są to zwłoki nie mojego męża, lecz nie znanego mi mężczyzny.
 Powiedziała to pewnym, spokojnym głosem, patrząc w oczy sędziemu śledczemu.
 — Jest pani wolna — bąknął ten ostatni i poprawiwszy binokle, zwrócił się w stronę przysięgłych.
 Pierwszym zadaniem ławy jest zakwalifikowanie rodzaju zgonu denata. Pod tym względem nie nasuwają się wątpliwości. Nie może być mowy o nieszczęśliwym wypadku lub samobójstwie. Werdykt może być tylko jeden: morderstwo z premedytacją.
 Tożsamości denata nie ustalono definitywnie. Jeden ze świadków — człowiek o nieskazitelnej opinii i godny zaufania — rozpoznał w nim swojego dawnego przyjaciela, Roberta Underhaya. Atoli rzeczony Robert Underhay został niegdyś uznany za zmarłego przez miarodajne władze w Afryce i dotychczas nikt nie podawał w wątpliwość jego zgonu. Ponadto, wbrew zeznaniom majora Portera, wdowa po Robercie Underhayu, obecnie pani Gordonowa Cload, twierdzi stanowczo, że okazane jej zwłoki nie są zwłokami Roberta Underhaya. Jak stąd wynika, zeznania przeczą sobie w kategorięczny sposób. Oprócz zagadnienia tożsamości, ława przysięgłych ma za zadanie orzec, czy istnieją dowody wskazujące, czyja ręka zadała śmierć denatowi. Uzna, być może, że poszlaki wskazują na pewną osobę, jednakże sporządzenia aktu oskarżenia wymaga stanowczych dowodów, a ponadto musi uwzględniać motyw zbrodni oraz sposobność jej dokonania. Co innego gdyby ktoś widział osobę podejrzaną w pobliżu miejsca zbrodni i we właściwym czasie. W razie braku takiego dowodu najwłaściwszy werdykt powinien brzmieć: morderstwo z premedytacją popełnione przez nieznanego sprawcę lub nieznaną sprawców. Wówczas policja zajmie się śledztwem.
 Przysięgli udali się na naradę i poświęcili jej trzy kwadranse.
 Wrócili na salę z orzeczeniem: Morderstwo z premedytacją popełnione przez Dawida Huntera.

ROZDZIAŁ PIĄTY

— Obawiałem się takiego werdyktu — powiedział koroner tonem usprawiedliwienia. — To wynik uczuć, lokalnych uprzedzeń, nie logiki.
 Komendant policji hrabstwa Oast, komisarz Spence, sędzia śledczy i Herkules Poirot konferowali w ścisłym gronie po zakończeniu śledztwa.
 — Zrobił pan wszystko, co w ludzkiej mocy — rzekł komendant policji.
 — Werdykt jest co najmniej przedwczesny — odezwał się Spence. — No i krępuje nas. Czy pan sędzia zna pana Poirota? Jego zasługą było wynalezienie majora Portera.
 — Oczywiście słyszałem o panu — powiedział łaskawie sędzia, a Poirot spróbował bez powodzenia zrobić skromną minę.
 — Pan Poirot jest zainteresowany tą sprawą — uśmiechnął się Spence.
 — Nawet bardzo — podchwycił słynny detektyw. — Tkwiłem w niej, że się tak wyrażę, już przed „zaistnieniem” sprawy.
 Następnie odpowiadając na pytające spojrzenia streścił przebieg scenki w klubie, gdy po raz pierwszy obito mu się o uszy nazwisko Roberta Underhaya.
 — Podczas procesu może to być dodatkowym punktem zeznań majora Portera — powiedział komendant policji hrabstwa Oast. — Wynika stąd, że Underhay myślał o pozorowanej śmierci, no i wymienił nazwisko Enoch Arden.
 — Czy sąd dopuści taki dowód? — mruknął Spence. — Słowa człowieka, który już nie żyje...
 — Sąd może nie dopuścić takiego dowodu — podchwycił Poirot — lecz w każdym razie słowa te dużo dają do myślenia.
 — Zależy nam na kilku konkretnych faktach, nie na domysłach i sugestjach — rzucił Spence. — Potrzebny nam jest ktoś, kto we wtorek wieczorem widział Huntera w pobliżu hotelu „Pod Jeleniem”.
 — To będzie łatwe — wtrącił komendant.
 — Mogłoby być łatwe w moim kraju. W hotelu byłaby mała kawiarenka, ktoś siedziałby przy wieczornej kawie. Ale w Anglii, na prowincji! — Poirot westchnął i rozłożył ręce.

— Słusznie — potwierdził Spence. — Część ludzi siedzi w barach aż do zamknięcia. Reszta słucha w domu dziennika o dziewiątej. Między ósmą trzydzieści a dziewiątą główna ulica jest kompletnie wyludniona. Nie spotyka się tam żywej duszy.

— Może on na to liczył? — bąknął komendant.

— Może — przyznał Spence, ale minę miał nietęgą.

Wkrótce komendant i sędzia śledczy pożegnali się, a Poirot został sam z komisarzem.

— Nie podoba się panu ta sprawa, prawda? — powiedział ze współczuciem mały Belg.

— Mam kłopot z tym młodym człowiekiem — odrzekł Spence. — Z takim nie wiadomo nigdy, czego się trzymać. Kiedy nie ma nic na sumieniu, zachowuje się jak winowajca. A kiedy coś przeszkobie, można by przysiąc, że jest czysty jak łąza.

— Sądzi pan, że jest winny?

— A pan nie? Poirot rozłożył ręce.

— Chciałbym wiedzieć dokładnie, co ma pan przeciwko niemu? — zapytał.

— Nie chodzi panu chyba o formalne dowody, lecz o prawdopodobieństwo?

— Naturalnie.

— Mamy zapalniczkę — podjął Spence.

— Gdzie ją pan znalazł?

— Pod zwłokami.

— A odciski palców?

— Nie było żadnych.

— Zastanawiające...

— Tak — przyznał Spence. — I mnie to uderzyło. Następnie zegarek nieboszczyka stanął o dziewiątej dziesięć. Fakt zgodny z orzeczeniem lekarskim i zeznaniem Rowleya Cloada, który twierdzi, że Underhay spodziewał się kogoś lada chwila.

— Tak... To wszystko składnie leży.

— Jest jeszcze coś, panie Poirot, co narzuca mi się nieodparcie. Dawid Hunter, nie mówiąc o jego siostrze, jest jedyną osobą, która mogłaby mieć cień motywu. Albo on popełnił zbrodnię, albo Underhaya zabił ktoś nieznamy, kto z niewiadomych nam powodów przybył jego śladem do Warsley Yale. Przyzna pan, że to hipoteza wysoce nieprawdopodobna.

— Przyznaję bez zastrzeżeń.

— W naszej okolicy nie widzę człowieka, który mógłby mieć coś przeciwko Underhayowi. Chyba że dziwnym trafem mieszka tu ktoś (nie Hunter i nie jego siostra), kogo łączyły z nim w przeszłości jakieś stosunki. Z zasady nie wykluczam zbiegów okoliczności, ale za takim rozwiązaniem nic nie przemawia.

Poirot skinął głową.

— Dla rodziny Cloadów — ciągnął policjant — żywy Underhay byłby żrenicą oka, o którą należy dbać troskliwie. Dzięki niemu przecież mógłby im przyspaść w udziale pokaźny majątek.

— I tym razem, mon ami, zgadzam się bez zastrzeżeń. Żywy Underhay byłby szczególnie potrzebny rodzinie Cloadów.

— Stad wynika, że tylko Rosaleen i Dawid Hunter mogli mieć motyw. Ona była w Londynie. Ale on, jak nam wiadomo, przyjechał do Warsley Yale pociągiem, o piątej trzydzieści po południu.

— A zatem mamy motyw wypisany wielkimi literami i fakt, że Dawid Hunter był w Warsley Yale od pół do szóstej do godziny bliżej nie określonej.

— Zgadza się. A teraz weźmy pod rozwagę zeznania Beatrice Lippincott. Daję im wiarę. Ta dziewczyna powtarza słowa, które naprawdę podsłuchiwała. Zapewne barwi opowieść, z tym mogę się zgodzić. Ale to zgodne z naturą ludzką.

— Tak. Zgodne z naturą ludzką

— Znam Beatrice — podjął Spence — ale nie o to nawet chodzi. Pewnych szczegółów nie potrafiłaby wymyślić. Na przykład, nie słyszała nigdy dawniej nazwiska Robert Underhay. Wobec tego przyjmuję że ona, nie Dawid Hunter, przedstawia prawdziwie scenę, która rozegrała się w „piątce”.

— Słusznie. Pannę Lippincott uważam za świadka zasługującego w pełni na wiarę.

— Mamy zresztą potwierdzenie jej słów. Dlaczego brat i siostra wyjechali do Londynu? Jak pan sądzi?

— To jedna z kwestii najżywiej mnie interesujących.

— Otóż sytuacja finansowa wygląda następująco: Rosaleen Cload ma tylko dożywocie na majątku zmarłego męża. Kapitału nie może ruszyć w granicach większych niż, o ile się nie mylę, tysiąca funtów. Natomiast biżuteria i tym podobne rzeczy stanowią jej własność. Pierwsze, co zrobiła w Londynie, to poszła na Bond Street i sprzedała część najcenniejszych klejnotów. Potrzebna jej była niezwłocznie znaczna kwota w gotówce, czyli innymi słowy musiała opłacić się szantażyście.

— Uważa pan to za dowód przeciwko jej bratu?

— A pan?

Poirot pokręcił głową.

— Widzę dowód szantażu, lecz nie chęci popełnienia morderstwa. Mon cher, nie trzyma się za ogon dwu srok naraz. Ten młody człowiek miał zamiar albo płacić, albo dopuścić się zbrodni. Przed chwilą pan przedstawił dowód, że miał zamiar płacić.

— Tak... zapewne... Mógł jednak zmienić zdanie.

Mały Belg wzruszył ramionami.

— Znam ludzi tego pokroju — ciągnął z namysłem komisarz. — Podczas wojny są nieocenieni. Mają pomysłowość, odwagę, pogardę dla osobistego bezpieczeństwa. Wszystkiemu stawiają czoła. Tacy właśnie dostają Krzyż Wiktorii, często pośmiertnie. Tak. Na wojnie są bohaterami. Ale w czasie pokoju... Cóż, w czasie pokoju bardzo często trafiają do więzienia. Cenią przygodę, nie potrafią chodzić prostymi drogami, nie liczą się ze społeczeństwem... no i za nic mają życie ludzkie.

Poirot przytaknął skinieniem głowy.

— Powiadam panu — rzucił Spence. — Znam ludzi tego pokroju.

Zapadło dłuższe milczenie.

— Eh bien — podjął słynny detektyw. — Ustaliliśmy, że mamy do czynienia z kimś, kto może być zabójcą. Na tym koniec. Nie posunęliśmy się ani o krok naprzód.

Spence zmierzył małego Belga pytającym wzrokiem.

— Bardzo interesuje pana ta sprawa, panie Poirot — powiedział.

— Tak.

— Dlaczego, jeżeli wolno spytać?

— Otwarcie mówiąc, nie wiem. Może z powodu dawnego wspomnienia. Widzi pan, dwa lata temu siedziałem w palarni, w klubie mojego znajomego. Był wtedy nalot, a ja czułem kurcze żołądka. Nie lubię, mon ami, nalotów i nie jestem odważny, chociaż staram się zwykle robić dobrą minę do złej gry. Otóż siedzę w palarni i czuję, że tu mi coś wzbiera — poklepał się po brzuchu w okolicy żołądka — a nudziarz klubowy, pocziwy major Porter, opowiada monotonnym głosem bardzo długą historię. Nikt go nie słuchał, panie Spence, ale ja go słuchałem, aby zapomnieć o bombach i dlatego, że przytaczane fakty wydawały mi się interesujące i znamienne. Pomyślałem wtedy, że z sytuacji, o której mówił major Porter, może wyniknąć coś ciekawego. No i wynikło, jak panu wiadomo.

— Przyszło nieoczekiwanie, co?

— Przeciwnie — sprostował Poirot. — Oczekiwanie. Ale i to posiada swoją wymowę.

— Spodziewał się pan morderstwa? — zapytał sceptycznie komisarz.

— Nie, nie, nie! Ale widzi pan. Młoda osoba wychodzi powtórnie za mąż. Niewykluczone, że jej pierwszy mąż żyje? Otóż żyje. Niewykluczone, że się zjawi? Otóż się zjawia. Niewykluczone, że dojdzie do szantażu? Dochodzi do szantażu. Niewykluczone, że ktoś uciszy szantażystę? I, ma foi, ktoś ucisza szantażystę!

— Cóż — podjął Spence zerkając spod oka na małego Belga. — Sprawa nie odbiega od schematu. Pospolity typ zbrodni: szantaż i w rezultacie morderstwo.

— Sądzi pan, że to przypadek mało interesujący? W zwykłych warunkach... tak. Ale ta sprawa wydaje mi się interesująca, ponieważ wszystko w niej idzie na opak.

— Na opak? Nie rozumiem pana?

— Nic... jakby tu powiedzieć. Nic nie przybiera właściwego kształtu.

Spence szeroko otworzył oczy.

— Nadinspektor Japp twierdzi, panie Poirot, że pańska myśl wędruje krętymi drogami. Co właściwie idzie na opak? Poproszę o przykłady.

— Chociażby osoba zamordowanego. Nie wydaje się panu dziwna?

Spence zaprzeczył ruchem głowy.

— Czyżby? — podjął słynny detektyw. — Ha! Może ja się mylę? Ale zastanówmy się trochę. Underhay wynajmuje pokój „Pod Jeleniem”, pisze do Dawida Huntera. Ten otrzymuje list nazajutrz rano przy śniadaniu.

— Tak. Hunter zeznał, że dostał list od Ardena.

— Była to pierwsza wiadomość o przyjeździe tego człowieka do Warmsley Yale. Otóż, co robi Hunter! Pierwsza rzecz — na łeb na szyję wyprawia siostrę do Londynu.

— Całkiem zrozumiałe — podchwycił Spence. — Chciał mieć wolną rękę, załatwić sprawę na swój sposób. Mógł się obawiać, że kobieta okaże słabość. Przecież on jest sprężyną działania tej pary. O tym trzeba pamiętać, panie Poirot. On trzyma panią Cload pod pantoflem.

— Nie ulega wątpliwości — przyznał mały Belg. — A zatem Hunter wysłał siostrę do Londynu i wieczorem idzie do Enocha Ardena. O spotkaniu ich wiemy wszystko dzięki obszernej relacji panny Lippincott. Coś w tej relacji czuć na miłą, jak to się mówi. Fakt, że Hunter nie miał pewności, czy człowiek, z którym rozmawia, jest lub nie jest jego szwagrem. Podejrzewał, że to może być Robert Underhay, ale nie wiedział.

— Cóż w tym dziwnego, panie Poirot? Rosaleen Hunter pierwszy raz wyszła za mąż w Cape Town i pojechała prosto do Nigerii. Dawid i Underhay nie zetknęli się nigdy. Dlatego właśnie, jak pan się wyraził, Hunter podejrzewał, że to może być Robert Underhay, ale nie wiedział. Nie mógł wiedzieć, ponieważ nie widział go nigdy.

Poirot zmierzył komisarza pytającym wzrokiem.

— Czy nic nie wydaje się panu dziwne? — zapytał.

— Wiem, do czego pan zmierza, panie Poirot. Dlaczego Underhay nie powiedział wyraźnie, kim jest? Otóż i to wydaje mi się zrozumiałe. Przyzwoici ludzie usiłują zachować pozory, nawet wówczas, gdy robią świństwa. Własną osobę wolą utrzymać w cieniu. Sądzę, że pan rozumie, co mam na myśli? Ten szczegół nie wydaje mi się dziwny, bo uzasadnia go natura ludzka.

— Tak — bąknął Poirot. — Natura ludzka. Chyba tu właśnie leży powód, dla którego tak bardzo interesuje mnie ta sprawa. Podczas rozprawy u koronera rozglądałem się po sali, obserwowałem ludzi, a zwłaszcza rodzinę Cloadów. Wystąpili w komplecie, związani wspólnym interesem, ale zupełnie różni charakterem, umysłem, uczuciem. Wszyscy przez długie lata zależeli od silnego człowieka, potęgi familijnej, Gordona Cloada. Nie byli całkowicie na jego utrzymaniu. Skąd znowu! Mieli jakieś własne środki. Ale świadomie czy nieświadomie musieli odczuć z czasem, że opierają się na bogatym krewnym. Otóż, panie komisarzu, stawiam pytanie: Co stanie się z bluszczem, gdy padnie dąb, który bluszcz oplata?

— To kwestia nie związana z moją specjalnością — uśmiechnął się Spence.

— Tak pan sądzi? Ja jestem przeciwnego zdania. Charakter ludzki, mon cher, nie trwa w bezruchu. Może umacniać się. Może słabnąć. Jakim człowiek jest naprawdę, ujawnia dopiero próba, to znaczy moment, kiedy musi stanąć na własnych nogach albo upaść.

Spence zrobił zakłopotaną minę.

— Nie rozumiem, doprawdy, panie Poirot, ku czemu pan zmierza. Tak czy inaczej Cloadowie stoją teraz na pewnych nogach, a w każdym razie staną po zakończeniu formalności prawnych.

— Formalności te mogą potrwać czas pewien — przypomniał Poirot. — Trzeba jeszcze obalić zeznanie pani Gordonowej Cload. Ostatecznie kobieta powinna chyba poznać męża, kiedy go zobaczy?

Mały Belg pochylił na bok głowę i rzucił komisarzowi pytające spojrzenie.

— Warto nie poznać męża, jeżeli w grę wchodzi dochód od dwu milionów funtów — odparł cynicznie Spence. — Ale nie na tym koniec. Jeżeli ten człowiek nie był Robertem Underhayem, dlaczego go zamordowano?

— To bardzo istotne pytanie — mruknął do siebie mały Belg.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Poirot z niewesołą miną opuścił posterunek policji. Szedł coraz wolniej. Na rynku przystanął, by rozejrzeć się dokoła. Widział dom doktora Lionela Cloada z wytartą mosiężną tabliczką na drzwiach, nieco dalej urząd pocztowy, a po drugiej stronie ulicy siedzibę Jeremiasza Cloada. Przed sobą miał skromnie ukryty między innymi zabudowaniami kościół katolicki, niepozorny w porównaniu z przepychem kościoła anglikańskiego, który stał dumnie pośrodku placu, naprzeciwko hali zbożowej, i świadczył o przewadze religii protestanckiej.

Pod wpływem nagłego impulsu mały Belg wszedł do katolickiej świątyni. Zdjął kapelusz, zrobił znak krzyża przed wielkim ołtarzem i klęknął przy jednej z bocznych ławek. Zaczął się modlić, lecz spokój zakłóciło mu zdławione szlochanie.

Odwrócił głowę. Po drugiej stronie nawy klęczała kobieta w czerni i twarzą ukrytą w dłoniach. Niebawem wstała i płacząc nadal z cicha ruszyła w stronę wyjścia. Poirot pośpieszył jej śladem, otwierając szeroko oczy ze zdziwienia, gdyż poznał Rosaleen Cload.

W kruchcie przystanąła, jak gdyby chciała odzyskać panowanie nad sobą.

— Madame, mogę pani w czymś pomóc? — odezwał się mały Belg.

Nie zdradziła zdziwienia, a odpowiedź jej była dziecinnie prosta.

— Nie. Mnie nikt nie może pomóc.

— Ma pani wielkie zmartwienie, prawda?

— Zabrali Dawida — odrzekła. — Zostałam sama. Powiedzieli, że Dawid zabił. Ale to nieprawda! Nieprawda!

— Spojrzała na Poirota. — Pan był dzisiaj na rozprawie? Widziałam pana.

— Tak. Będę bardzo szczęśliwy, jeżeli zdołam pani pomóc.

— Boję się! Dawid mówił, że jestem bezpieczna, póki on nade mną czuwa. Teraz go wzięli... Boję się! Mówił, że oni wszyscy chcą mojej śmierci. To straszne, ale chyba prawdziwe.

— Pomogę pani, madame.

— Nie. Mnie nikt nie może pomóc. Nie mogę nawet pójść do spowiedzi. Sama muszę dźwigać ciężar grzechów. Nie mam prawa do boskiego zmiłowania!

— Wszyscy, moje dziecko — odrzekł łagodnie Poirot — mamy prawo do boskiego zmiłowania. Wie pani o tym.

— Ach, gdybym się mogła wypowiadać — żalonym wzrokiem spojrzała na małego Belga. — Gdybym mogła!

— Nie może pani? Po to przecież przyszła pani do kościoła, prawda?

— Chciałam znaleźć pociechę... Tak, pociechę! Ale nie ma dla mnie pociechy... Jestem wielka, grzesznica,

— Wszyscy grzeszymy.

— Ale inni pokutują — zasłoniła twarz dłońmi. I ja powinnam powiedzieć... Wyznać. Ile ja nakłamałam! Ile nakłamałam!

— Nie powiedziała pani prawdy o swoim mężu. Człowiek zamordowany „Pod Jeleniem” to Robert Underhay, czy nie tak?

Szybko odwróciła się w stronę małego Belga. W oczach miała podejrzliwe, złe błyski.

— Powiedziałaś przecież — prawie krzyknęła — że to nie mój mąż! Nawet wcale do niego niepodobny.

— Niepodobny do pani męża?

— Zupełnie.

— A jak wyglądał pani mąż?

Z oczu Rosaleen wyjrzało przerażenie.

— Nic więcej nie powiem! — zawołała i minawszy szybko pana Poirota wybiegła na alejkę przed kościołem, a później na Rynek.

Mały Belg nie usiłował jej ścigać. Natomiast pokiwał głową i zrobił bardzo zadowoloną z siebie minę.

— Ach, więc to tak — mruknął. — Więc to tak.

Z tymi słowami wyszedł z kruchty.

Po krótkiej chwili wahania pośpieszył w kierunku hotelu „Pod Jeleniem” — ostatniego budynku przy głównej ulicy. Spacer opłacił się, bo w drzwiach Poirot spotkał pannę Marchmont z narzeczonym.

Z przyjemnością spojrział na Lynn. Ładna dziewczyna i inteligentna. Ale nie w jego typie. Pan Poirot wolałby coś delikatniejszego, bardziej kobiecego. Lynn Marchmont to kobieta na wskroś nowoczesna, jakkolwiek równie dobrze można by ją uważać za typ z czasów elżbietańskich. Takie osoby potrafią myśleć same o sobie, nie krępując się w mowie, a mężczyźni imponują im przede wszystkim przedsiębiorczością i odwagą

— Jesteśmy panu serdecznie wdzięczni, panie Poirot — powiedział Rowley. — Na Boga! Pokazał pan naprawdę magiczną sztuczkę.

„Właśnie! — pomyślał słynny detektyw. — Zadałeś mi pytanie, na które odpowiedź znałem. Nietrudno o coś takiego, jak wszystko wiadomo z góry.”

Rozumiał jednak, że dla naiwnego Rowleya wyczarowanie majora Portera z nicości równało się dobyciu z kapelusza całego stada królików.

— Nie mam pojęcia, jak pan wyczynia takie rzeczy. Jak Boga Kocham!

Mały Belg nie udzielił wyjaśnień. Był przecież tylko człowiekiem. Zresztą iluzjonista nie tłumaczy widzom, na czym polegają jego triki.

— W każdym razie — podjął młody farmer — obydwójce z Lynn z całego serca dziękujemy panu.

„Ona nie robi wrażenia osoby szczególnie wdzięcznej” — pomyślał Poirot.

Istotnie panna Marchmont miała podkrążone oczy i nerwowo wyłamywała sobie palce.

— W obecnej sytuacji nasze przyszłe życie małżeńskie będzie wyglądać całkiem inaczej — ciągnął Rowley.

— Skąd wiesz? — rzuciła szorstko dziewczyna. — Na pewno czeka nas jeszcze moc starań i formalności prawnych.

— Kiedy zamierzają się państwo pobrać? — zapytał uprzejmie mały Belg.

— W czerwcu.

— A od dawna są państwo zaręczeni?

— Blisko sześć lat — odpowiedział Rowley. — Lynn została niedawno zdemobilizowana z WREN-u.

— Czy w Marynarce Królewskiej dziewczętom nie wolno wychodzić za mąż? — zapytał słynny detektyw.

— Byłam za granicą — wyjaśniła krótko.

Poirot zauważył, że Rowley sposepniał nagle.

— Idziemy, Lynn — powiedział. — Najwyższy czas na nas. Myślę, że i panu Poirotowi pilno do Londynu.

— Nie wybieram się do Londynu — wyjaśnił mały Belg z uśmiechem.

— Co? — Rowley spojrział nań baranim wzrokiem.

— Chcę spędzić kilka dni „Pod Jeleniem”.

— Ale... ee... Dlaczego?

— Podoba mi się okolica.

— Tak... zapewne... — bąknął Rowley. — Ale czy nie ma pan zajęcia?

— Zrobiłem skromne oszczędności — wyjaśnił Poirot z uśmiechem. — Nie muszę się przepracowywać. Wolę leniuchować i spędzać czas tam, gdzie chcę. Obecnie upatrzyłem sobie Warmsley Yale.

Spostrzegł, że Lynn przygląda mu się bacznie, a młody farmer ma bardzo rzadką minę.

— Przypuszczam, że pan grywa w golfa — podjął ten ostatni. — W Warmsley Heath jest znacznie lepszy hotel. Nasza miejscina to okropna dziura.

— Jednakże moje zainteresowania ograniczają się wyłącznie do Warmsley Yale.

— Chodźmy już, Rowley — odezwała się Lynn.

Młody farmer posłuchał i ruszył niechętnie za narzeczoną. Ale po kilku krokach Lynn zawróciła i podszedłszy żywo do pana Poirota zagadnęła półgłosem:

— Policja aresztowała Dawida Huntera. Czy myśli pan, że... że słusznie?

— Po takim werdykcie policja nie miała wyboru, mademoiselle.

— Nie o to chodzi. Czy pan sądzi, że on zabił?

— A pani? — rzucił słynny detektyw.

Obok Lynn stanął Rowley z bardzo pochmurną twarzą, więc powiedziała:

— Do widzenia, panie Poirot. Mam nadzieję, że... że się jeszcze spotkamy.

— Ciekawe, czy to nastąpi — mruknął pod wąsem mały Belg.

Szybko załatwił z panną Lippincott formalności związane z wynajęciem pokoju i znów wyszedł na miasto. Tym razem skierował kroki ku domowi doktora Lionela Cloada.

Ciotka Kate otworzyła drzwi i cofnęła się o parę kroków.

— Oo... pan Poirot.

— Do usług, madame — słynny detektyw skłonił się głęboko. — Przyszedłem złożyć państwu uszanowanie.

— Bardzo to miło z pańskiej strony... eee... Bardzo miło. Może pan... pozwoli dalej. Zaraz puszcze w ruch panią Blask i... Myślę, że pan nie odmówi filiżanki herbaty? Tylko ciasto mamy okropnie czerstwe... Miałam zamiar zajrzeć do Peacocka... W środy miewają czasami roladę konfiturową... Ale takie śledztwo przewraca cały porządek domowy do góry nogami.

Poirot odrzekł, że to rozumie się samo przez się. Przypomniał sobie zachowanie Rowleya, kiedy oznajmił, że zamierza zostać w Warmsley Yale. Obecnie ciotka Kate nie sprawiała wrażenia pani domu zadowolonej z odwiedzin. Spoglądała na gościa z wyrazem prawie niechęci. Wreszcie pochyliła się i przemówiła ochryplym, poufnym szeptem:

— Nie powie pan mojemu mężowi, że wtedy przyszedłem do pana po radę w... w wiadomej sprawie?

— Będę milczał jak grób.

— Naturalnie... ee... nie wyobrażałam sobie wówczas, że ten biedny Underhay... Co za tragedia, prawda?... Że pokaże się w Warmsley Yale. To, doprawdy, zdumiewająca zbieżność. Zdumiewająca!

— Prościej byłoby, gdyby wirujący stolik skierował panią „Pod Jelenia”.

Ciotka Kate rozpogodziła się trochę na wzmiankę o wirującym stoliku.

— Przebieg wydarzeń w świecie ducha jest na pozór nieobliczalny — powiedziała. — Ale ja czuję, panie Poirot, że wszystko ma swój cel. Nie sądzi pan, że tak się dzieje w życiu? Że wszystko ma swój cel?

— Niewątpliwie, madame — zgodził się słynny detektyw. — Nawet w tym, że obecnie siedzę w pani salonie, musi być cel.

— Cel?... — pani domu była jak gdyby zaskoczona. — Czyżby? A tak... tak, z pewnością. Oczywiście wraca pan zaraz do Londynu.

— Nie zaraz. Pozostanę przez kilka dni „Pod Jeleniem”.

— „Pod Jeleniem”?... Aa... „Pod Jeleniem”. Ale to przecież tam... Czy to ma sens, panie Poirot?

— „Pod Jelenia” udałem się dzięki przewodnictwu.

— Dzięki przewodnictwu? Jakiemu?

— Pani, madame.

— Ale ja... ja nic nie wiedziałam. Nie miałam wyobrażenia. Jaka to okropna historia, prawda?

— Przed chwilą spotkałem pana Rowleya Cloada i pannę Marchmont. Mają się wkrótce pobrać, o ile mi wiadomo?

— Kochana Lynn! Uroczą dziewczyną! I doskonale zna się na rachunkach. Ja tam nie mam głowy do liczb... absolutnie! Lynn w pobliżu to czyste błogosławieństwo. Ile razy coś pokręcę, ona wyprowadza sprawy na czyste wody. Słodką dziewczyną! Mam nadzieję, że będzie szczęśliwa. Rowley to też udany chłopak, bardzo udany. Tylko trochę nudny. Chciałam powiedzieć, że może być nudny dla młodej osoby, która widziała tyle świata co Lynn. Rowley, wie pan, spędził całą wojnę tutaj, na swojej farmie. Oczywiście... ee... z polecenia władz. On był w porządku, w zupełnym porządku. Nie wchodziło w grę tchórzostwo czy coś podobnego. Ale cóż? Takie siedzenie w domu ogranicza horyzonty.

— Sześć lat narzeczeństwa to dobra próba trwałości uczuć.

— Tak. Niewątpliwie. Jednakże dziewczęta, które wracają z wojny, są niespokojne, nerwowe... Rozumie pan? Jeżeli pod ręką znajdzie się ktoś, kto, dajmy na to, ma za sobą burzliwe życie...

— Na przykład taki Dawid Hunter — uzupełnił Poirot.

— Między nimi nic nie ma! — obruszyła się ciotka Kate. — Absolutnie nic! Głowę daję! Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby było inaczej! Wszak ten człowiek okazał się mordercą. Zabił własnego szwagra. Okropność! Nie, panie Poirot! Niech pan nie wyobraża sobie, że cokolwiek mogło łączyć Lynn z Dawidem. Przeciwnie. Hę razy doszło do spotkania, klócili się jak szatany. Przeczuję raczej... O, mój Boże! Zdaje się, mąż wraca? Pamięta pan, panie Poirot? Ani słówka o naszej pierwszej rozmowie! Mój kochany biedaczek byłby wściekły. Mógłby pomyśleć, że... O, Lionel! Już wróciłeś? Jest pan Poirot, dzięki któremu major Porter rozpoznał zwłoki.

Doktor Cload był mizerny i zmęczony. Jego blado-niebieskie oczy o żrenicach jak łebki szpilek niespokojnie rozglądały się po salonie.

— Witam, panie Poirot — powiedział. — Pan już chyba na wyjeździe do Londynu?

„Dobry Boże! Jeszcze jeden wyprawia mnie do stolicy!” — pomyślał Poirot i odezwał się cierpliwie: — Nie. Przez kilka dni zostanę „Pod Jeleniem”.

— „Pod Jeleniem” — lekarz zrobił pochmurną minę. — Aha... Policja życzy sobie pańskiej obecności.

— Nie. Zostaję z własnej ochoty.

— Czyżby? — oczy doktora błysnęły żywym zrozumieniem. — Więc nie jest pan zadowolony?

— Skąd to panu przyszło do głowy, doktorze?

— Zgadłem? Prawda, że zgadłem?

Szczębiocąc coś o herbatce, ciotka Kate wyszła z salonu, a jej małżonek podjął:

— Ma pan wrażenie, panie Poirot, że coś w tej sprawie nie gra. Chyba się nie mylę?

Mały Belg zdziwił się trochę.

— Ciekawe, że właśnie pan to powiedział. Czy i pan ma podobne wrażenie?

— Nie... Raczej nie... Cała historia wydaje mi się nierealna i może to mnie trapi. W powieściach ludzie uśmiercają szantażystów. Ale czy coś takiego może zdarzyć się w życiu? Na pozór brzmi to jakoś fałszywie.

— Czy z lekarskiego punktu widzenia sprawa nasuwa panu wątpliwości? Oczywiście pytam zupełnie prywatnie.

— Nie powiedziałbym — odrzekł z namysłem doktor Cload.

— A mnie się zdaje, że tak. Nawet jestem o tym przekonany.

W razie potrzeby Poirot potrafił nadać swojemu głosowi właściwości niemal hipnotyzerskie. Lionel Cload zastanowił się przez moment. Wreszcie podjął z wahaniem:

— Oczywiście, nie mam praktyki jako lekarz policyjny. Wiem jednak, że orzeczenie lekarskie to nie murowany pewnik, jak wydaje się laikom i amatorom powieści kryminalnych. Jesteśmy omylni. Wiedza lekarska jest omylna. Cóż to jest diagnoza? Domysł oparty na bardzo znikomym zasobie wiadomości i rozmaitych przesłankach wskazujących więcej niż jedną stronę. Sadzę, że niezawodnie potrafię rozpoznać odrę, bo ustawicznie stykam się z tą chorobą i znam tysiączne odmiany jej symptomów. Ale bardzo rzadko widywałem to, co podręcznik lekarski nazywa „typowym przykładem” odry. Widywałem natomiast różne dziwne rzeczy. Jedna kobieta leżała już na stole, przygotowana do operacji wyrostka robaczkowego, gdy rozpoznano paratyfus. Widziałem dziecko z wysypką, którą sumienny i wykształcony młody lekarz uznał za objaw daleko posuniętej awitaminozy. Tymczasem miejscowy stary praktyk zorientował się, że egzema udzieliła się dziecku od kota, z którym się bawiło.

— Lekarz, podobnie jak każdy, może paść ofiarą poglądu, który zasugeruje sobie z góry. Oto widzi zwłoki człowieka, niewątpliwie zamordowanego, a obok leżą skrwawione szczypce do węgla. Nonsensem wydaje się, na pozór, szukanie innego narzędzia zbrodni. Ja, panie Poirot, niewiele widziałem trupów. Mimo to jednak podejrzewałbym inne narzędzie... jakby się tu wyrazić?... mniej gładkie, o ostrych kantach... Na przykład cegłę lub coś w tym rodzaju.

— Nie wspominał pan o tym w czasie śledztwa sądowego. Dlaczego?

— Ponieważ na pewno nic nie wiem. Jenkins, lekarz policyjny, nie wyraził wątpliwości, a przecież jego zdanie najbardziej się liczy. Ale mamy tu nieodparcie narzucającą się sugestię: narzędzie zbrodni znalezione obok ofiary. Czy taką bronią można zadać takie rany? Oczywiście — można. Ale gdyby ktoś pokazał panu tylko rany i zapytał, czym je zadano... Mój Boże! Nie wiem, co pan by odpowiedział. Może to nie ma sensu, lecz chodzi mi po głowie... Jak gdyby było dwu napastników: jeden ze szczypcami, drugi z cegłą... — Lionel Cload urwał, zasepił się na moment i zapytał małego Belga: — To nie ma sensu, prawda?

— Czy Underhay mógł upaść na jakiś twardy przedmiot?

— Leżał twarzą do podłogi, na grubym dywanie; taki gruby staroświecki Axminster...

Urwał, bo jego żona weszła do pokoju.

— Oto Kate niesie lurę — powiedział.

Pani domu balansowała tą, na której niosła zastawę do herbaty, pół bochenka chleba i dwufuntowy słoik z resztką mało apetycznego dżemu.

— Zdawało mi się, że woda była gotująca — odezwała się tonem powątpiewania i uniósłszy pokrywkę zajrzała do imbryka.

Doktor Cload burknął coś gniewnie i rzuciwszy jedno słowo: „lura”, wyszedł z salonu.

— Biedny Lionel — westchnęła ciotka Kate. — Wojna kompletnie zszarpała mu nerwy. Pracował zbyt ciężko, bo tylu lekarzy poszło do wojska. Wychodził rano, w południe i wieczorem. Dziwne, że nie załamał się zupełnie. Oczywiście liczył, że wycofa się z praktyki, jak tylko nastanie pokój. Omówił nawet całą sprawę z Gordonem. Jego konik, widzi pan, to botanika, a mówiąc ściślej, stosowanie ziół leczniczych w średniowieczu. Lionel pisze książkę na ten temat. Miał nadzieję, że będzie żył spokojnie i prowadził swoje badania. Ale cóż? Śmierć Gordona pokrzyżowała wszystko. Wie pan, panie Poirot, jakie dziś czasy. Lionel nie może rzucić praktyki i dlatego jest taki zgorzkniały. To nie w porządku, proszę pana! Dlaczego Gordon zginął w taki sposób i nie zostawił ostatniej woli? Czuję, że to burzy podstawy mojej wiary. W takim obrocie sprawy nie potrafię dopatrzeć się celu. Mam dziwne wrażenie... Jakby tu rzec?... Omyłki...

Ciotka Kate westchnęła i rozpogodziła się trochę.

— Na szczęście odbierałam kojące posłannictwa nie z tego świata. „Odwagi, cierpliwości. Odnajdzie się droga”. I ten sympatyczny major Porter stanął przed sądem i tak śmiało, po męsku oświadczył, że poznaje Roberta Underhaya! Doprawdy, panie Poirot, pomyślałam wtedy: „Oto odnalazła się droga!” Jak cudownie nurt życia potrafi zmienić kierunek od złego ku najlepszemu!

— Choćby dzięki morderstwu — powiedział słynny detektyw.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Poirot wrócił „Pod Jelenia” w minorowym nastroju i przemarznięty, bo dał chłodny wschodni wiatr. Hall był jak zwykle pusty. Mały Belg pchnął drzwi salonu, po prawej stronie. Cuchnęło tam zastarzałym dymem tytoniowym, a na

kominka dogasał skąpy ogień. Mały Belg przeszedł na palcach w głąb hallu, do drzwi opatrzonych napisem: „Wstęp wyłącznie dla gości hotelowych”. W pokoju płonął suty ogień, ale monumentalna sędziwa dama siedziała w wygodnym fotelu i nad płomieniem przysmażała grzanki. Na intruza spojrzała tak srogo, że wycofał się, bąknąwszy nieśmiało: „przepraszam”.

Przez moment stał w hallu, spoglądając na oszklony kojec „repcji” i na drzwi salki nazywanej uparczywie „kawiarnią”. Znał angielskie prowincjonalne hotele, wiedział więc, że kawę podaje się w takich salkach niechętnie i tylko do pierwszego śniadania; nawet wówczas składa się ona przeważnie z wodnistego mleka. Małe filiżaneczki rzadkiej i mętnej cieczy imitującej czarną kawę można było czasami zauważyć w salonie, nigdy w „kawiarni”. Zupę, siekany kotlet i budyń, ten mamy obiad, otrzymywało się w „kawiarni” około siódmej wieczorem. Do tej godziny niczym nie zmacony spokój miał panować w całym hotelu „Pod Jeleniem”, z wyjątkiem baru.

Słynny detektyw powoli wszedł na schody. Nie skręcił w prawo do swojego pokoju nr 11, lecz w lewo i przystanął na moment przed drzwiami „piątki”. Rozejrzał się dokoła. Cisza, pustka! Nacisnął klamkę i wkroczył do pokoju.

Policja zrobiła tam już swoje, a personel hotelowy uporał się ze sprzątnianiem. Na podłodze nie było dywanu. Widocznie „staroświecki Axminster” pojechał do pralni. Również złożone koce leżały w rogach łóżka.

Poirot zamknął za sobą drzwi i obszedł dokoła pokój — chłodny i pozbawiony cech charakterystycznych. Później obejrzał umeblowanie i urządzenie: stół biurowy, staroświecka komoda z litego mahoni, także szafa, maskująca zapewne drzwi do sąsiedniego pokoju, szerokie metalowe łóżko, umywalka z bieżącą zimną i gorącą wodą (ukłon w stronę nowoczesności i braku służby), dwa krzesła, ogromny, niewygodny fotel... Ponadto w pokoju był staroświecki wiktoriański kominek z ciężkim marmurowym gzymsem i również marmurowym, kanciastym obramowaniem na podłodze. Opodal zwisały z postumentu żelazny pogrzebacz i żelazna szufelka. Niewątpliwie należały do tego samego kompletu co fatalne szczytce.

Poirot zainteresował się głównie obramowaniem kominka. Schylił się nad nim i przystąpił do oględzin. Poślinił palec, potarł nim prawy narożnik. Skóra poczerniała lekko. Taki sam zabieg powtórzył innym palcem, w lewym narożniku. Tym razem skóra pozostała czysta.

— Tak... — mruknął do siebie mały Belg. — Tak to wygląda...

Zerknął na umywalkę i podszedł do okna. Wychodziło na kryty blachą dach, zapewne garażu. Dalej widać było pusty zaułek. Wyborna droga, by wejść albo wyjść niepostrzeżenie. Co prawda schody mogły oddać podobną przysługę, o czym Poirot przekonał się przed chwilą osobiście.

Ostrożnie wycofał się z „piątki” i cicho zamknął za sobą drzwi. Zjrzał do swojego pokoju. Było tam zdecydowanie zimno, więc zszedł na parter i po krótkim namyśle pchnął drzwi opatrzone napisem: „Wstęp wyłącznie dla gości hotelowych”. Przesunął drugi fotel do kominka i usiadł śmiało.

Monumentalna sędziwa dama wyglądała jeszcze bardziej srogo widziana z bliska. Miała stalowosiwe włosy i bujne wąsy, a gdy się odezwała, bas jej zabrzmiał głęboko i groźnie.

— Ten salon — wyjaśniła — jest zarezerwowany wyłącznie dla osób, które mieszkają w hotelu.

— Ja mieszkam w hotelu — odparł Herkules Poirot.

Dama zamyśliła się na moment, po czym wznowiła atak.

— Pan cudzoziemiec? — rzuciła oskarżycielskim tonem.

— Tak, proszę pani.

— Moim zdaniem powinien pan wrócić — zagrzmiała.

— Dokąd, proszę pani?

— Tam, skąd pan przybył — warknęła i dorzuciła tonem przygany, lecz sotto voce. — Ha! Cudzoziemcy!

— To nie byłoby łatwe, proszę pani — wyjaśnił układnie mały Belg.

— Nonsens! — obruszyła się sędziwa dama. — Po to przecież prowadziliśmy wojnę, żeby wszyscy mogli wrócić na swoje miejsca i siedzieć tam spokojnie.

Poirot nie podjął dyskusji. Zdawał już sobie sprawę, że poglądy na cele wojny są różnorodne i bardzo indywidualne.

Przez pewien czas panowało w saloniku nieprzyjemne milczenie.

— Nie wiem, do czego wreszcie dojdzie — podjęła matrona. — Nie mam wyobrażenia! Co rok przyjeżdżam do Warmsley Yale i zatrzymuję się „Pod Jeleniem”. Mój mąż umarł i został pochowany w tym mieście przed szesnastoma laty. Co rok spędzam miesiąc w Warmsley Yale.

— Pobożna pielgrzymka — wtrącił Poirot.

— Iz roku na rok wszystko wygląda coraz gorzej. Brak służby. Jedzenie pod psem! Siekane kotlety: dobre sobie! Ja lubię przywoity befsztyk z polędwicy, a nie końskie ochłapy, i do tego mielone! Mały Belg smutno pokiwał głową.

— Jedno mnie cieszy: zwinęli to lotnisko. Obrzydliwość! Hordy młodych lotników przychodziły tu z jakimiś okropnymi dziewczętami. Ładne „dziewczeta”! Nie mam pojęcia, co te dzisiejsze matki sobie myślą? Dlaczego pozwalają córkom tak się prowadzić? Naturalnie to вина rządu, który mobilizuje kobiety do fabryk. Wolne są tylko matki niemowląt. Także pomysł! Każdy potrafi upilnować niemowlę. Niemowlę nie będzie ganiać za żołnierzami. A kto naprawdę potrzebuje opieki matki? Dziewczyna od czternastu do osiemnastu lat. Tylko matka może zrozumieć, co takiej grozi. Żołnierze! Lotnicy! To pannicom w głowie i nic więcej! Amerykanie! Murzyni! Polacy!

Sędziwa dama rozkaślała się z irytacji, a gdy przyszła do siebie, poczęła mówić dalej. Własne słowa podsycaly to sprawiające jej przyjemność, złośliwe oburzenie. A Poirot służył za niemy cel.

— Dlaczego .— obozy wojskowe odgradza się drutem kolczastym? Aby żołnierzy nie dopuścić do dziewcząt? Nie! Aby dziewcząt nie dopuścić do żołnierzy! Wszystkie mają bzika na punkcie mężczyzn. A jak się ubierają! Spodnie, dobre sobie! Niektóre idiotki noszą nawet szorty. Nie paradowałyby w szortach, gdyby mogły zobaczyć, jak wyglądają z tyłu.

— Przyznaję pani słuszość, madame, zupełną słuszość.

— A na głowach co mają? Uczciwe kapelusze? Nie! Jakies pozwijane szmaty. No i te wypacykowane twarze! Nic tylko szminka i puder. Na ustach jakieś kolorowe obrzydlistwo! Lakierowane paznokcie nie tylko u rąk, ale także, wstyd powiedzieć, u nóg!

Matrona zrobiła wojowniczą minę i z wyczekującą, miną spojrzała na słuchacza. Poirot westchnął, pokiwał głową.

— I do kościoła chodzą bez kapeluszy — ciągnęła dama — czasami nawet bez tych tam apaszek. Na głowach nic nie mają, tylko paskudne, kołtuniaste, ondulowane włosy. Włosy: dobre sobie! Ja mogłam usiąść na włosach, jak byłam młoda!

Poirot spojrzał na siwostalowe splety i wydało mu się niepodobieństwem, by ta rozjuszona wiedźma mogła być kiedykolwiek młoda.

— Jedna taka zajrzała kilka dni temu do tego salonu. Powiadam panu, obsypana pudrem, upacykowana, a głowę miała okręconą w jakąś pomarańczową chustkę, jak w turban! Spojrzałam na nią. Ach, jak ja na nią spojrzałam! Zaraz się cofnęła. Ona tu nie mieszka. Chwała Bogu, nikt taki nie mieszka „Pod Jeleniem”. Co więc robiła? Dlaczego wyszła z pokoju zajmowanego przez mężczyznę? Rozpusta! Powiedziałam o tym tej Lippincott, ale ona też nie lepsza. Miłą poleci za byle spodniami.

Poirot zdradził umiarkowane zainteresowanie.

— Ta dziewczyna wyszła z pokoju zajmowanego przez mężczyznę? — zapytał.

Matrona z zapałem podchwyciła temat.

— Przecież panu mówię. Widziałam na własne oczy. Wyszła z pokoju numer pięć.

— Jakiego dnia, madame?

— W przeddzień całego zamieszania z tym morderstwem. Hańba, że coś takiego mogło się zdarzyć tutaj! Do niedawna był to nobliwy hotel w staroświeckim stylu. A teraz?

— W jakiej porze dnia, madame, widziała pani tę osobę?

— Dnia! To wcale nie był dzień tylko wieczór. Późny wieczór! Wstyd, doprawdy! Minęła już dziesiąta. Szłam do łóżka, na piętro, kwadrans po dziesiątej. Ta bezwstydnica wyszła z pokoju, spojrzała na mnie i dała nura z powrotem. Nawet śmiała się i rozmawiała z tym mężczyzną.

— Słyszała pani jego głos?

— Przecież panu mówię. Cofnęła się do pokoju, a on zawołał: „Idź do diabła! Mam cię dosyć. Wynos się!” Żeby mężczyzna mówił w taki sposób do kobiety! Ale dobrze im tak! Same do tego prowadzą, latawice!

— Czy zawiadomiła pani o tym policję? — zapytał mały Belg.

— Ja? Policję? Jak żyję, nie miałam do czynienia z policją. Może chciałby pan, żebym zeznawała w sądzie?

Jeszcze raz zmierzyla cudzoziemca niezycliwym wzrokiem i dygocąc ze złości opuściła pokój. Poirot siedział czas jakiś przed kominkiem i w zamyśleniu gładził wąsy. Następnie udał się na poszukiwanie panny Beatrice Lippincott.

— Tak, panie Poirot — powiedziała hotelarka — mówił pan ze starą panią Leadbetter. To wdowa po kanoniku Leadbetter. Przyjeżdża tutaj co rok, ale tak między nami, mamy z nią ciężkie życie. Często bywa bardzo niegrzeczna dla różnych osób i nie może zrozumieć, że czasy się zmieniły. Co pan chce? Osiemdziesiątka na karku!

— Ale umysł ma w porządku? Wie co mówi, prawda?

— O, tak! Jest bystra... Czasami nawet za bystra.

— Czy nie wie pani, jaka to młoda kobieta odwiedziła Enocha Ardena we wtorek wieczorem?

Beatrice zrobiła zdziwioną minę.

— Nie wiem nic o odwiedzinach młodej kobiety. Jak wyglądała?

— Miała na głowie pomarańczową chustkę i, o ile można wierzyć pani Leadbetter, była mocno umalowana.

— Słowo daję, panie Poirot, nie mam pojęcia, o kogo może chodzić.

Słynny detektyw sposepniał jeszcze bardziej i wybrał się do komisarza Spence'a. Policjant wysłuchał w milczeniu dziwnej opowieści, a następnie rozparł się w fotelu i skrzyżował ramiona na piersi.

— Szczególnie, prawda? — powiedział. Bardzo często wracamy do tej samej starej formułki Cherchez la femme.

Miał gorszy francuski akcent niż sierżant Graves, ale i tak był z niego dumny. Wstał, przeszedł się po pokoju i wrócił z pomadką do ust w pozłacanej oprawie.

— Od początku mieliśmy sygnał, że kobieta może być zamieszana w tę historię — powiedział.

Poirot wziął pomadkę i delikatnie potarł nią wierzch swojej dłoni.

— Dobry gatunek — mruknął. — Ciemnowisniowa. Zapewne własność brunetki.

— Tak. Znaleźliśmy szminkę na podłodze w „piątce”. Stoczyła się pod komodę, więc oczywiście mogła leżeć tam pewien czas. Odcisków palców nie stwierdzono. Dziś nie ma takiego jak przed wojną wyboru szminek. Produkuje się tylko kilka standardowych odmian.

— Nie wątpię, że przeprowadził pan wywiad?

— Tak — odrzekł Spence z uśmiechem. — Przeprowadziliśmy wywiad, jak się pan wyraził. Rosaleen Cload używa tego odcienia. Tak samo Lynn Marchmont. Frances Cload posługuje się jaśniejszym odcieniem, a „ciotka Kate” wcale ust nie maluje. Pani Marchmont ma pomadkę cyklamenu barwy. Beatrice Lippincott i pokojówka Gladys używają znacznie tańszych odmian.

— To cały komplet — zauważył Poirot.

— Niezupełnie. Wygląda na to, że wmieszał się ktoś z boku. Jakaś kobieta, prawdopodobnie z Warmsley Yale, zapewne znajoma Underhaya.

— Która była u niego we wtorek, kwadrans po dziesiątej wieczorem — dokończył mały Belg.

— Tak — przyznał Spence i dodał z westchnieniem. — To wyłączyłoby z gry Dawida Huntera.

— Czyżby?

— Tak. Jaśnie pan raczył złożyć zeznania. Adwokat przemówił mu do rozumu. Oto relacja o jego poruszeniach.

Poirot sięgnął po kartkę porządnie napisaną na maszynie i zaczął czytać:

„Z Londynu wyjechałem do Warmsley Yale pociągiem o 16.16. Na miejsce przybyłem o 17.30. Do „Furrowbank” poszedłem pieszo, ścieżką”.

— Hunter twierdzi — przerwał lekturę komisarz — że wybrał się do „Furrowbank” po rozmaite zapomniane rzeczy: listy, papiery, książeczkę czekową. Chciał też sprawdzić, czy wróciły koszule z prania. Oczywiście, nie wróciły! Słowo daję, pralnia to dziś problem! Do nas nikt nie zajrzał przez bite cztery tygodnie. Nie mamy w domu ani jednego czystego ręcznika. Żona musi pracować własnoręcznie moją bielizną osobistą!

Po tym, jakże zrozumiałem, wybuchu komisarz wrócił do marszrutu Dawida Huntera:

— O 19.25 opuścił „Furrowbank” i poszedł na spacer, ponieważ spóźnił się na pociąg o 19.20, a następny odchodził dopiero o 21.20.

— Dokąd poszedł na spacer? — zapytał Poirot.

— Twierdzi, że przez las Down i wzgórze Bats dotarł aż do Long Ridge.

— Czyli innymi słowy odbył wędrowkę wokół „Białego Domu”.

— Słowo daję! Szybko nauczył się pan lokalnej geografii, panie Poirot.

— Nie — uśmiechnął się słynny detektyw. — Jak żyję, nie słyszałem nazw, które pan wymienił. To był tylko domysł.

— Domysł, panie Poirot? Rozumiem — komisarz spojrział nań spod oka i mówił dalej. — Na Long Ridge (wszystko według jego zeznań) zorientował się, że jest bardzo późno i jak zając przemknął na przełaj do stacji w Warmsley Heath. Ledwie zdążył na pociąg i o 22.45 przyjechał na Dworzec Wiktorii. Do domu poszedł pieszo i był tam o jedenastej, co potwierdza pani Rosaleen Cload.

— Jakie mamy dowody, że reszta opowieści jest prawdziwa?

— Jest ich bardzo niewiele, ale zawsze trochę. Rowley Cload widział Huntera, kiedy przyjechał na stację Warmsley Heath. Widziało go również kilka innych osób. Pokojówki z „Furrowbank” korzystały z wolnego popołudnia (on miał oczywiście własne klucze), więc nie zetknęły się z Hunterem. Natomiast stwierdziły, że ktoś gospodarował w bielizniarce, a w bibliotece znalazły niedopałek papierosa. Bardzo je to zaintrygowało i rozmawiały nawet na ten temat. Ponadto jeden z ogrodników pracował wieczorem. Zamykał szklarnie czy coś podobnego. Ten zauważył Dawida, który wychodził z domu bocznymi drzwiami. Ale na tym nie koniec. Panna Marchmont spotkała go na skraju zagajnika Mardon. Biegł wtedy na stację.

— Czy widział ktoś, że udało mu się złapać pociąg?

— Nie. Ale zaraz po przyjeździe zatelefonował z Londynu do panny Marchmont o jedenastej pięć.

— To sprawdzone, prawda?

— Tak. Z jego aparatu zamówiono pilne połączenie z numerem 34 w Warmsley Yale. To jest numer pani Marchmont.

— Bardzo, bardzo interesujące — mruknął Poirot.

— Rowley Cload rozstał się z Ardenem za pięć dziewiąta. Stanowczo twierdzi, że nie wcześniej. Około dziewiątej dziesięć Lynn Marchmont widziała Huntera w pobliżu zagajnika Mardon. Jeżeli nawet biegł przez całą drogę z hotelu „Pod Jeleniem”, czy mógł przyjść do Ardena, pokłócić się z nim, zabić faceta i zdążyć do zagajnika? Zastanawiałem się nad tym i nie widzę możliwości. A teraz zaczynamy wszystko od nowa. Dowiadujemy się, że denat nie został zamordowany o dziewiątej, lecz żył o dziesiątej piętnaście, jeżeli naturalnie pańska starsza dama nie śniła. Zabiła go albo kobieta, która zgubiła szminkę — ta w pomarańczowej chustce — albo ktoś inny, już po odejściu tej kobiety. W każdym razie morderca rozmyślnie nastawił zegarek na dziewiątą dziesięć.

Mały Belg milczał, więc Spence zwrócił się doń z pytaniem:

— Nad czym pan tak medytuje, panie Poirot?

— Długi spacer dokoła „Białego Domu”... Spotkanie na skraju zagajnika... Telefon z Londynu... A Lynn Marchmont i Rowley Cload są zaręczeni. Chciałbym się dowiedzieć, co ci dwoje mówili przez telefon.

— Powoduje panem czysto ludzkie zainteresowanie? — zapytał komisarz.

— Oczywiście — przyznał Herkules Poirot. — Każde zainteresowanie człowieka jest czysto ludzkie.

Było późno, ale Poirot postanowił złożyć jeszcze jedną wizytę i wybrał się do domu Jeremiasza Cloada.

Do gabinetu zaprowadziła go młodzianka dziewczyna o inteligentnym wyglądzie. Kiedy pozostał sam, rozejrzał się bacznie po pokoju i orzekł, że nawet prywatna siedziba adwokata ma urzędowy, iście prawniczy charakter. Na biurku stała duża fotografia Gordona Cloada i druga, trochę wyblakła, przedstawiająca lorda Edwarda Trentona na koniu. Mały Belg oglądał ją właśnie, gdy gospodarz wszedł do gabinetu.

— Ach, pardon... — Poirot zmieszał się i postawił fotografię na miejscu.

— Ojciec mojej żony — odezwał się Jeremiasz takim tonem, jak gdyby sobie gratulował — i jeden z jego najlepszych koni, Królewski Kasztan. Zajął drugie miejsce na Derby w 1924 roku. Interesuje się pan wyścigami?

— Niestety, nie.

— To zabawa dla bogaczy. Lord Edward Trenton zapłacił za nią ruiną. Musiał wyjechać za granicę i tam się osiedlić. Kosztowny sport — ciągnął sucho prawnik, lecz głos jego dźwięczał dyskretną nutką dumy.

„Ty, bratku, wolałbyś wyrzucić pieniądze przez okno, niż ulokować je w koniach — pomyślał słynny detektyw.

— Ale żywisz respekt i podziw dla koniarzy”.

— Czym mogę służyć, panie Poirot? — podjął adwokat — Nasza rodzina ma wobec pana dług wdzięczności za odnalezienie majora Portera, który zidentyfikował zwłoki.

— Widzę, że cała rodzina bardzo się z tego cieszy — uśmiechnął się Poirot.

— Radość byłaby przedwczesna — odrzekł Jeremiasz oschłym tonem. — Musi jeszcze upłynąć wiele wody.

Ostatecznie zgon Roberta Underhaya w Afryce został urzędowo stwierdzony. Sprostowanie takiej omyłki wymaga nieraz lat. No i zeznanie Rosaleen było stanowcze... powiedziałbym, bardzo stanowcze. Rosaleen wywarła korzystne wrażenie, panie Poirot.

Wyglądało na to, że Jeremiasz niechętnie mówi o widokach na poprawę sytuacji.

— Nie opowiedziałbym się z przekonaniem ani w jedną, ani w drugą stronę — podjął. — Niepodobna odgadnąć wyniku takiej sprawy. — Odsunął leżące na biurku papiery i zmienił ton. — Pan życzył sobie ze mną mówić, panie Poirot?

— Chciałbym zapytać, panie Cload, czy jest pan absolutnie pewien, że pański brat zmarł nie pozostawivszy ostatniej woli? Oczywiście spisanej po zawarciu związku małżeńskiego.

Adwokat zrobił zdziwioną minę.

— Nigdy nie przyszło mi na myśl takie pytanie. Na pewno Gordon nie sporządził testamentu w Nowym Jorku.

— Mógł to zrobić w trakcie dwu dni spędzonych w Londynie.

— Myśli pan, że tam poszedł do adwokata?

— Albo własnoręcznie napisał testament.

— A skąd świadkowie?

— W domu — powiedział Poirot — było troje służby. Wszyscy zginęli tej samej nocy co pański brat.

— Cóż... możliwe... Ale testament został na pewno zniszczony, nawet jeżeli Gordon go napisał.

— Oto właśnie pytanie. Ostatnio, dzięki nowym metodom, odszyfrowano wiele dokumentów, na pozór kompletnie nieczytelnych... Na przykład papiery zwęglone w domowej kasie ogniotrwałej, ale nie tak spopielone, by się rozpadły.

— Doprawdy, panie Poirot, pomysł godny zastanowienia. Wątpię jednak, czy może wieść do konkretnych rezultatów. O ile mi wiadomo, Gordon nie miał w londyńskim mieszkaniu kasy ogniotrwałej. Dokumenty przechowywał w swoim biurze i z całą pewnością nie było tam ostatniej woli.

— Tak czy inaczej należałoby przeprowadzić wywiad — upierał się Poirot. — Chociażby wybadać kogoś z obrony przeciwniczej. Czy upoważni mnie pan do podjęcia właściwych kroków?

— Oczywiście... oczywiście. Bardzo pan uprzejmy. Niestety, nie mam wiary w powodzenie pańskiej misji. Ale zaryzykować można. Naturalnie wybiera się pan do Londynu? Zapewne panu pilno?

Poirot zmrugał oczy. W głosie Jeremiasza wyczuł ton zachęty. I ten Cload wyprawiał go do Londynu. Czy wszyscy chcieli usunąć z drogi detektywa?

Nim zdążył odpowiedzieć, drzwi się otworzyły i Frances Cload weszła do gabinetu. Poirot zwrócił uwagę na dwa szczegóły: pani Jeremiaszowa była zdumiewająco podobna do swojego ojca, a tego wieczora sprawiała wrażenie ciężko chorej.

— Pan Herkules Poirot przyszedł z wizytą — poinformował ją mąż zupełnie zbytecznie.

Frances podała rękę gościowi, adwokat zaś streścił niezwłocznie propozycję małego Belga w kwestii ostatniej woli.

— Mało prawdopodobne — odrzekła z powątpiewaniem pani domu.

— Pan Poirot wybiera się właśnie do Londynu, gdzie będzie łaskaw przeprowadzić stosowny wywiad — oznajmił Jeremiasz.

— O ile sobie przypominam, major Porter należał do obrony przeciwniczej w tym właśnie rejonie — wyjaśnił Poirot.

— Co to za jeden ten major Porter? — zapytała Frances z dziwnym wyrazem twarzy.

— Oficer w stanie spoczynku. Żyje z emerytury.

— I naprawdę był w Afryce?

— Niewątpliwie — zdziwił się słynny detektyw. — Dlaczego pani pyta, madame!

— Nie wiem właściwie. Coś mi się w nim nie podoba.

— To zrozumiałe, madame.

Frances spojrzała bystro na gościa, który wyczytał w jej oczach niepokój, prawie przestrasz.

— Mój drogi — powiedziała zwracając się do męża. — Bardzo mnie martwi Rosaleen. Jest sama w „Furrowbank” i z pewnością rozpacza po aresztowaniu Dawida. Chciałabym zaprosić ją na dłuższy pobyt u nas. Nie masz nic przeciwko temu?

— Wątpię, czy przyjmie zaproszenie!

— Ale wystąpić z propozycją można.

— Naturalnie — odrzekł chłodno prawnik — jeżeli zrobi ci to przyjemność.

— Przyjemność! — powtórzyła Frances z dziwną goryczą i spojrzała spod oka na małego Belga.

— Pozwolą państwo, że się pożegnám — rzekł ten ostatni.

Gospodyni odprowadziła go do hallu.

— Wyjeżdża pan do Londynu? — zapytała.

— Tak. Wybieram się jutro, ale tylko na jeden dzień. Później wrócę „Pod Jelenia”. Tam zastanie mnie pani, madame, gdyby chciała się pani ze mną widzieć.

— Ja? — rzuciła szorstko. — Dlaczego? Poirot nie udzielił odpowiedzi. Powiedział tylko:

— Będę do dyspozycji „Pod Jeleniem”.

Tej nocy Frances zwróciła się do męża w ciemności:

— Nie wierzę, by ten człowiek jechał do Londynu w celu, o jakim mówił. Nie wierzę, by Gordon spisał ostatnią wolę. A ty wierzysz, mój drogi?

— Nie, Frances — odpowiedział głuchym, matowym głosem. — On wybiera się do Londynu po coś zupełnie innego.

— Po co?

— Nie mam pojęcia.

— Co my teraz pocniemy, Jeremiaszu? — szepnęła pani Cload. — Co my pocniemy?

Na moment zapadło milczenie. Później adwokat podjął:

— Moim zdaniem, Frances, jest tylko jedno wyjście...

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Poirot — uzbrojony w pełnomocnictwo Jeremiasza Cloda — łatwo uzyskał potrzebne mu informacje. Nie budziły żadnych wątpliwości. Dom przy Sheffield Terrace został doszczętnie zburzony. Plac, przeznaczony pod nową budowę, odgruzowano ostatnimi czasy. Z katastrofy wyszli cało tylko Dawid Hunter i pani Cload. W domu było troje służby: Fryderyk i Elżbieta Game oraz Eilleen Corrigan. Wszyscy zginęli na miejscu. Gordon Cload — wydobyty spod gruzów żywy — zmarł w drodze do szpitala nie odzyskawszy przytomności. Poirot zanotował nazwiska i adresy krewnych służby.

— Być może ci ludzie napomknęli w plotkarskiej pogawędce o czymś, co dostarczyłoby mi bardzo przydatnych informacji — powiedział.

Urzędnik, z którym mały Belg rozmawiał, był usposobiony sceptycznie. Małżonkowie Game pochodzili z Dorset, a Eilleen Corrigan z hrabstwa Cork.

Załatwiwszy tę sprawę, Poirot udał się do majora Portera. Pamiętał, że stary oficer należał do obrony przeciwniczej, mógł zatem owej krytycznej nocy pełnić służbę w sąsiedztwie domu Gordona Cloda. Ponadto pragnął zamienić z Porterem kilka słów na inny temat.

Minąwszy róg Edge Street zdziwił się na widok policjanta stojącego przed domem, do którego zmierzał. Krąg niedorostków i dorosłych gapiów obserwował ciekawie przedstawiciela władzy i strzeżony przez niego budynek. Mały Belg poczuł, że serce zaczyna mu bić niespokojnie.

Policjant zatrzymał go energicznie.

— Wstęp wzbroniony, proszę pana — powiedział.

— Co się stało?

— Czy mieszka pan w tym domu? Słynny detektyw zaprzeczył ruchem głowy.

— Kogo zamierza pan odwiedzić?

— Majora Portera.

— Czy to pański przyjaciel?

— Nie. Nie nazwałbym go przyjacielem. Znajomy.

— Major Porter zastrzelił się niedawno. W jego mieszkaniu jest inspektor.

Drzwi domu otworzyły się i wyszli z nich dwaj mężczyźni: miejscowy inspektor i znany panu Poirotowi sierżant Graves z Warmsley Yale. Ten ostatni uklonił się i przedstawił słynnego detektywa inspektorowi.

— Może pan pozwoli z nami do domu — zaproponował ten ostatni.

Weszli we trójkę.

— Tutejszy komisarz dał znać telefonicznie do Warmsley Yale — wyjaśnił Graves. — Komisarz Spence mnie wydelegował.

— Samobójstwo? — zapytał mały Belg.

— Tak — odrzekł inspektor. — Sprawa wydaje się jasna. Może zeznanie u koronera wytraciło go z równowagi. Czy ja wiem? Podobno był ostatnio przygnębiony. Miał kłopoty materialne. Zastrzelił się z własnego rewolweru.

— Mogę pójść na górę?

— Jeżeli pan sobie życzy. Sierzancie, proszę zaprowadzić pana Poirota na piętro.

— Tak jest, panie inspektorze.

Graves ruszył pierwszy na schody. Pokój wyglądał tak samo, jak zapamiętał go mały Belg: dywany w ciemnych barwach, książki. Major Porter siedział w głębokim fotelu, w niemal naturalnej pozie. Tylko głowę pochylił do przodu. Prawa ręka zwisała mu bezwładnie, a pod nią leżał na dywanie rewolwer. W powietrzu czuć jeszcze było kwaśny zapach prochu.

— Mniej więcej dwie godziny temu — powiedział Graves. — Nikt nie słyszał strzału. Gospodyni wyszła do miasta po zakupy.

Poirot zasepił się. Spojrzył z góry na nieruchomą postać z niewielką czerwoną plamą na prawej skroni.

— Nie domyśla się pan, panie Poirot, dlaczego to zrobił? — spytał policjant.

Odnosił się z szacunkiem do małego Belga, bo wiedział, że tak odnosi się do niego komisarz Spence. Osobiście jednak był zdania, że cudzoziemiec jest kłopotliwym zabytkiem przeszłości.

— Tak... tak... — szepnął z roztargnieniem Poirot. — Miał wystarczający powód. To nie trudności finansowe.

Zerknął na stolik umieszczony po lewej stronie fotela. Stała na nim duża szklana popielniczka z fajką i pudełkiem zapalek. Nic więcej. Porter rozejrzał się po pokoju i podszedł do żaluzjowego biurka. Panował tam wzorowy ład. Papiery były posegregowane w przegródkach. Na blacie leżał oprawny w skórę bibularz, korytko z piórem i dwoma ołówkami, pudełko na spinacze, drugie na znaczki pocztowe. Wszystko schludne i porządne. Zwyczajne życie i metodyczna śmierć. Chociaż nie! Czegoś tu brakuje! O, właśnie.

— Czy major Porter nie zostawił listu — zapytał Poirot — na przykład do władz?

— Nie... A były wojskowy powinien chyba napisać coś takiego?

— Tak... To bardzo znamienne — mruknął do siebie mały Belg.

Człowiek metodyczny za życia okazał się niemetodyczny w obliczu śmierci.

„I tutaj poszło wszystko na opak — pomyślał Poirot.

— Dlaczego nie zostawił listu?”

— To cios dla Cloadów, prawda? — podjął Graves.

— Utkną w martwym punkcie. Będą musieli szukać kogoś innego, kto znał Underhaya. — Urwał i zapytał po chwili: — Czy chciałby pan jeszcze coś obejrzyć, panie Poirot?

Słynny detektyw zaprzeczył ruchem głowy i wyszedł za sierżantem z pokoju samobójcy.

Na schodach spotkali właścicielkę domu. Była przejęta, co najwyraźniej sprawiało jej przyjemność. Z miejsca rozpoczęła przemowę. Graves wycofał się zwinnie, więc Poirot musiał samotnie stawić czoło atakowi.

— Po prostu tchu nie mogę złapać, proszę pana. Wiadomo, serce! Angina pectoris. Moja mama na to umarła. Szła właśnie po zakupy. Na środku placu upadła i koniec! Ja także samo ciut–ciut nie upadłam, jak go znalazłam. Okropnie mnie wzięło! Do głowy by mi nie przyszło nic podobnego, chociaż biedaczek był od dawna strasznie oklapnięty. Chyba martwił się o pieniądze i nie jadł dosyć, żeby się czuć jak trzeba. Ale od nas nigdy niczego nie chciał przyjąć, żadnego poczęstunku. A wczoraj, proszę pana, musiał pojechać do takiego miasta w hrabstwie Oast, Warmsley Yale. Tam zeznawał u koronera. Widocznie coś mu się przytrafiło, bo jak wrócił, wyglądał okropnie. Całą noc spacerował po swoim pokoju. Tam i nazad. Podobno ten zamordowany pan to był jego dobry przyjaciel. Biedaczek, tak się tym wszystkim wrzusił! Całą noc chodził tam i nazad, tam i nazad. Przed południem wyszłam na miasto kupić to i tamto i strasznie długo stałam w ogonku po rybę. A jak wróciłam, zaszłam na górę. Chciałam zapytać, czy nie napiłby się mocnej herbaty. No i co widzę? Biedaczek siedzi w fotelu, rękę ma opuszczoną, a na dywanie leży rewolwer! O mało nie zemdlałam, proszę pana. Zaraz policja w domu i cała heca. Co to się wyrabia na tym świecie!

— Tak... Trudno żyć na tym świecie, jeżeli nie jest się człowiekiem bardzo mocnym — odrzekł z namysłem mały Belg.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Poirot wrócił po ósmej wieczorem do hotelu „Pod Jeleniem”. Zastał tam list od Frances Cload z prośbą, by ją odwiedził. Nie zwlekał ani chwili.

Przyjęła go w salonie, którego nie widział dotychczas. Z otwartych okien roztaczał się widok na ogród biały od grusz pokrytych kwieciami. Antyczne meble lśniły lustrzaną politurą. Mosiężne przybory do kominka połyskiwały wesoło. Mały Belg uznał, że to bardzo piękny pokój.

— Spodziewał się pan, panie Poirot, że zechcę pana zobaczyć — rozpoczęła Frances. — Miał pan słuszność. Muszę coś wyznać i... I sądzę, że pan jest najwłaściwszą osobą.

— Łatwiej, madame, czynić wyznania wobec kogoś, kto domyśla się ich treści.

— A więc pan odgadł...

Poirot przytaknął skinieniem głowy.

— Kiedy... — nie dokończyła zdania.

— Gdy zobaczyłem fotografię pani ojca. Pani rodzina ma bardzo charakterystyczne rysy. Nikt nie mógłby wątpić o więzach krwi między panią a lordem Edwardem. Zbliżone podobieństwo cechuje człowieka, który przybrał nazwisko Enoch Arden.

Kobieta westchnęła głęboko, żałośnie.

— Tak, ma pan rację, chociaż biedny Karol nosił brodę. To był mój kuzyn, panie Poirot, czarna owca w rodzinie. Nigdy nie żyliśmy blisko, chociaż bawiłam się z nim jako dziecko. A teraz... Ja jestem winna jego śmierci! Okropnej, haniebnej, śmierci!

Umilkła na chwilę.

— Powie mi pani wszystko — odezwał się mały Belg tonem łagodnej zachęty.

— Tak — ocknęła się. — Muszę wszystko powiedzieć. Znaleźliśmy się w krytycznej sytuacji finansowej. Od tego trzeba zacząć. Mój mąż wpadł w straszne kłopoty... w kłopoty najgorszego gatunku. Groziła mu niesława, może więzienie... Prawdę mówiąc, nadal mu grozi. Proszę pamiętać, panie Poirot, że plan, który obmyśliłam i wprowadziłam w życie, to wyłącznie moje dzieło. Mąż nie miał z tym nic wspólnego. Przedsięwzięcie było nie w jego stylu. Uważałby je za zbyt ryzykowne. Ale ja nigdy nie bałam się ryzyka i zawsze byłam... jakby tu powiedzieć... pozbawiona skrupułów. Nie mogę przemilczeć, że przede wszystkim zwróciłam się do Rosaleen Cload. Prosiłam ją o pożyczkę. Nie mam pojęcia, czy pozostawiona sama sobie dałaby mi pieniądze, ale do rozmowy wtrącił się ten jej brat. Był wściekły i, jak wtedy sadyziłam, ubliżył mi bez potrzeby. Kiedy obmyśliłam swój plan, nie miałam cienia skrupułów w kwestii wykonania. Dla wyjaśnienia muszę panu powiedzieć, panie Poirot, że w zeszłym roku mąż podzielił się ze mną, ciekawymi informacjami, które przypadkiem uzyskał w klubie. Pan był tam wtedy, o ile mi wiadomo, a więc pominię szczegóły. W każdym razie zarysowała się możliwość, że pierwszy mąż Rosaleen żyje i ona nie ma prawa do schedy po Gordonie. Ta nikła szansa wpłynęła na nas w pewnym stopniu jako coś, co ostatecznie może przynieść odmianę. W krytycznej sytuacji doznałam olśnienia. Zrozumiałam, że da się wykorzystać tę właśnie nikłą szansę. Wiedziałam, że mój kuzyn Karol jest w Anglii i żyje w opłakanych warunkach. Coś przeszkrobał, bo nigdy nie grzeszył uczciwością, i niestety siedział w więzieniu. Ale w czasie wojny spisywał się doskonale. Zwróciłam się do niego z propozycją. Zdawałam sobie naturalnie sprawę, że to szantaż, ni mniej, ni więcej, tylko szantaż. Ale sądziłam, że wszystko pójdzie gładko. W najgorszym razie Dawid Hunter mógł nie dać pieniędzy. Nie podejrzewałam, by zwrócił się do policji. Ludzie jego pokroju mają niechęć do stróżów bezpieczeństwa.

Pani Cload umilkła na moment i podjęła energiczniejszym tonem:

— Wszystko szło dobrze. Dawid uległ łatwiej, niż należało się spodziewać. Naturalnie Karol nie wystąpił w roli Roberta Underhaya. Rosaleen zdemaskowałaby go w jednej chwili. Na szczęście ona wyjechała do Londynu, wobec czego mój kuzyn mógł przynajmniej pośrednio dawać do zrozumienia, że jest jej pierwszym mężem. Jak już wspomniałam, Dawid uległ łatwo. We wtorek wieczorem miał przynieść pieniądze. Tymczasem...

Głos jej się załamał.

— Powinniśmy przewidzieć, że Dawid jest niebezpieczny, groźny! Teraz Karol nie żyje. Został zamordowany. To moja wina. Ja posłałam go na śmierć.

Umilkła znowu, aby po chwili dokończyć tonem bez wyrazu: .

— Domyśla się pan, co przeżywam ostatnimi dniami.

— Mimo to — odezwał się Poirot — była pani dość bystra, by plan rozwinąć dalej. Przecież to pani skłoniła majora Portera, aby w pani kuzynie rozpoznał Underhaya!

— Nie! — wybuchnęła Frances. — Przysięgam panu, że tego nie zrobiłam. Byłam zaskoczona, zdumiona! Osłupieliśmy obydwój z mężem, kiedy major Porter powiedział, że mój kuzyn Karol to Robert Underhay. Nie mogłam pojąć, co się stało. Do dziś nie pojmuję.

— Jednak ktoś musiał zwrócić się do Portera, ktoś nakłonił go lub przekupił. Inaczej nie zeznałby fałszywie.

— W każdym razie nie ja — odparła stanowczo Frances. — Nie ja ani mój mąż. Nie zrobilibyśmy nigdy czegoś podobnego! To wydaje się panu niedorzecznością. Rozumiem! Myśli pan, że skoro posunęłam się do szantażu, stać mnie i na oszustwo. Ale w moim pojęciu to dwie zupełnie różne kwestie. Byłam i nadal jestem przekonana, że mamy prawo do części spadku po Gordonie. Postanowiłam zdobyć krętą drogą coś, do czego nie mogłam dojść prostą. Ale rozmyślnie wykwitowałam Rosaleen z wszystkiego! Ukuć fałszywy dowód, że jej małżeństwo z Gordonem było nieważne! Nie, panie Poirot! Tego nie zrobiłabym za nic! Proszę mi wierzyć. Błagam!

— Bez wątpienia — odrzekł Poirot. — Każdy ma swój specyficzny typ grzechów. Tak. Wierzę pani — przenikliwie spojrzął na Frances. — Czy pani wie, madame, że major Porter zastrzelił się dziś po południu?

Cofnęła się. Z jej szeroko otwartych oczu wyjrzała groza.

— Nie! Ach, nie! Panie Poirot...

— Tak, pani Cload. Major Porter, widzi pani, był właściwie uczciwym człowiekiem. Miał kłopoty finansowe, kiedy więc przyszła pokusa, uległ, jak uległoby wielu innych. Być może wmówił sobie, że kłamstwo będzie niemal uzasadnione z moralnego punktu widzenia. Od początku czuł niechęć do kobiety, którą poślubił jego przyjaciel, Robert Underhay. Był zdania, że Rosaleen zachowała się nikczemnie. Drażniła go myśl, że mała spryciarka złowiła drugiego męża i zagarnęła jego majątek z krzywdą najbliższej rodziny zmarłego. Miał ochotę podstawić nogę Rosaleen. Sądził, że na nic lepszego nie zasługuje. Myślał, że zabezpieczy sobie przyszłość identyfikując fałszywe zwłoki. Spodziewał

się sówitej porcji łupu w momencie, gdy Clodowie dojdą do fortuny. Tak... Rozumiem pokusę, której uległ major Porter. Ale widzi pani, brakowało mu wyobraźni, jak zwykle ludziom takiego pokroju. Już podczas śledztwa był zrozpaczony, nieszczęśliwy. To rzucało się w oczy. Zrozumiał, że w niedalekiej przyszłości będzie musiał powtórzyć kłamstwo pod przysięgą. Ale nie na tym koniec. Dawid Hunter został aresztowany pod zarzutem morderstwa. A tożsamość ofiary wpłynęła w znacznym stopniu na werdykt przysięgłych. Major Porter wrócił do domu i przemyślał wszystko gruntownie. Następnie obrał drogę, która wydała mu się najwłaściwsza...

— Zastrzelił się?

— Tak.

— Czy... czy nie wyznał? — bąknęła niepewnie Frances. — Kto...

— Miał swój kodeks moralny — odrzekł słynny detektyw. — Ani słowem nie zdradził, kto skłonił go do krzywoprzysięstwa.

Bacznie obserwował panią Clod i przez moment miał wrażenie, że na jej stęzałej twarzy dostrzega wyraz ulgi. Ale taka reakcja byłaby naturalna w każdej sytuacji.

Frances wstała i podeszła do otwartego okna.

— Tak więc wróciliśmy do punktu wyjścia — powiedziała.

Mały Belg był bardzo ciekaw, co też ona myśli w tej chwili.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Następnego dnia z rana komisarz Spence powiedział niemal to samo co Frances Clod poprzedniego wieczora.

— A więc wróciliśmy do punktu wyjścia — bąknął z głębokim westchnieniem. — Musimy ustalić, kim był człowiek występujący pod nazwiskiem Enoch Arden.

— To mogę panu powiedzieć, komisarzu — odrzekł Poirot. — Nazywał się Karol Trenton.

— Karol Trenton! — Spence gwizdnął. — Ich człowiek! Sądzę, że napuściła go żona Jeremiasza Cloda. Trudno tego będzie dowieść, ale... Karol Trenton! Coś mi chodzi po głowie...

— Tak. Był notowany.

— Właśnie. Robił szwindle w hotelach. Teraz pamiętam. Zatrzymał się w „Ritzu” i udawał, że kupuje rolls royce’a. Brał wóz na dzienną próbę. Później zajeżdżał do luksusowych sklepów, no i robił sprawunki. Może pan mi wierzyć, że kupcy nie kontrolują czeków, kiedy ktoś przyjeżdża rollsem i poleca odsyłać paczki do „Ritza”. A zresztą facet miał tupet i doskonale manieri. Tak funkcjonował przez kilka dni lub tydzień, a kiedy zaczynał budzić podejrzenia, wynosił się cichaczem. Naturalnie sprawunki sprzedawał za bezcen jakimś znanym sobie osobnikom. Karol Trenton! Oczywiście... Ale pan, panie Poirot, potrafi wywęszyć to i owo.

— Jak postępuje śledztwo przeciwko Dawidowi Hunterowi? — zapytał słynny detektyw.

— Trzeba go będzie zwolnić. Wiem teraz, że u Ardena była tamtego wieczoru kobieta. Potwierdza to nie tylko zeznanie starej więdzmy. Jimmy Pierce wracał do domu. Wyrzucili go z baru „Pod Furą Siana”, bo zawsze robi awantury po dwu kieliszkach. Widział kobietę, która wyszła z hotelu „Pod Jeleniem” i skierowała się do budki telefonicznej. Było to niedługo po dziesiątej. Jimmy twierdzi, że nie zna jej z widzenia. Pomyślał, że to ktoś z hotelu „Pod Jeleniem”, jakaś zdzira z Londynu”. Tak się wyraził Jimmy.

— Widział ją z bliska?

— Przez szerokość ulicy. Kto to mógł być, u diabła, panie Poirot?

— Zauważył, jak była ubrana?

— Tweedowy żakiet. Na głowie pomarańczowa chustka. Spodnie. Twarz bardzo umalowana. Zgadza się z rysopisem podanym przez starą.

— Zgadza się — przyznał Poirot i utonął w głębokiej zadumie.

— Co to była za jedna? — podjął Spence. — Skąd się wzięła? Gdzie przepadła? Zna pan rozkład pociągów na naszej stacji. Ostatni do Londynu odchodzi o 21.20, a w przeciwnym kierunku o 22.03. Czy ta kobieta wałęsała się przez całą noc, aby wyjechać o 6.18 rano? ;Może miała samochód? Może korzystała z autostopu? Robimy wszystko, co w ludzkiej mocy, ale jak dotąd bez wyników.

— Proszę mi coś powiedzieć o pociągu o 6.18.

— Zawsze jest zatłoczony. Pasażerowie to przeważnie mężczyźni. Myślę, że zwróciliby uwagę na kobietę nieznaną i to takiego podejrzanego rodzaju. Chyba przyjechała i odjechała samochodem. Ale w dzisiejszych czasach samochód też rzuca się w oczy w Warsley Yale. Daleko od nas do głównej szosy.

— Nikt nie widział samochodu tamtej nocy?

— Nie. Tylko doktor Lionel Clod wyjeżdżał do chorego w kierunku Middlingham. Przecież ktoś musiałby zauważyć obcą kobietę w wozie!

— Niekoniecznie obcą — powiedział Poirot. — Człowiek podpity mógł nie poznać z daleka osoby mało sobie znanej, choć zamieszkałej w okolicy. Może ktoś celowo ubrał się zupełnie inaczej niż zwykle.

Spence zmierzył małego Belga pytającym wzrokiem.

— Czy ten Pierce poznałby na przykład Lynn Marchmont, która była na wojnie przez kilka lat?

— O tej porze Lynn Marchmont była w „Białym Domu” ze swoją matką.

— Jest pan tego pewien?

— Pani Lionelowa Cload, ta zwariowana żona doktora, twierdzi, że rozmawiała z nią przez telefon dziesięć po dziesiątej. Rosaleen była w Londynie. Pani Frances... Nie! Jak żyję, nie widziałem jej w spodniach, no i wcale się nie maluje. Zresztą nie jest młoda.

— Ach, mon cher — Poirot pochylił się do przodu. — Czy podobna określić wiek pod maską szminki i pudru, nocą, przy słabym świetle latami ulicznych?

— Posłuchaj pan, Poirot! Do czego pan zmierza? Mały Belg rozparł się znów w fotelu i przymknął oczy.

— Spodnie, tweedowy zakiet, pomarańczowa chustka na głowie, twarz mocno umalowana... I do tego zgubiona pomadka do ust... To wymowne, bardzo wymowne.

— Niech pan tylko nie udaje Pytii delfickiej! — obruszył się Spence. — Ja nie wiem, co to jest Pytia delficka, ale młody Graves udaje, że wie, i wcale mu to nie pomaga w karierze policyjnej. Ma pan jeszcze jakieś zaszyfrowane wiadomości?

— Mówiłem już, że cała ta sprawa idzie na opak, a zamordowany nie pasuje do sylwetki duchowej Underhaya. I miałem rację. Underhay to dziwak, ale osobnik rycerski, staroświecki, zacofany. A tamten z hotelu „Pod Jeleniem”? Pospolity szantażysta. Nie był staroświecki ani rycerski, ani zacofany. Nie cechowało go też szczególne dziwactwo. A zatem nie mógł być Underhayem. Nie mógł być nim, bo ludzie nie zmieniają się zasadniczo. Dziwiło mnie, że Porter go rozpoznał.

— Czy pan zmierza do pani Jeremiaszowej?

— Podobieństwo zwróciło moją uwagę na tę panią. Trentonowie mają bardzo charakterystyczny profil. Zrobię małą dygresję. Denat, jako Karol Trenton, nie nasuwa zastrzeżeń. Nic nie idzie tu na opak. Ale na wiele pytań brak dotąd odpowiedzi. Dlaczego Dawid Hunter tak łatwo poddał się szantażystyce? Czy to człowiek, który potulnie da się szantażować? Odpowiedz musi brzmieć: nie. A więc i tutaj jest coś nie w porządku. Albo Rosaleen Cload! Całe jej zachowanie jest niezrozumiałe. Przede wszystkim chciałbym wiedzieć jedno. Czego ona się boi? Dlaczego podejrzewa, że coś jej grozi teraz, kiedy nie ma opieki brata? Ktoś... albo coś musiało ten lęk obudzić. Nie chodzi o strach przed utratą majątku. Nie! To znacznie więcej. Ona trwoży się o życie!

— Na Boga, Poirot! Nie liczy się pan chyba...

— Przypomnę, Spence, pańskie własne słowa: „Wróciliśmy do punktu wyjścia”. Cała rodzina Cloadów wróciła również do punktu wyjścia. Robert Underhay stoi między nimi a pieniędzmi Gordona.

— Czy istotnie pan sądzi, że ktoś z Cloadów byłby zdolny do morderstwa?

— Rozumuję w następujący sposób: Rosaleen liczy dwadzieścia sześć lat. Jest fizycznie silna i zdrowa, jakkolwiek równowagę umysłową ma po trosze zachwiana. Może dożyć siedemdziesiątki lub więcej. Chodzi o, dajmy na to, czterdzieści cztery lata. Czy pan nie sądzi, Spence, że taki okres może się komuś wydać przydługim?

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Przed posterunkiem policji ciotka Kate zaatakowała małego Belga. Podbiegła doń przejęta, zasapana, obarczona sprawunkami.

— Ach, biedny major Porter! — zaczęła. — Okropna historia! Nie mogę odpędzić myśli, że jego stosunek do życia był bardzo przyziemny. Rozumie pan, służba wojskowa ogranicza widnokręgi. Cóż stąd, że biedaczek spędził szmat życia w Indiach? Na pewno nie korzystał z możliwości duchowych. Pił, jadł, palił fajkę, polował... Tak, panie Poirot, ciasny krąg żołnierskiego życia. A mógł przecież dostąpić wszystkich stopni wtajemniczenia. Stracone szansę, panie Poirot! Jakże to bolesne, prawda?

Smutno pokiwała głową i rozluźniła palce, skutkiem czego wypuściła z ręki jedną z wielu toreb. Nieapetyczne dzwonko wielkiego dorsza upadło do rynsztoka. Poirot podniósł je zwinnie, a zdenerwowana dama upuściła przy sposobności drugą torbę. Puszka syropu klonowego potoczyła się rażno po dość stromej w tym miejscu jezdni.

— Stokrotne dzięki, panie Poirot — zaszczębiotała pani Lionelowa chwytając dorsza; słynny detektyw ruszył w pogoni za swawolną puszką. — Dziękuję, bardzo dziękuję. Niezdara ze mnie! Ale, doprawdy, taka jestem rozstrojona. Ten nieszczęśliwy major... Ach, nie! Nie, panie Poirot... Puszka zabłociła się trochę, ale proszę jej nie wycierać swoją czystą chusteczką! Bardzo pan uprzejmy, dziękuję... Tak, tak... Życie wiedzie nas ku śmierci, a śmierć ku życiu. Nie zdziwiłabym się wcale, gdybym zobaczyła ciało astralne kogoś z moich drogich bliskich, co już odeszli. Człowiek, widzi pan, mija takie ciała astralne na ulicy. Proszę posłuchać, panie Poirot. Pewnego wieczoru...

— Pozwoli pani? — przerwał mały Belg i zdecydowanym ruchem wtoczył dzwonko dorsza na dno torby. — O czym pani mówiła?

— O ciałach astralnych. Poprosiłam o dwa pojedyncze pensy, bo miałam same półpensówki. Twarz wydała mi się dziwnie znajoma, ale widzi pan, nie potrafiłam jej umiejscowić. Do dzisiaj nie potrafię. Myślę jednak, że to był ktoś, kto już odszedł... może dawno i rysy zatarły mi się w pamięci. Dziwna rzecz! Ciała astralne bywają wysyłane do ludzi w potrzebie, jeżeli nawet chodzi tylko o pojedyncze pensy, żeby zatelefonować z automatu. Mój Boże! Jaki ogonek przed Peacockiem! Mają chyba roladę konfiturową. Spodziewam się, że dla mnie nie zabraknie.

Z tymi słowy pani Lionelowa Cload zajęła ostatnie miejsce w długiej kolejce pochmurnych kobiet, stojących przed sklepem cukierniczym.

Poirot poszedł dalej. Nie skręcił wszakże do hotelu „Pod Jeleniem”. Skierował kroki w stronę „Białego Domu”. Bardzo mu zależało na pogawędce z Lynn Marchmont i przewidywał, że Lynn Marchmont nie będzie temu przeciwna.

Ranek był wyjątkowo piękny: taki letni ranek na wiosnę, ale bez letniego skwaru.

Mały Belg skręcił z szosy i zmierzył wzrokiem ścieżkę, która wiodła przez „Long Willows” na stok wzgórza poza „Furrowbank”. Karol Trenton szedł tą ścieżką w piątek poprzedzający jego tragiczny zgon. Po drodze spotkał Rosaleen Cload. Nie poznał jej i ona go nie poznała. To zrozumiałe: nie był przecież Robertem Underhayem. Ale po obejrzeniu zwłok Rosaleen zapewniła, że nie widziała nigdy tego człowieka. Czy kierowała nią ostrożność? Czy też tamtego dnia była tak pogrążona w myślach, że nie spojrzała na twarz mężczyzny, który ją minął? Jeżeli tak, o czym wówczas myślała? Może o Rowleyu?

Poirot skręcił na boczną dróżkę prowadzącą do „Białego Domu”. Ogród wyglądał uroczo. Kwitły bzy i prunusy, a pośrodku trawnika stała rozłożysta stara jabłoń. Pod drzewem Lynn Marchmont odpoczywała na leżaku.

Wzdrygnęła się nerwowo, gdy mały Belg powitał ją zwykłym „dzień dobry”.

— Przelękałam się, panie Poirot! Nie słyszałam kroków na trawie. Jeszcze pan w Warnsley Yale?

— Tak... jeszcze.

— Dlaczego?

Słynny detektyw wzruszył ramionami.

— To czarująca, staroświecka miejscowość. Dobrze się odpoczywa w Warnsley Yale, więc odpoczywam.

— Cieszę się, że pan nie odjechał.

— Nie tak, jak reszta pani rodziny. Inni pytają: „Kiedy pan się wybiera do Londynu?” i niespokojnie czekają na odpowiedź.

— Woleliby widzieć pana w Londynie, panie Poirot?

— Na to wygląda.

— Ja nie solidaryzuję się z nimi.

— Tak mi się zdawało... Dlaczego, mademoiselle?

— Ponieważ, to znaczy, że pan nie jest przekonany... przekonany o winie Dawida Huntera.

— Chciałaby pani, żeby on był niewinny?

Lekki rumieniec zabarwił opaloną twarz dziewczyny.

— Naturalnie. Bolałoby mnie, gdyby człowiek został powieszony za to, czego nie zrobił.

— Naturalnie... To zrozumiałe.

— Policja nie jest do niego uprzedzona, jak się pani wydaje, panno Marchmont. Ława przysięgłych dała wyraz uprzedzeniom. Nie wzięła pod uwagę wskazówek koronera. Po takim werdykcie policja nie miała wyboru. Musiała aresztować Dawida Huntera. Ale mogę powiedzieć pani w zaufaniu, że Spence nie jest wcale zadowolony z wyników śledztwa.

— Czy wypuści Dawida? — zapytała żywo Lynn.

Poirot wzruszył ramionami.

— Kto, pańskim zdaniem, popełnił zbrodnię? — podjęła.

— W hotelu „Pod Jeleniem” była tamtej nocy kobieta — odrzekł z wolna Poirot.

— Nic nie rozumiem! — wybuchnęła dziewczyna. — Wszystko wydawało się proste, póki sądziliśmy, że to był Underhay. Dlaczego major Porter powiedział nieprawdę? Dlaczego się zastrzelił? Wróciliśmy do punktu wyjścia.

— Jest pani trzecią osobą, która użyła tego zwrotu.

— Naprawdę? Co pan tu właściwie robi, panie Poirot?

— Rozmawiam z ludźmi, nic więcej. Po prostu rozmawiam z ludźmi.

— Ale nie wypytuje pan o morderstwo?

— Nie. Raczej... jakby się tu wyrazić?... Kolekcjonuję plotki.

— Czy to przydatne?

— Niekiedy. Zdziwiłaby się pani, gdybym powiedział, ile się już dowiedziałem o codziennym życiu Warnsley Yale w ciągu paru minionych tygodni. Wiem, kto gdzie spaceruje, kogo spotyka, a nawet czasem, o czym z nim mówi. Wiem na przykład, że Arden szedł do Warnsley Yale ścieżką dla pieszych. Wiem, że minął „Furrowbank” i pytał o drogę pana Rowleya Cloada. Wiem, że niósł tylko plecak, nie miał innego bagażu. Ale na tym nie koniec. Nie ukryło się przede mną, że Rosaleen Cload spędziła przeszło godzinę na farmie Rowleya Cloada i była bardzo wesoła, mało podobna do siebie.

— Tak — przyznała Lynn. — Rowley mówił mi o tym. Wyraził się, że Rosaleen miała wolne popołudnie.

— Aha... Mówił pani... — Poirot urwał, aby podjąć po chwili. — Tak... wiem niejedno, panno Marchmont. Na przykład słyszałem sporo o kłopotach materialnych pani i pani matki.

— To żadna tajemnica, panie Poirot. Wszyscy próbowaliśmy wydusić pieniądze z Rosaleen. Czy to ma pan na myśli?

— Tak się nie wyraziłem.

— Ale to prawda. Pewnie pan słyszał również plotki o mnie, Rowleyu i Dawidzie?

— Przecież pani wychodzi za Rowleya Cloada?

— Za Rowleya Cloada? Ba! Chciałabym to wiedzieć. Próbowałam się zdobyć na decyzję tamtego wtorku, kiedy Dawid wybiegł z zagajnika. W głowie miałam wielki znak zapytania. Iść naprzód czy się cofnąć? Nawet pociąg jadący doliną miał jak gdyby podobne wątpliwości. Dym rysował na niebie znak zapytania.

Poirot zrobił zdziwioną minę, którą Lynn zrozumiała niewłaściwie.

— Nie pojmuję pan, panie Poirot, jakie to wszystko trudne? — zapytała. — Nie chodzi o Dawida, ale o mnie. To ja się zmieniałam! Byłam w świecie trzy... cztery lata. Teraz wróciłam, zupełnie inna niż dawniej. To powszechny dramat. Ludzie wracają, do kraju odmienieni. Muszą przystosować się na nowo. Niepodobna uniknąć przemiany w dalekich krajach, w całkiem innych warunkach życia.

— Myli się pani — rzekł Poirot. — Dramat życiowy polega na tym, że ludzie się nie zmieniają.

Spojrzała nań ze zdziwieniem i zaprzeczyła gestem głowy.

— Ależ tak, tak! — upierał się mały Belg. — Przede wszystkim, dlaczego pani wyjechała z kraju?

— Ja? Wstąpiłam do Marynarki Królewskiej. Wyjechałam służbowo.

— Rozumiem. Ale dlaczego wstąpiła pani do wojska? Była pani zaręczona. Miała narzeczonego. Mogła zając się jakąś pracą na farmie, tutaj, w Warmasley Yale.

— Zapewne mogłam, ale nie chciałam.

— Woląta pani wyrwać się, pojechać za granicę, poznać inne życie. Być może chciała pani uciec od Rowleya Cloada... Teraz jest pani niespokojna i chce uciekać znowu. O nie, mademoiselle, ludzie się nie zmieniają!

— Kiedy byłam tam na Wschodzie, tęskniłam za domem — broniła się dziewczyna.

— Oczywiście. Pragnęła pani być tam, gdzie pani wtedy nie była. To już zapewne nieodmienna pani cecha. Tworzyła pani piękny obraz Lynn Marchmont wracającej do kraju. Ale to był obraz fałszywy, bo przedstawiał Lynn Marchmont nie prawdziwą, ale taką, jaką pani sobie wymarzyła: osobę, którą pani pragnęłaby zostać.

— Więc zdaniem pana, panie Poirot, nigdy i nigdzie nie będę zadowolona? — zapytała z goryczą.

— Tego nie powiedziałem. Twierdzą tylko, że wyjeżdżając z Anglii była pani niezadowolona ze swoich zaręczyn, a teraz, po powrocie, jest z nich pani nadal niezadowolona.

Lynn zerwała liść i zaczęła go żuć bezwiednie.

— Dobrze pan poinformowany — szepnęła.

— Wymaga tego mój zawód — odrzekł skromnie.

— I jeszcze jedna prawda, której pani sobie nie uświadomiła.

— Myśli pan o Dawidzie? — rzuciła szorstko. — Sądzi pan, że jestem w nim zakochana?

— Tę kwestię winna pani rozstrzygnąć sama — odrzekł dyskretnie Poirot.

— Nie mogę jej rozstrzygnąć! — wybuchnęła Lynn.

— Jedno w nim mnie odstręcza, drugie pociąga... Nie wiem! — umilkła na moment, aby podjąć żywo. — Wczoraj rozmawiałam z jego dowódcą, brygadierem. Przyjechał tutaj na wiadomość o aresztowaniu. Myślał, że zdoła mu pomóc. Opowiadał o jego niebywałej odwadze. Mówił, że nie miał chyba pod swoim dowództwem waleczniejszego żołnierza. Szczerze go chwalił, ale mimo wszystko odnosiłam wrażenie, że nie jest pewien, tak na sto procent, czy on jednak nie popełnił tego morderstwa.

— Pani też nie jest pewna? — zapytał Poirot.

— Nie... — uśmiechnęła się boleśnie. — Od początku nie ufałam Dawidowi. Czy można kochać kogoś, komu się nie ufa?

— Niestety, można.

— Byłam niesprawiedliwa dla Dawida, ponieważ mu nie ufałam — ciągnęła panna Marchmont. — Wierzyłam chwilami w krążące po okolicy ohydne plotki. Ludzie szeptali, że on wcale nie jest Dawidem Hunterem, tylko... kochankiem Rosaleen. Strasznie mi się wstyd zrobiło, kiedy brygadier powiedział, że znał Dawida w Irlandii, jako małego chłopca.

— C'est épatant* — mruknął półgłosem Poirot. Ludzie nie wiedzą, że każdy kij ma dwa końce!

— Co pan ma na myśli?

— Nic więcej, niż powiedziałem. Czy pani Cload, żona lekarza, telefonowała do pani tej nocy, gdy popełniono morderstwo?

— Ciotka Kate? Tak, telefonowała.

— Po co?

— Chodziło jej o wyjaśnienie jakichś niedociągnięć w rachunkach. Ona zawsze robi bałagan.

— Mówiła z domu?

— Nie. Jej aparat był uszkodzony. Dzwoniła z automatu.

— O dziesiątej dziesiątej?

— Mniej więcej. Nasze zegarki chodzą zawsze jak im się podoba.

— Później miała pani jeszcze jedną rozmowę?

— Tak — rzuciła bez komentarza Lynn.

— Dawid Hunter telefonował do pani z Londynu?

— Tak. Myślę, że chce pan wiedzieć, co mi mówił.

— Nie ośmieliłbym się...

— Ależ to żaden sekret! Mówił, że wyjedzie z Anglii, zniknie z mojego życia. Mówił, że my nie pasujemy do siebie, że nie potrafiłby chodzić prostymi drogami, nawet przez wzgląd na mnie.

— Słowa te nie spodobały się pani, bo najprawdopodobniej zawierają prawdę — powiedział mały Belg.

— Mam nadzieję, że Dawid wyjedzie... to jest, oczywiście, jeżeli będzie uniewinniony. Liczę, że wyjadą oboje do Ameryki czy dokądkolwiek. Wtedy, być może, przestaniemy o nich myśleć, nauczymy się stać na własnych nogach. Skończy się ta zła wola.

— Zła wola?

— Tak. Pierwszy raz wyczułam złą wolę na przyjęciu u ciotki Kate. Może dlatego, że dopiero co wróciłam do kraju i byłam szczególnie rozstrojona... Czy ja wiem? W każdym razie czułam, że Atmosfera wokół nas wszystkich jest nasycona złą wolą w stosunku do niej... do Rosaleen. Wszyscy, wszyscy bez wyjątku życzyliśmy jej śmierci. Rozumie pan? To straszne życzyć śmierci komuś, kto nie zrobił nam nic złego.

— Jej śmierć to niewątpliwie jedno, co naprawdę mogłoby państwu pomóc — stwierdził rzeczowo Poirot.

— Ma pan na myśli stronę finansową zagadnienia. To nie wszystko, panie Poirot. Sama obecność Rosaleen tutaj szkodzi nam wszystkim pod wieloma względami. Zazdrość, niechęć, nadszkalowanie komuś, kogo ma się za nic! Takie historie nikomu nie mogą wyjść na korzyść. A teraz Rosaleen została sama w „Furrowbank”. Wygląda jak widmo, jak gdyby bała się czegoś śmiertelnie i była bliska utraty zmysłów. Mój Boże! A od nas nie chce przyjąć pomocy, żadnej pomocy! Wszyscy próbowali. Moja matka prosiła ją, żeby zamieszkała u nas. Z podobną propozycją wystąpiła Frances. Nawet ciotka Kate wyraziła gotowość dotrzymania jej towarzystwa w „Furrowbank”. Ale ona nie chce mieć z nami nic do czynienia. Wcale się jej nie dziwię. Nie chciała przyjąć nawet brygadiera Conroya. Myślę, że jest chora z rozpacz, strachu, troski. A my nic dla niej nie robimy, bo ona niczego od nas nie chce.

— Czy pani próbowała... osobiście?

— Tak. Poszłam do niej wczoraj. Zapytałam, czy nie mogłabym czegoś dla niej zrobić. Spojrzała na mnie... — Lynn urwała, wzdrgnęła się nerwowo. — Myślę, że Rosaleen mnie nienawidzi. Powiedziała: „Pani ostatnia ze wszystkich”. Zapewne Dawid kazał jej tkwić w „Furrowbank”. Posłuchała go. Ona zawsze robi to, co każe Dawid. Rowley zaniósł jej masło i jaja z „Long Willows”. Zdaje mi się, że z całej naszej rodziny Rosaleen uznaje tylko jego. Podziękowała mu. Powiedziała, że zawsze był dla niej dobry. Słusznie! Rowley jest dobry.

— Można mieć dla kogoś wiele współczucia, litości — powiedział Poirot. — Dotyczy to szczególnie ludzi, którzy muszą dźwigać ciężar nad siły. Mnie żal serdecznie Rosaleen Cload. Chętnie pośpieszyłbym jej z pomocą, bardzo chętnie. Nawet teraz, gdyby chciała mnie posłuchać... — urwał i ożywił się nagle. — Chodźmy, mademoiselle Chodźmy do „Furrowbank”!

— Życzy pan sobie, abym i ja poszła?

— Jeżeli potrafi pani być wspaniałomyślna i wyrozumiała...

— Potrafię! — zawołała Lynn. — Z pewnością potrafię!

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Spacer do „Furrowbank” zajął niewiele ponad pięć minut. Droga wjazdowa biegła kretko szpalerem wspaniałych rododendronów. Gordon Cload nie żałował starania i kosztów, by uczynić z „Furrowbank” wspaniałą rezydencję.

Pokojówka, która otworzyła drzwi frontowe, była zdziwiona widokiem gości i wyraziła wątpliwość, czy zostaną przyjęci. Powiedziała, że pani Cload jeszcze nie wstała... Mimo to poprosiła ich do salonu i ruszyła na piętro z biletem wizytowym Herkulesa Poirota.

Mały Belg rozejrzał się dokoła i porównał ów pokój z przytulnym salonem Frances Cload, który mówił tak wiele o pani domu. Salon w „Furrowbank” był pozbawiony indywidualności: informował jedynie o bogactwie okiełznanym cokolwiek dobrym smakiem Gordona Cloada. Całość była w najwyższym gatunku i bez zarzutu z punktu widzenia estetyki. Nic jednak nie świadczyło o indywidualnym wyborze, p osobistych gustach właścicielki. Bez wątpienia Rosaleen nie wywarła najmniejszego bodaj wpływu na charakter tej reprezentacyjnej komnaty. Mieszkała w „Furrowbank” tak, jak bogaty cudzoziemiec w „Ritzu” lub „Savoyu”.

„Ciekaw jestem — pomyślał Poirot — czy tamta...”

Lynn wyrwała go z zadumy pytaniem, o czym myśli i dlaczego ma tak posępną minę.

— Zaplątą za grzech, mademoiselle — odrzekł — bywa podobno śmierć. Czasami jednak, jak się okazuje, może nią być bogactwo i przepych. Nie wiem, co gorsze? Zostać odciętym od swojego życia domowego, widzieć tylko jego cień z dala i zdawać sobie sprawę, że droga zamk... .

Urwał w pół słowa, gdyż do salonu wbiegła pokojówka. Zapomniała tym razem o godnym, protekcyjnym tonie. Była tylko przerażoną kobietą w średnim wieku. Jąkała się, dławiła słowami, które trudno jej było wymówić.

— Proszę panienki! Mój Boże! Nasza pani... na gorze... Proszę pana! Nie można jej obudzić... Nie odpowiada... Mój Boże!... Ręka jak lód!...

Poirot zerwał się żywo i wybiegł z pokoju. Lynn i służąca pospieszyły jego śladem. Na piętrze pokojówka wskazała otwarte drzwi naprzeciw schodów.

Sypialnia była przestronna i urządzona z przepychem. Blask słońca wpływał przez otwarte okno i złościł piękny jasny dywan. Na wielkim rzeźbionym łóżku leżała Rosaleen. Spała na pozór. Jej długie ciemne rzęsy dotykały policzków;

głowa spoczywała na poduszce w naturalny sposób. W dłoni ścisnęła zgniecioną małą chusteczkę. Pani Cload czyniła wrażenie dziecka, które płacz ukołysała do snu.

Poirot chwycił jej rękę, poszukał tętna. Lodowaty chłód potwierdził narzucające się nieodparcie przypuszczenie.

— Nie żyje od pewnego czasu — zwrócił się mały Belg do panny Marchmont. — Umarła we śnie.

— Mój Boże! Proszę pana... — pokojówka rozszlochała się na dobre. — Co my teraz zrobimy?

— Kto był jej lekarzem?

— Wuj Lionel — odpowiedziała Lynn.

— Proszę zatelefonować zaraz do doktora Cloada — polecił służącej Poirot.

Zapłakana kobieta wyszła, a mały Belg jął myszkować po pokoju. Na szafce nocnej stało tekturowe pudełeczko z napisem: „Jeden proszek dziennie przed snem”. Ujął je przez chustkę i otworzył. Pozostały jeszcze trzy proszki. Następnie podszedł do kominka, obejrzał półkę nad nim i ruszył w stronę damskiej sekretery. Krzesło było od niej odsunięte. Na blacie leżał otwarty bibularz i ćwiartka białego papieru zagryzmołona niewprawnym, jak gdyby dziecięcym charakterem pisma.

„Nie wiem co począć... Tak dłużej być nie może... Zgrzeszyłam ciężko... Muszę powiedzieć o tym komuś... Muszę odzyskać spokój... Na początku nie chciałam tak grzeszyć. Nie wiedziałam, co z tego będzie... Muszę napisać, że...”

Następny wyraz ginął pod kleksem. Pióro leżało w poprzek kartki, jak je rzucono. Poirot przyglądał się skreślonym niedoładnie zdaniom. Lynn stała obok łóżka. Nie mogła oderwać wzroku od zmarłej.

Wtem drzwi otwarły się z trzaskiem i do pokoju wbiegł Dawid Hunter.

— Dawid! — Lynn skoczyła ku niemu. — Wypuścili cię! Jak to dobrze!

Nie słuchał. Brutalnym gestem usunął ją z drogi i bez tchu pochylił się nad nieruchomą białą postacią.

— Rosa, Rosaleen... — szepnął i dotknął zimnej dłoni. Później odwrócił się i spojrzał na Lynn Marchmont.

Jego twarz gorzała niepohamowanym gniewem. Głos brzmiał głęboko, groźnie.

— A więc zabiliście ją mimo wszystko. Usunęliście przeszkodę. Ja byłem pierwszy! Posłaście mnie do kryminału pod fałszywym zarzutem. Później zrobiliście naradę i ją sprzątnęli z drogi. Kto jest winien? Wy wszyscy czy tylko jedno z was? Mniejsza o to! Odpowiedzialni jesteście wszyscy! Chcieliście tych przeklętych pieniędzy. Teraz je macie. Macie dzięki jej śmierci! Koniec waszym kłopotom, podli złodzieje, mordercy! Nie martwcie się. Będziecie bogaci. Nie mogliście jej dosięgnąć, póki ja byłem w pobliżu. Wiedziałem, jak pilnować siostry. Ona nie potrafiła nigdy dbać o siebie. Została sama, no i skorzystaliście z okazji — urwał, zachwiał się lekko i rzucił stłumionym, drżącym głosem. — Mordercy... mordercy!

— Nie, Dawidzie — zawołała Lynn. — Mylisz się. Nikt z nas jej nie zabił. Nikt z nas nie popełniłby takiej zbrodni.

— Zabił ją ktoś z was, Lynn Marchmont. Wiesz o tym równie dobrze, jak ja.

— Przysięgam, że to nie my! Przysięgam, Dawidzie!

— Może i nie ty... nie wy... — szaleństwo występowało w jego wzroku.

— Nie my, Dawidzie! Gotowa jestem przysiąc. Poirot postąpił krok naprzód i zakasłał dyskretnie. Hunter odwrócił się gwałtownie w jego stronę.

— Sądzę — odezwał się słynny detektyw — że pańskie podejrzenia są nieco zbyt dramatyczne. Czemu zakładać z góry, że pani Cload została zamordowana?

— A pan jest innego zdania? Czy to — wskazał postać spoczywającą na łóżku — sprawia wrażenie śmierci naturalnej? Rosaleen cierpiała na nerwy, ale poza tym była zdrowa. Serce miała w porządku.

— Wczoraj wieczorem — podjął Poirot — zanim się położyła, pisała przy tej sekretarce...

Dawid zrobił kilka spiesnych kroków i pochylił się nad arkusikiem papieru.

— Nie dotykać! — ostrzegł go Poirot.

Młody człowiek cofnął wyciągniętą rękę i odczytał luźne zdania stojąc bez ruchu. Później odwrócił głowę i spojrzał bystro na małego Belga.

— Podejrzewa pan samobójstwo? — zapytał. — Ale dlaczego Rosaleen miałyby odebrać sobie życie?

Odpowiedział mu nie Poirot, lecz komisarz Spence, który od pewnego czasu stał w drzwiach sypialni.

— Przypuśćmy, że w zeszły wtorek wieczorem pani Cload nie była w Londynie, lecz w Warmsley Yale.

Przypuśćmy, że odwiedziła człowieka, który ją szantażował. Przypuśćmy, że zabiła go pod wpływem chwilowego szału...

Dawid odwrócił się i spojrzał na policjanta. Z jego oczu wyjrzała twarda nienawiść.

— W zeszły wtorek moja siostra była w Londynie. O jedenastej zastałem ją w naszym mieszkaniu.

— Tak — odrzekł Spence. — To pańska wersja. Nie wątpię, panie Hunter, że będzie pan przy niej obstawał. Ale ja nie mam obowiązku panu wierzyć. Zresztą dyskusja jest nieco spóźniona — postąpił w stronę łóżka i spojrzał na zmarłą. — Ona nie stanie nigdy przed sądem.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Spence siedział za biurkiem w swoim pokoju na posterunku policji. Przez szerokość blatu spoglądał na Herkulesa Poirota.

— Hunter nie przyzna tego nigdy — mówił — ale moim zdaniem wie, że to jego siostra zabiła Trentona. Dziwna historia! Tak troskliwie sprawdziliśmy jego alibi, o niej jednak nikt nie pomyślał! A nie mamy przecież potwierdzenia, że wtorkowy wieczór spędziła w londyńskim mieszkaniu. Dowodem na tę okoliczność są jedynie słowa jej brata. Od początku wiemy, że tylko dwie osoby mogły mieć powód, by pozbyć się Ardena: Dawid Hunter i Rosaleen Cload. Na oślep skoczyłem jego tropem, a ją minąłem. Cóż, wydawała się słabą, nieśmiałą istotą, może nawet trochę niespełna rozumu. Ale to usprawiedliwia mnie tylko częściowo. Zapewne Dawid Hunter wiedział, dlaczego trzeba na gwałt wyprawić siostrę do Londynu. Znał ją i zdawał sobie sprawę, że opanowana strachem może być niebezpieczna. I jeszcze jeden znamieny szczegół. Często widywałem panią Cload w pomarańczowej sukni. To był jej ulubiony kolor. Nosiła pomarańczowe chustki, suknię w pomarańczowe pasy, pomarańczowy beret. Pani Leadbetter powiedziała wyraźnie, że tajemnicza kobieta miała na głowie pomarańczową chustkę. Mimo to jednak nie przyszło mi na myśl, że to mogła być Rosaleen Cload. Jestem zdania, że brakowało jej piątej kleпки i nie odpowiadała w pełni za swoje czyny. Potwierdza to jej zachowanie w kościele, o czym pan mi mówił. Niewątpliwie była przerażona i dręczyły ją wyrzuty sumienia. Rozumie pan, miała poczucie winy.

— Słusznie — zgodził się Poirot. — Rosaleen Cload miała poczucie winy.

— Ardena musiała zaatakować w przystępie chwilowego szału — ciągnął z namysłem Spence. — Biedak nie podejrzewał wcale, co mu grozi. Nie miał się na bacności w towarzystwie tak delikatnej, drobnej, młodej kobiety. — Urwał na chwilę i po zastanowieniu mówił dalej. — Jednego nie mogę nadal rozgryźć. Kto trafił do Portera? Twierdzi pan, że nie Frances Cload. Ja jestem przeciwnego zdania.

— Nie — odrzekł słynny detektyw. — To nie ona. Zaprzeczyła stanowczo i uwierzyłem jej. Ale ja głupi! Głupi! Powinienem był wiedzieć od dawna. Major Porter mi powiedział!

— Powiedział panu?

— Oczywiście pośrednio. Nie zdawał sobie sprawy, że się zdradza.

— Więc kto do niego trafił?

Poirot zerknął spod oka na komisarza i pochylił w bok głowę.

— Pozwoli pan, że najprzód poruszę dwie kwestie?

— Ile pan, zechce, panie Poirot.

— Jakie to proszki — miała przy łóżku Rosaleen Cload?

— Proszki? Aa... Zupełnie nieszkodliwe. Brom na uspokojenie nerwów. Naturalnie poszły do laboratorium. Analiza nic nie wykazała.

Komisarz był wyraźnie zdziwiony.

— Kto je zalecił i dostarczył? — podjął słynny detektyw.

— Doktor Cload.

— Kiedy?

— Dosyć dawno.

— Jaka trucizna była przyczyną zgonu?

— Nie otrzymaliśmy dotąd formalnego orzeczenia, ale wydaje mi się, że nie ma wątpliwości. Morfina i to w końskiej dawce.

— Czy w „Furrowbank” znaleziono morfinę? — indagował dalej Poirot.

Spence zerknął nań spod oka.

— Nie. Do czego pan zmierza?

— Do mojej drugiej kwestii — odrzekł wymijająco Poirot. — We wtorek wieczorem Dawid Hunter telefonował z Londynu do Lynn Marchmont. Połączenie nastąpiło o jedenastej pięć. Mówił pan, że sprawdzono wszystkie rozmowy. To był jedyny telefon międzymiastowy z „Shepherd’s Court”. A czy był jakiś telefon międzymiastowy do mieszkania Rosaleen?

— Jeden. Kwadrans po dziesiątej z automatu ulicznego w Warmesley Yale.

— Aha... — słynny detektyw umilkł na moment.

— Ołśniła pana jakaś wielka myśl, panie Poirot? — zapytał komisarz.

— Czy odbyła się rozmowa? To znaczy, czy telefonistka połączyła się z kimś w Londynie?

— Rozumiem. Ktoś w takim razie musiał być w mieszkaniu. Oczywiście nie Dawid, który o dziesiątej piętnaście jechał pociągiem do Londynu. Wygląda na to, że telefonistce odpowiedziała Rosaleen Cload. A zatem Rosaleen Cload nie mogła być „Pod Jeleniem” o kilka minut wcześniej. Wiem już, do czego pan zmierza, panie Poirot. Chce pan dowiedzieć, że młodą osobą w pomarańczowej chustce nie była Rosaleen Cload. Jeżeli tak jest istotnie, nie ona zamordowała Karola Trentona. Ale dlaczego w takim razie odebrała sobie życie?

— Odpowiedź nie nastręcza trudności. Rosaleen Cload nie popełniła samobójstwa. Została zamordowana.

— Co takiego?

— Została zamordowana z premedytacją i zimną krwią.

— Ale kto zabił Ardena? Wyeliminowaliśmy Dawida...

— I słusznie — podchwycił mały Belg.

— A teraz pan, panie Poirot, wyeliminował Rosaleen. Do licha! Tylko tych dwoje miało bodaj cień motywu!

— Cień motywu — powtórzył wolno Poirot. — Właśnie to sprowadziło nas na manowce. Jeżeli A ma motyw, by zabić C, natomiast B ma motyw by zabić D, podejrzenie, że A zabił D, zaś B zabił C, może wydać się absurdem.

— Powoli, panie Poirot, powoli — zabrał głos komisarz. — Nie chwyciłem jeszcze sensu pańskiego abecadła.

— To zawiła historia, Spence, bardzo zawiła. Bo, widzi pan mamy do czynienia z dwoma zbrodniarzami całkiem odmiennych kategorii. Cóż stąd wynika? W grze biorą udział, muszą brać udział dwaj mordercy. Wchodzi Pierwszy Morderca. Wchodzi Drugi Morderca.

— Przestań pan cytować Szekspira. To nie elżbietański dramat.

— Ale szekspirowski, niezawodnie szekspirowski — podchwycił Poirot. — Nie brak w nim namiętności, ogólnoludzkich namiętności, w których lubował się Szekspir. Jest zazdrość, nienawiść, gwałtowny wybuch pod wpływem nagłego impulsu... Jest również oportunizm uwieńczony na pozór powodzeniem. „Pora przypiływu stosownie schwyta wiedzie do szczęścia...” Ktoś działał, panie Spence, wychodząc z takiego właśnie założenia. Chwycił okazję i wykorzystał do własnych celów. Wykorzystał z nie byle jakim sukcesem i to, że się tak wyrażę, tuż przed pańskim nosem, komisarzu.

Spence potarł nerwowo nos.

— Proszę mówić do rzeczy, panie Poirot. Nie mógłby pan wyjaśnić, o co właściwie chodzi?

— Mógłbym. Będę przejrzysty niczym kryształ. Mamy trzy zgony. Zgadza się pan, prawda? Troje ludzi nie żyje.

— Oczywiście... — Spence zrobił zdziwioną minę. — Nie zechce mi pan chyba wmówić, że jedna z tych osób żyje?

— Nie, nie! — zaprzeczył żywo słynny detektyw. — Wszystkie umarli. Ale jak umarli? Innymi słowy, jak należy zakwalifikować te trzy zgony?

— Zna pan, panie Poirot, mój pogląd na tę sprawę. Dwa samobójstwa i jedno morderstwo. Natomiast według pana ostatnie samobójstwo jest drugim morderstwem.

— Według mnie — odrzekł mały Belg — w grę wchodzi jedno samobójstwo, jeden przypadek i jedno morderstwo.

— Przypadek? Sądzi pan, że Rosaleen Cload otruła się przypadkiem? A może major Porter przypadkiem w łeb sobie palnął?

— Nie. Przypadkiem była śmierć Karola Trentona vel Enocha Ardena.

— Ładny przypadek! — zawołał Spence. — Pan nazywa przypadkiem szczególnie brutalne morderstwo? Przecież zbrodniarz pogruchotał czaszkę ofiary kilkoma ciosami! Ładny przypadek!

Poirot nie przejął się gwałtownym wybuchem komisarza i wyjaśnił spokojnie:

— Mówiąc „przypadek”, mam na myśli fakt, że zabójca nie miał zamiaru uśmiercić Ardena.

— Nie miał zamiaru, ale roztrzaskał mu czaszkę! Czy chodzi o to, że morderstwa dokonał szaleniec?

— To może być bliskie prawdy, lecz nie w takim sensie, jak panu się wydaje.

— Rosaleen Cload była jedyną trochę pomyloną osobą w naszej sprawie. Czasami wyglądała naprawdę bardzo dziwnie. Oczywiście, jest jeszcze pani Lionelowa. Ta ma również nie wszystkie klepki po kolei, ale nigdy nie zdradzała objawów furii. Żona pana Jeremiasza ma głowę na właściwym miejscu... Aha! Nawiasem mówiąc, pan stanowczo twierdzi, że to nie ona przekupiła Portera?

— Nie. Wiem, kto to zrobił. Jak już wspomniałem, sam Porter mi powiedział. Do licha! Warto mi wsypać baty za to, że nie zorientowałem się w porę!

— Czy i Rosaleen Cload padła ofiarą mordercy z pańskiego abecadła? — rzucił Spence tonem wyraźnego powątpiewania.

— Nic podobnego. Właśnie w tej scenie dramatu wychodzi Pierwszy Morderca, a Drugi odchodzi. Mamy do czynienia ze zbrodnią zgoła odmiennego typu: bez uniesienia, bez pasji. Jest to morderstwo z premedytacją i moja w tym głowa, komisarzu Spence, by morderca Rosaleen Cload zawisnął na szubienicy.

Z tymi słowy słynny detektyw wstał i ruszył w stronę drzwi.

— Hola! — zawołał Spence. — Chciałbym usłyszeć parę nazwisk. Niech pan mnie nie porzuca!

— Wkrótce wyjawię wszystko. Ale, Spence, czekam jeszcze na coś... aby być ścisłym, na list z za morza.

— Niech pan nie gada jak wróżka z jarmarcznej budy. Hej, Poirot!

Jednakże mały Belg zdążył już się wymknąć.

Zdecydowanym krokiem przeszedł na przeciwległą stronę placu i zadzwonił do drzwi domu doktora Cloada. Otworzyła mu ciotka Kate i jak zwykle na jego widok wydała stłumiony okrzyk. Tym razem Poirot nie tracił czasu.

— Madame, muszę z panią pomówić — rzucił.

— Oczywiście... Pan pozwoli dalej... Niestety, miałam mało czasu na sprzątanie, ale...

— Chciałbym spytać panią o jedno. Od jak dawna pani mąż jest morfinistą?

Ciotka Kate wybuchnęła płaczem.

— Mój Boże! O, mój Boże! Tak liczyłam, że nikt się nie dowie! Zaczął podczas wojny. Był potwornie przepracowany, rozbity nerwowo. Ostatnio stara się zmniejszyć dozy. Naprawdę stara się, panie Poirot. Właśnie dlatego jest często strasznie drażliwy.

— Morfina to jeden z powodów, dla których doktorowi potrzeba dużo pieniędzy?

— Zapewne, panie Poirot, zapewne... Mój Boże! Lionel obiecał mi, że podda się kuracji...

— Proszę się uspokoić, madame — przerwał Poirot — i odpowiedzieć mi łaskawie na jedno pytanie. W tamten wtorek wieczorem telefonowała pani do Lynn Marchmont. Skorzystała pani wtedy z automatu przed urzędem pocztowym, prawda? Czy na placu widziała pani kogoś?

— Nie, panie Poirot. Ani żywej duszy.

— Słyszałem, że musiała pani pożyczyć dwa pojedyncze pensy, bo miała pani tylko półpensówki.

— A tak, tak! Zwróciłam się do jakiejś kobiety, która wyszła właśnie z budki telefonicznej. Była bardzo uprzejma. Dała mi dwa pensy za jedną półpensówkę.

— Jak ta kobieta wyglądała?

— Trochę teatralnie. Rozumie pan chyba, co mam na myśli? Pomarańczowa chustka na głowie i w ogóle... Dziwna historia! Ciągłe mi się zdaje, że już ją gdzieś widziałam. Taka znajoma twarz... Mój Boże! To był zapewne ktoś, kto odszedł z tego świata. Ale widzi pan, że nic nie mogę sobie przypomnieć, gdzie i kiedy się z nią zetknęłam.

— Bardzo dziękuję, madame — zakończył rozmowę Herkules Poirot.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Lynn Marchmont wyszła z domu i spojrzała na niebo.

Słońce zniżyło się ku zachodowi. Na widnokręgu nie było purpury, lecz dziwna, niesamowita jasność. Bezwietrzny, parny wieczór. Dziewczyna pomyślała, że nadciąga burza.

Przyszła pora. Dłużej nie można zwlekać. Musi pójść do „Long Willows”, powiedzieć Rowleyowi. Słusznie mu się to należy. Nie chciała przecież uniknąć rozmowy, skorzystać z nieporównanie łatwiejszego listu.

Była zdecydowana, zupełnie zdecydowana. Powtarzała to sobie, a przecież odczuwała jakiś szczególny opór. Rozejrzała się wokół i pomyślała:

„Wkrótce pożegnaję to wszystko: mój własny świat, mój własny styl życia”.

Nie miała złudzeń. Życie z Dawidem to hazard, przygoda, która może się zakończyć źle albo dobrze. On sam przecież ostrzegął...

Ostrzegął przez telefon tej nocy, gdy popełniono morderstwo. Ale dziś przed paroma godzinami mówił:

— Naprawdę chciałem usunąć się z twojego życia. Byłem szalony. Łudziłem się, że potrafię odejść od ciebie, Lynn. Pojedziemy do Londynu i z miejsca weźmiemy ślub, za specjalnym zezwoleniem. Nie zostawię ci czasu do namysłu. O, nie! Tkwisz tutaj mocno, ale ja cię stąd wyrwę — umilkł na chwilę, by podjąć. — Rowleyowi oznajmimy nowinę, kiedy już zostaniesz panią Hunter. Biedaczysko! Ale tak będzie najlepiej.

Lynn nie mogła zgodzić się na takie rozwiązanie, jakkolwiek zrazu nic nie odpowiedziała. Nie. Rowleya musi zawiadomić sama. Teraz właśnie szła do „Long Willows”.

Zaczynała się burza, kiedy Lynn zastukała do drzwi Rowleya. Otworzył je i zrobił zdziwioną minę.

— Lynn? Dlaczego nie zadzwoniłaś, że się do mnie wybierasz? Przecież mogłem wyjść dokądś.

— Chcę z tobą pomówić, Rowley.

Ustał przy progu i poszedł za nią do obszernej kuchni. Na stole widać było resztki kolacji.

— Zainstaluj się tutaj kuchenkę stałopalną, no i trzeba pomyśleć o nowym zlewozmywaku. Łatwiej ci będzie gospodarować i...

— Nie rób planów, Rowley — przerwała.

— Czy dlatego, że tej biednej małej jeszcze nie pochowano? To istotnie zakrawa na brak serca. Ale ona nie była przecież szczęśliwa. Wyglądała na chorowitą. Nie mogła przyjść do siebie po tym przeklętym nalocie. Tak czy inaczej, stało się. Rosaleen umarła i dzięki temu życie stało się łatwiejsze dla mnie czy raczej dla nas...

— Nie, Rowley — przerwała znowu Lynn i odetchnęła głęboko. — Nie ma już „nas”. Przyszłam, żeby ci to powiedzieć.

Spojrzał na nią pytającym wzrokiem, ona zaś podjęła pewnie, chociaż w tej chwili odczuwała wstręt do siebie:

— Wychodzę za Dawida Huntera.

Nie wiedziała, czego ma oczekiwać: błagań czy wybuchu gniewu. W każdym razie nie spodziewała się takiej reakcji, jaka nastąpiła.

Rowley przyglądał się jej przez chwilę bez słowa, następnie poprawił pogrzebaczem ogień pod płytą i z roztargnioną miną wrócił na dawne miejsce.

— Zaraz, zaraz — powiedział. — Wyjaśnijmy tę sprawę. Wychodzisz za Dawida Huntera. Dlaczego?

— Ponieważ go kocham.

— Przecież ty mnie kochasz.

— Nie. Kochałam cię, gdy wyjeżdżałam z Anglii. Ale od tego czasu minęły cztery lata. Zmieniłam się. Zmieniliśmy się obydwój.

— Mylisz się — odparł spokojnie. — Ja się nie zmieniłem.

— Może mniej niż ja, ale zawsze...

— Nie zmieniłem się wcale. Nie było po temu racji. Przez cały czas harowałem tutaj. Nie skakałem na spadochronie, nie wspinałem się nocą na nadmorskie skały, nie dźgałem ludzi nożem...

— Rowley!

— Nie byłem w wojsku. Nie walczyłem. Nie wiem, co to wojna. Wygodnie i bezpiecznie żyłem sobie na farmie. Szczęśliwy Rowley! Ale mieć takiego męża byłoby ci wstyd!

— Ach, nie, nie! Wcale nie o to chodzi.

— Ależ o to, o to! Ja ci powiadam, że o to! Przynął się do Lynn. Kark mu poczerwieniał, żyły na czole wystąpiły. W oczach miał dziwny wyraz... Lynn widziała raz podobne oczy, kiedy przechodziła na pastwisku koło buhaja, który przestępując z nogi na nogę wolno pochylał głowę z ogromnymi rogami: pobudzał się do gniewu, do ślepej furii.

— Milcz teraz, Lynn. Mnie posłuchaj dla odmiany. Straciłem coś, co powinno mi przypaść w udziale. Nie miałem sposobności walczyć za ojczyznę. Mój najlepszy przyjaciel poszedł na wojnę i zginął. Moja dziewczyna... Rozumiesz? Moja dziewczyna przebrała się w mundur i odjechała za morza. A ja patrzyłem na to! Rozumiesz? Patrzyłem! Byłem „chłopcem, który pozostał w domu”. Moje życie stało się piekłem! Tak, piekłem, Lynn. Później wróciłaś i znalazłem się w jeszcze gorszym piekle. Wiesz od kiedy? Od tego przyjęcia u ciotki Kate, kiedy musiałem patrzeć przez stół na ciebie i Dawida Huntera. Ale on ciebie nie dostanie! Słyszysz? Nie chcesz być moją, to nie będziesz niczyją. Za kogo ty mnie masz, Lynn?

— Rowley!

Wstała z krzesła. Zaczęła cofać się powoli. Strach ją ogarniał. Zrozumiała, że ma przed sobą nie człowieka już, lecz drapieżną bestię.

— Zabiłem dwu ludzi — podjął Rowley Cload. — Myślisz, że nie stać mnie na trzecie morderstwo?

— Rowley!

Rzucił się na nią. Chwycił za gardło.

— Nie zniosę tego, rozumiesz...

Uścisk przybierał na sile. Mrok... Izba wiruje wokół... Bolesne dławienie i ciemność, nieprzenikniona ciemność... Nagle odezwał się kaszel — stłumiony, trochę nienaturalny kaszel.

Rowley skamieniał. Ręce opadły mu bezwładnie. Lynn, uwolniona z morderczego uścisku, osunęła się na podłogę. W otwartych drzwiach stał Herkules Poirot i pokasływał sztucznie, jak gdyby się usprawiedliwiał.

— Sądzę, że nie przeszkodziłem państwu? — powiedział. — Stukałem. Słowo daję, stukałem, ale nie otrzymałem odpowiedzi. Widocznie państwo byli bardzo zajęci?

Atmosfera była napięta. Rowley stał bez mchu. Przez moment mogło się zdawać, że skoczy na intruza. Ale odwrócił się i powiedział głucho:

— Zdążył pan w samą porę.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Herkules Poirot z właściwym mu talentem rozładował atmosferę brzemienną grozą.

— Woda się gotuje? — zapytał.

— Tak — odpowiedział Rowley tępo, bezmyślnie. — Gotuje się.

— To może zaparzy pan kawę. Albo herbaty, jeżeli to mniejszy kłopot.

Młody farmer posłuchał jak automat. Poirot dobył z kieszeni dużą czystą chustkę, zwilżył zimną wodą i podał Lynn.

— Służę, mademoiselle — powiedział. — Proszę owinąć szyję. O, tak. Mam agrafkę, oczywiście. W porządku. Zaraz ból złagodnieje.

Dziewczyna podziękowała słabym, ochrypłym głosem. Wszystko zdawało się koszmarem: kuchnia w „Long Willows” i Poirot krzający się żywo. Strasznie bolało ją gardło. Czuliła, że jest ciężko chora. Z wysiłkiem dźwignęła się na nogi. Mały Belg podprowadził ją i ostrożnie usadowił w fotelu.

— Teraz dobrze — szepnęła i dorzuciła przez ramię. — Co z kawą?

— Gotowa — odparł Rowley wskazując dzbanek. Poirot napełnił filiżankę i zaniósł Lynn.

— Słuchaj pan! — odezwał się młody farmer. — Widzę, że pan nic nie rozumie. Ja chciałem ją udusić.

— Szszaa... szszaa — syknął z niesmakiem Poirot, jak gdyby chciał zatuszować drobny nietakt gospodarza.

— Dwa życia ludzkie mam już na sumieniu — ciągnął Rowley. — Ona byłaby trzecia, gdyby pan nie nadszedł.

Uratował pan ją od śmierci.

— Pijmy lepiej kawę i nie mówmy o śmierci — skarcił go mały Belg. — Nie można denerwować mademoiselle Lynn.

Dziewczyna przełykała z trudnością gorącą, mocną kawę. Po chwili, gdy kofeina zaczęła działać, ból gardła zelżał nieco.

— Już lepiej, prawda? — zapytał Poirot. Twierdząco skinęła głową.

— Teraz możemy porozmawiać — podjął słynny detektyw. — Czyli innymi słowy ja będę mówić.

— Jak wiele panu wiadomo? — zapytał głucho Rowley.

— Wie pan, że ja zabiłem Karola Trentona?

— Wiem już od pewnego czasu.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Stał w nich Dawid Hunter.

— Lynn! — zawołał. — Nie powiedziałaś mi... — urwał, zdziwionym wzrokiem spojrzawszy po obecnych. — Co z twoim gardłem, Lynn?

— Proszę o filiżankę — rzucił spokojnie Poirot, a gdy gospodarz wykonał polecenie, podał kawę Dawidowi. Ponownie opanował sytuację.

— Niech pan siada — podjął zwracając się do Huntera.

— Spokojnie wypijemy kawę i państwo wysłuchają przy sposobności wykładu Herkulesa Poirota na temat zbrodni. Rozejrzał się dokoła i pokiwał głową.

„Koszmar, niesamowity koszmar! — pomyślała Lynn. — To nie może dzieć się naprawdę”.

Słuchacze byli jak gdyby urzeczeni przez śmiesznego, małego człowieczka z długimi wąsami. Siedzieli spokojnie, posłusznie: morderca Rowley, Lynn niedoszła ofiara, zakochany w niej Dawid. Trzymali filiżanki i słuchali słynnego detektywa, który sprawował nad nimi władzę.

— Co powoduje zbrodnię? — rozpoczął Herkules Poirot. — Oto jest pytanie. Jakiej trzeba podnieć? Jakie wrodzone skłonności muszą współdziałać? Czy każdy jest zdolny do zbrodni — do jakiej zbrodni? W danym przypadku prześladowało mnie od początku jedno zagadnienie: co może się stać, gdy ludzie, chronieni przed trudnościami życia, przed jego niebezpieczeństwami i zasadzkami, utracą nagle podporę?

— Oczywiście mam na myśli Cloadów. Tylko jeden z obecnych nosi to nazwisko, mogę zatem mówić swobodnie. Od pierwszej chwili fascynował mnie problem rodziny, której okoliczności nie pozwalały nigdy stać na własnych nogach. Wszyscy przedstawiciele tej rodziny mieli jakieś własne życie, mieli swoje zawody. Nieustannie jednak padał na nich cień dobrotliwej opieki. Wolni byli od strachu. Żyli pod osłoną pewności — pewności nienaturalnej i sztucznej. Stał za nimi potężny Gordon Cload.

— Dokąd zmierzam, proszę państwa? Do twierdzenia, że niepodobna określić charakteru człowieka przed stanowczą próbą. Najczęściej próba taka przychodzi w zaraniu życia. Wcześniej dowiadujemy się, że trzeba stać na własnych nogach, pokonywać trudności, stawiać czoła niebezpieczeństwom. Obieramy wówczas taką lub inną drogę. Może ona być prosta albo kręta. Bądź co bądź jednak człowiek zwykle już za młodu odkrywa, z jakiej jest ulepiony gliny.

— Cloadowie nie mieli okazji poznać własnych słabości, póki nie utracili wygodnej podpory i nie musieli nagle, bez przygotowania, stanąć twarzą w twarz z kłopotami. Jedno i tylko jedno dzieliło ich od spokoju i dostatku: życie Rosaleen Cload. Jestem głęboko przekonany, że każdy przedstawiciel tej rodziny myślał przy tej czy innej sposobności: „Gdyby Rosaleen umarła...”

Lynn wzdygnęła się nerwowo. Poirot umilkł na moment, jak gdyby chciał utrwalić swoje słowa w pamięci słuchaczy. Następnie podjął:

— Myśl o śmierci, o jej śmierci, nawiedzała Cloadów. Co do tego nie mam wątpliwości. Czy w konsekwencji pojawiała się również myśl o morderstwie? Czy w jednym przypadku myśl ta wyszła poza sferę abstrakcji i przybrała postać czynu? — Nie zmieniając tonu zwrócił się do Rowleya. — Czy myślał pan kiedy o zabiciu Rosaleen Cload?

— Tak. Kiedy przyszedł na farmę. Byliśmy sami. Pomyślałem, że łatwo mógłbym ją zabić. Była wzruszająca i bardzo ładna, zupełnie jak cieleta, które tamtego ranka odstawiłem do rzeźnika. Widzi pan, człowiek zdaje sobie sprawę, że cieleta są wzruszające, a przecież się ich pozbywa. Zastanawiało mnie, że ona nie boi się wcale... Ha! Byłaby wystraszona, gdyby odgadła, co dzieje się w mojej głowie... Tak, myślałem o tym, kiedy sięgałem po zapalniczkę Rosaleen, aby podać jej ogień.

— Aha! Zapalniczka została w pańskich rękach i tym sposobem doszedł pan do jej posiadania — wtrącił mały Belg.

— Tak. Nie mam pojęcia, dlaczego nie zabiłem wtedy Rosaleen. Myślałem o tym. Mógłbym upozorować wypadek, czy coś takiego.

— Odpowiedź nie nastęrcza trudności — wyjaśnił Poirot. — To nie był pański typ zbrodni. Pan zabił człowieka, ale uczynił pan to w uniesieniu i chyba bez intencji zabójstwa.

— Na Boga, Tak! Rąbnąłem go w szczękę, a on upadł w tył i uderzył głową o marmurowe obramowanie kominka. Jak zobaczyłem, że nie żyje, oczom nie mogłem uwierzyć. — Zwrócił pełen podziwu wzrok w stronę małego Belga. — Skąd pan o tym wie?

— Sadzę, że dosyć ściśle zrekonstruowałem przebieg pańskich poczynali — odrzekł skromnie. — Proszę sprostować, jeżeli się w jakimś punkcie mylę. Przyszedł pan „Pod Jelenia”, gdzie Beatrice Lippincott zdała panu relację z podsłuchanej rozmowy. Wobec tego pobiegł pan zaraz do swojego stryja Jeremiasza, aby zasięgnąć jego opinii, jako prawnika. Tam musiało zajść coś, co skłoniło pana do zmiany planów. Mam wrażenie, że domyślałam się, co to było. Zobaczył pan fotografię...

— Tak! — Rowley twierdząco skinął głową — Stała na biurku. Uprzytomniłem sobie podobieństwo. Zrozumiałem, dlaczego twarz tego faceta, który pytał o drogę, wydała mi się znana. Przyszło mi na myśl, że Jeremiasz i Frances napuścili jakiegoś jej krewnego i tym sposobem chcą wydusić pieniądze z Rosaleen. W oczach mi pociemniało! Co tchu wróciłem „Pod Jelenia”, pogałem do pokoju numer pięć i oskarżyłem rzekomego Ardena czy Underhaya o oszustwo. Roześmiał się i wcale nie zaprzeczył. Powiedział nawet, że lada chwila spodziewa się Dawida Huntera z forszą. Szał mnie ogarnął na myśl, że moi krewni robią takie kawały. Nazwałem go świnią i uderzyłem, a on padł w tył, jak już mówiłem.

— Co dalej? — zapytał Poirot po krótkiej pauzie.

— To ta, zapalniczka — podjął młody farmer. — Wypadła mi z kieszeni. Nosiłem ją przy sobie, żeby przy pierwszej okazji zwrócić Rosaleen. Kiedy upadła na ciało Trentona, zauważyłem inicjały: D.H. Zapalniczka była nie jej, lecz Dawida. Od przyjęcia rodzinnego u ciotki Kate zdawałem sobie sprawę... No, mniejsza o to! Często zdawało mi się, że

zwariuję. Czy ja wiem zresztą? Może jestem obłąkany? Najpierw poszedł John... a później ta cała wojna... Ja nie potrafię mówić o takich sprawach, ale chwilami szalałem z rozpacz i złości... Teraz znowu Lynn i ten przybłąda! Wywlokłem trupa na środek pokoju i przekręciłem twarzą do podłogi. Wziąłem ciężkie żelazne szczypcy i... nie będę wdawał się w szczegóły. Wytarłem ślady palców, oczyściłem marmurowe obramowanie kominka. Później nastawiłem wskazówki jego zegarka na dziewiętnaście i zegarek rozbiłem. Zabrałem książeczkę żywnościową i dokumenty nieboszczyka. Chciałem utrudnić stwierdzenie jego tożsamości. To wszystko. Wyszedłem z pokoju. Nie wątpiłem, że Dawid wpadnie, bo obciąży go dodatkowo zeznaniem Beatrice Lippincott.

— Dziękuję — wtrącił Hunter.

— A następnie — zabrał głos Poirot — zwrócił się pan do mnie. Zagrał pan niezłą komedyjkę, prawda? Prosił pan abym wyszukał kogoś, kto znał Roberta Underhaya. Nie wątpię, że Jeremiasz Cload powtórzył krewnym opowieść majora Portera. Przez dwa lata cała rodzina żywiła tajoną nadzieję, że mimo wszystko nieboszczyk może się zjawić. Te pragnienia wpłynęły nawet na manipulacje z wirującym stolikiem, uprawiane przez panią Lionelową. Było to podświadome, ale nawet ten drobny incydent miał znamionną wymowę. Eh bien, robię magiczną sztuczkę i pochlebiam sobie, że wywieram piorunujące wrażenie. Tymczasem to ja jestem wystrychnięty na dudka. Idziemy, panie Cload, do majora Portera. Gospodarz częstuje mnie papierosem i mówi zwracając się do pana: „Wiem, że pan nie pali”. Skąd może wiedzieć? Przecież podobno spotykacie się pierwszy raz w życiu. A ja, głupi, nie dostrzegłem prawdy. Nie domyśliłem się, że panowie ubili już interes. Nic dziwnego, że Porter był nieswój podczas śledztwa. Chcieliście mnie wystrychnąć na dudka! Miałem znaleźć człowieka, który rozpozna zwłoki. Ale pozwoliłem się zwieść nie na długo. Teraz chyba nie jestem już dudkiem? He?

Umilkł, rozejrzął się dokoła gniewnym wzrokiem i mówił dalej.

— Później major Porter wycofał się ze spółki. Nie chciał zeznawać pod przysięgą w procesie o morderstwo. Wiedział, że oskarżenie przeciwko Dawidowi Hunterowi oprze się głównie na tożsamości ofiary. Rozumiał to i wycofał się ze spółki.

— Napisał do mnie, że nie zdobędzie się na to — zabrał głos Rowley. — Stary dureń! Czy nie rozumiał, że posunęliśmy się zbyt daleko? Napisał, że woli się zastrzelić niż krzywo przysięgać w sprawie o morderstwo. Pojechałem do niego, żeby wbić mu trochę rozumu do głowy. Spóźniłem się. Frontowe drzwi nie były zamknięte na klucz. Poszedłem na piętro i znalazłem ciało. Nie umiem wypowiedzieć, co wtedy czułem. Zdawało mi się, że jestem dwukrotnym mordercą. Gdyby poczekał chwilę! Gdybym mógł z nim pomówić!

— Major Porter napisał coś przed śmiercią i pan list zabrał. Chyba się nie mylę? — zapytał mały Belg.

— Nie myli się pan. Było mi już wszystko jedno. Tkwiałem w bagnie po uszy. Major Porter zostawił kartkę do sędziego śledczego. Napisał po prostu, że złożył fałszywe zeznanie, że zamordowany mężczyzna nie jest Robertem Underhayem. Zabrałem tę kartkę i zniszczyłem.

Rowley uderzył pięścią w stół.

— To był potworny sen, koszmar! Zacząłem i musiałem brnąć dalej. Potrzebowałem pieniędzy, żeby zdobyć Lynn, i chciałem, żeby Dawida powieszono. A dalej... nie mogłem pojąć, czemu załamało się oskarżenie przeciwko Hunterowi. Dowiedziałem się o jakiejś kobiecie... o kobiecie, która później niż ja była u Ardena. Nie mogłem zrozumieć! Do dziś nie mogę zrozumieć. Jaka kobieta? Jak mogła rozmawiać z Ardenem, który już nie żył?

— Nie było żadnej kobiety — wyjaśnił Poirot.

— Jak to? A starsza dama? Przecież widziała ją, słyszała?

— Słusznie. Ale co widziała i co słyszała? Widziała kogoś w spodniach i jasnym tweedowym żakiecie. Widziała głowę spowitą pomarańczową chustką niby turbanem. Widziała twarz pod maską szminki i pudru oraz ukarminowane usta. Widziała to wszystko przy lichym świetle. A co słyszała? Ta „dziwka” cofnęła się do „piątki” i z pokoju dobiegły słowa wymówione męskim głosem: „Wynoś się! Mam cię dosyć!” — czy coś w tym sensie. Eh bien, pani Leadbetter widziała mężczyznę i słyszała mężczyznę. To był wyborny pomysł, panie Hunter — dodał słynny detektyw zwracając się spokojnie do Dawida.

— O co panu chodzi? — szorstko rzucił zagadnięty.

— Teraz panu, panie Hunter, opowiem ciekawą historyjkę. Przyszedł pan do hotelu „Pod Jeleniem” około dziewiętej. Chciał pan zapłacić, nie zabić. I co pan zastał? Szantażysta leżał na podłodze, zamordowany w bestialski sposób. Umie pan myśleć sprawnie, panie Hunter, więc szybko dostrzegł pan śmiertelne niebezpieczeństwo. Był pan prawie pewien, że nikt nie widział pana wchodzącego „Pod Jelenia”. I co pan postanowił? Umknąć jak najspieszej, złapać pociąg do Londynu o dziewiętej dwadzieścia, a następnie twierdzić uparcie, że tamtego wtorku wcale nie był pan w Warmsley Yale. Tylko biegnąc na przelaj mógł pan nie spóźnić się na stację. Ale po drodze natknął się pan niespodziewanie na pannę Lynn Marchmont i w tym samym momencie uprzytomnił pan sobie, że niepodobna zdążyć. Spostrzegł pan dym w dolinie. Panna Marchmont także dym widziała (choć nie wiedział pan o tym), ale nie zastanawiała się i nie łączyła świadomie tych obu kwestii. Powiedział jej pan, że jest kwadrans po dziewiętej. Przyjęła to za dobrą monetę. Nie zdała sobie sprawy, że pan nie może złapać pociągu. Aby przekonać ją, że zdąży pan mimo wszystko, stworzył pan bardzo dowcipny plan. Ale nie na tym koniec. Musiał pan odwrócić od siebie podejrzenie i wymyślić coś zupełnie nowego.

— Wrócił pan do „Furrowbank” i otworzywszy drzwi wejściowe swoim kluczem zaczął działać. Wziął pan pomarańczową chustkę siostry i jej pomadkę do ust. Umalował pan twarz na teatralny sposób. Później poszedł pan „Pod Jelenia” i przede wszystkim pokazał się starszej damie w salonie, o której dziwactwach plotkował cały „Jeleń”.

Gdy pan usłyszał, że pani Leadbetter idzie na piętro, wyszedł pan na korytarz, a następnie cofnął się spiesznie do „piątki” i powiedział głośno: „Wynoś się! Mam cię dosyć!”

Poirot umilkł na moment, aby dorzucić:

— Bardzo pomysłowa inscenizacja, panie Hunter.

— Czy to prawda, Dawidzie? — zawołała Lynn. — Czy to prawda?

Młody człowiek uśmiechnął się pogodnie.

— Zawsze byłem znakomity w kobiecych rolach. Szkoda, że nie widziałaś miny tej starej wiedźmy!

— Ale jak mogłeś być tutaj o dziesiątej, a krótko po jedenastej telefonować do mnie z Londynu? — zapytała dziewczyna zupełnie zbita z tropu.

— Wyjaśnięj udzieli dziś Herkules Poirot — odrzekł Dawid z ukłonem w kierunku słynnego detektywa — człowiek, który wie wszystko. Jak to zrobiłem, panie Poirot?

— W sposób zupełnie prosty. Z automatu zatelefonował pan do siostry i dał jej szczegółowe polecenie. Cztery minuty po jedenastej Rosaleen zamówiła Warmsley Yale 34. Kiedy panna Marchmont podniosła słuchawkę, telefonistka powiedziała: „Londyn prosi”. „Londyn! Proszę mówić”, czy coś takiego.

Lynn przytaknęła gestem głowy.

— W tym momencie Rosaleen Cload wyłączyła się, a pan — Poirot zwrócił się znów do Dawida — synchronizując czas starannie nakręcił w budce telefonicznej numer 34, nacisnął guzik A, zmienionym głosem powiedział: „Proszę mówić. Londyn prosi”, no i zaczął rozmowę.

Parominutowa przerwa nie mogła zdziwić panny Marchmont ani obudzić jej podejrzeń.

— A więc dlatego telefonowałeś do mnie, Dawidzie?

Lynn powiedziała to spokojnie, lecz takim tonem, że Hunter spojrzał na nią bystro. Później zwrócił się do małego Belga i rozłożył ręce bezradnym gestem, jak gdyby kapitulował.

— Nie mam już wątpliwości, że pan wie wszystko. Otwarcie mówiąc, byłem śmiertelnie przerażony. Musiałem coś wykombinować. Po telefonie do Lynn odbyłem pięciomilowy spacer do Dasleby i wyjechałem stamtąd do Londynu pierwszym porannym pociągami. Do mieszkania wróciłem niepostrzeżenie i w porę, by rozrucić pościel i zjeść śniadanie z Rosaleen. Na myśl mi nie przyszło, że policja może ją podejrzewać. Naturalnie nie miałem też pojęcia, kto zamordował tamtego człowieka. Nie wyobrażałem sobie, kto mógł chcieć jego śmierci. Według tego, co wiedziałem, tylko dwie osoby miały motyw: Rosaleen i ja.

— Właśnie motyw stanowił całą trudność tej sprawy — podjął Poirot. — Pan i pańska siostra mieli motyw, by zabić Ardena. Wszyscy bez wyjątku Cloadowie mieli motyw, by zabić Rosaleen.

— Więc to było zabójstwo? Nie samobójstwo?

— Nie. To było starannie przygotowane morderstwo z premedytacją. W jednym z proszków nasennych zastąpiono brom morfiną, i to w proszku na dnie pudełka.

— Aa... te proszki — Dawid zmarszczył czoło. — Nie podejrzewa pan... Nie! Tego nie mógł zrobić doktor Lionel Cload.

— Oczywiście, że go nie podejrzewam — odparł mały Belg. — Widzi pan, właściwie wszyscy Cloadowie mogli mieć dostęp do proszków: Ciotka Kate po ich przygotowaniu w pracowni męża; Rowley, kiedy przyniósł do „Furrowbank” masło i jaja. Były tu i pani Marchmont, i pani Frances Cload, i nawet panna Lynn. Wszystkie te osoby miały wystarczający motyw, by zgładzić pańską siostrę.

— Lynn nie miała! — zawołał Dawid.

— Motyw mieliśmy wszyscy, jak sądzi pan Poirot — wtrąciła Lynn.

— Słusznie — potwierdził słynny detektyw. — To właśnie stanowiło o trudności sprawy. Dawid Hunter i Rosaleen Cload mieli motyw, by zabić Ardena, ale go nie zabili. Wszyscy Cloadowie mieli motyw, by zabić Rosaleen, ale nikt z nich jej nie zabił. Wszystko w tej sprawie szło na opak. Mordercą Rosaleen Cload jest ktoś, kto na jej śmierci traci najwięcej. Pan ją zamordował, panie Hunter!

— Ja? — zdumiał się Dawid. — Dlaczego, u Boga Ojca, miałbym zamordować rodzoną siostrę?

— Zamordował ją pan, ponieważ nie była pańską siostrą. Rosaleen Cload zginęła wraz z mężem blisko dwa lata temu. Pańska ofiara to pokojówka, Eillen Corrigan, której — fotografię dostałem dziś z Irlandii — zakończył mały Belg i wydobyl fotografię z kieszeni.

Dawid Hunter wyrwał ją błyskawicznie, skoczył w kierunku drzwi i w mgnieniu oka zatrzasnął je za sobą. Zniknął. Rowley pogonił za nim rycząc z furii, Poirot i Lynn zostali sami w kuchni „Long Willows”.

— Niepodobna! — zawołała dziewczyna. — To nie może być prawda!

— Ależ tak, tak... Dostrzegła pani niegdyś połowę prawdy podejrzewając, że Dawid Hunter nie jest jej bratem. Odwróćmy to, a wszystko się zgodzi. Ta Rosaleen była katoliczką, w przeciwieństwie do żony Underhaya. Dręczyły ją wyrzuty sumienia. Nie widziała świata poza Dawidem. Proszę wyobrazić sobie uczucia Huntera tamtej nocy grozy w Londynie. Jego siostra nie żyje, Gordon Cload kona. Wymyka się mu nowe dostatnie życie, wymykają się pieniądze. Spogląda na tę dziewczynę, ogłuszoną podmuchem, nieprzytomną. Jest mniej więcej w wieku siostry, a tylko oni ocaleli pod gruzami. Niewątpliwie była już dawniej jego kochanką i wiedział, że potrafi ją skłonić do wszystkiego. On umiał postępować z kobietami — dodał Poirot chłodno, nie patrząc na Lynn, która oblała się pąsem. — To oportunista,

który chwytą sposobność, gdy się zdarzy. Twierdzi, że ocalała jego siostra. Czuwa przy jej łóżku. A gdy dziewczyna odzyskuje przytomność, skłania ją prośbą czy groźbą do przyjęcia wyznaczonej roli.

— Niech pani sobie wyobrazi konsternację tej pary, gdy nadszedł list szantażysty — ciągnął mały Belg po krótkiej pauzie. — Od początku zadawałem sobie pytanie: czy typ pokroju Huntera może ulec tak łatwo szantażyście? Ponadto Dawid nie był pewien, czy pod pseudonimem Enoch Arden kryje się Underhay, czy ktoś inny. Dlaczego nie był pewien? Przecież Rosaleen poznałaby swojego męża. Dlaczego wyprawił ją do Londynu, zanim zdążyła rzucić okiem na szantażystę? Mógł być tylko jeden powód. Hunter nie chciał dopuścić, by szantażysta rzucił okiem na nią. Jeżeli był Underhayem, poznałby oczywiście zaraz, że domniemana Rosaleen Cload nie jest osobą, za którą się podaje. Hunter widział tylko jedno wyjście: zapłacić szantażyście tyle, by na pewien czas przycichł, a następnie zwinąć chorągiewkę i co prędzej wynieść się do Ameryki.

Nagle wkracza nieoczekiwane. Szantażysta ginie z ręki mordercy, a major Porter poznaje w nim Underhaya. Dawid Hunter nie popadł nigdy w gorsze tarapaty. Na domiar złego dziewczyna jest bliska załamania. Budzi się w niej sumienie. Zaczyna zdradzać objawy rozstroju nerwowego. Wcześniej lub później wyjawí wszystko, zdradzi tajemnicę, narazi współnika na dochodzenie sądowe. Ale nie na tym koniec. Miłość rzekomej siostry zaczyna nudzić Dawida, który zakochał się w pani. Robi rachunek prawdopodobnych strat i zysków i decyduje: Eileen musi umrzeć! W jednym z proszków dostarczonych przez doktora Cloada zamienia brom na morfinę. Zaleca współnicze, by co wieczór ów lek przyjmowała. Podsyca jej lęk wobec złych zamiarów Cloadów. Wie, że na niego nie padnie podejrzenie, gdyż po zgonie Rosaleen cały majątek Gordona Cloada dostanie się jego krewnym. Brak motywu był asem atutowym Dawida Huntera. Jak pani powiedziałam, ta sprawa od początku szła na opak.

Drzwi otworzyły się i do kuchni wszedł komisarz Spence.

— Eh bien! — rzucił Poirot spoglądając nań bystro.

— W porządku. Mamy go.

— Czy... on coś mówił? — zapytała Lynn drżącym głosem.

— Powiedział, że grał o grubą stawkę. To dziwne — dorzucił policjant — że oni zawsze mówią w najniewłaściwszej chwili. Ostrzegłem Huntera zgodnie z przepisami, a on na to: „Daj pan spokój. Jestem hazardzistą, ale wiem, kiedy przetrząnąłem z kretesem”.

Poirot zaczął mamrotać pod wąsem:

— „Pora przyływu stosownie schwytna wiedzie do szczęścia...” Słusznie. Przyływ wynosi w górę, ale są także odpływy, które mogą porwać człowieka na bezkresne morza.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

W niedzielę przed południem Rowley Cload usłyszał stukanie, a gdy otworzył drzwi kuchni, zobaczył Lynn Marchmont

— Lynn! — cofnął się o krok.

— Czy mogę wejść, Rowley?

Cofnął się nieco dalej, a ona minęła go i wkroczyła do kuchni. Przyszła z kościoła, więc miała na głowie kapelusz. Teraz podniosła ręce powolnym, prawie obrzędowym gestem, zdjęła kapelusz i położyła na oknie.

— Przyszłam do domu, Rowley.

— Jak to? Co ty mówisz?

— Słyszałaś przecież. Przyszłam do domu. Byłam głupia. Nic nie widziałam. Nie dostrzegłam kresu wędrówki, chociaż go miałam przed oczyma. Czy nie rozumiesz, Rowley? Przyszłam do domu.

— Sama nie wiesz co mówisz, Lynn. Przecież ja... ja chciałem cię zabić.

— Pamiętam — Lynn zrobiła krzywą minę i podniosła dłonie do szyi. — Właśnie wtedy, gdy byłam pewna, że mnie zabijesz, pojęłam, jaką straszną idiotkę robiłam z siebie.

— Nic nie rozumiem... — bąknął Rowley.

— Nie udawaj głupszego, niż jesteś. Dawniej chciałam zostać twoją żoną. Potem straciłam z tobą kontakt...

Wydawałeś mi się zbyt spokojny, łagodny... Sadziłam, że nasze życie byłoby zanadto bezpieczne, nudne. Zakochałam się w Dawidzie, ponieważ był urzekający, groźny a także, mówiąc uczciwie, dlatego, że aż za dobrze znał kobiety. Ale to wszystko było urojeniem. Kiedy chwyciłeś mnie za gardło i powiedziałeś, że nie będę niczyją, skoro nie chcę należeć do ciebie, zrozumiałam, że jestem twoją. Zdawało mi się wtedy, że oprzytomniałam za późno... Na szczęście Herkules Poirot wkroczył na scenę i uratował sytuację. Jestem teraz twoja, Rowley!

— To być nie może, Lynn — odrzekł Rowley kręcąc powoli głową. — Ja zabiłem dwu ludzi... zamordowałem.

— Nonsens! — zawołała dziewczyna. — Nie rób melodramatu. Pokłóciłeś się z ciemnym typem, dałeś mu w zęby, a on przewrócił się i rąbnął głową o coś twardego. Czy można to nazwać morderstwem? Nawet kwalifikacja prawna jest inna.

— Zabójstwo. Ale i za to idzie się do więzienia.

— Możliwe. W takim razie poczekam, aż cię uwolnią.

— A Porter? Jestem odpowiedzialny moralnie za jego śmierć.

— Nie zgadzam się! Dorosły, odpowiedzialny za swoje czyny mężczyzna mógł odrzucić twoją propozycję. Nie można obarczać człowieka odpowiedzialnością za coś, co drugi człowiek zrobił zupełnie świadomie. Podsunąłeś mu nieuczciwy sposób zarobku, on zgodził się, a później zmienił zdanie i sam wymierzył sobie karę. Po prostu miał słaby charakter.

— Nic z tego, moja mała — Rowley uparcie kręcił głową. Nie możesz mieć męża kryminalisty.

— Moim zdaniem nie grozi ci więzienie. W przeciwnym razie już by cię aresztowano.

— Jak to? Zabójstwo... Przekupienie Portera...

— Dlaczego sądzisz, że policja wie o tym wszystkim albo dowie się kiedykolwiek?

— Ale ten Poirot wie.

— On nie jest policjantem. A wiesz, co policja myśli? Myśli, że Dawid Hunter zabił nie tylko Rosaleen, lecz również Ardena, ponieważ tamtego wieczoru był w Warmasley Yale. Nie oskarżą go o to, ponieważ to zbyt cenne, a zresztą, nie można dwa razy aresztować tego samego człowieka pod tym samym zarzutem. Ale póki policji się zdaje, że on jest winowajcą, nikt nie będzie szukał drugiego sprawcy.

— A Poirot...

— Powiedział komisarzowi, że to był przypadek i Spence śmieje się z niego w kułak. Moim zdaniem ten cudzoziemiec będzie trzymał język za zębami. To bardzo dobry człowiek.

— Nie, Lynn. Nie pozwolę ci na takie ryzyko. Pomijając wszystko inne, chodzi o to... Czy ja mogę ufać samemu sobie? Życie ze mną... rozumiesz... może być niebezpieczne... dla ciebie...

— A jeśli nawet? Zrozum, Rowley, że cię kocham... I przeszedłeś piekło na ziemi... A mnie nie zależało nigdy na bezpieczeństwie.

* Bardzo ruchliwy plac w rozrywkowej dzielnicy Londynu.

* ang. Under — pod, hay — siano.

* Pomocnicza służba kobiet Lotnictwa Królewskiego.

* fr. To zadziwiające.